



Miranda Jarrett



*Skandal
w domu gry*

Rozdział pierwszy

St James's Square,

Londyn 1805 rok

William Callaway stał w cieniu drzewa przy żelaznym ogrodzeniu i powtarzał sobie w myślach, że nie cierpi ślubów.

Goście schodzili się na wesele i czekali przed Penny House na młodą parę. Dżentelmeni śmiali się i przerzucali żartami, popijając trunki, damy zaś paradowały w popołudniowym słońcu niczym egzotyczne, barwne ptaki. Wszyscy spodziewali się hucznej zabawy.

Callaway przygarbił się lekko, ignorując pytające spojrzenie chłopca, który go tutaj przyprowadził. Zbyt wiele radości, pomyślał z goryczą. Nadmiar szczęścia, przesadny optymizm. Przecież na świecie jest tyle cierpienia i smutku. Czyżby ci głupcy naprawdę nie rozumieli, że nieszczęsnych nowożeńców czeka taki sam los jak innych ludzi? Wszak to, co te pięknoduchy nazywają miłością, jest zaledwie chwilowym otępieniem umysłu.

Kawalkada powozów zwolniła przy St James's Street, a dżentelmeni niecierpliwie wychylili głowy z okien, żeby poznać przyczynę opóźnienia. William cofnął się w cień i skrył głowę za gałęziami cisu. Po krótkim namyśle przyciągnął do siebie chłopca.

- Lepiej będzie, jeśli nikt nas nie zobaczy, Twig - zauważył ostrzegawczo. - Wielcy państwo nie lubią, kiedy my, prości ludzie, bezczelnie się na nich gapimy.

- To znaczy, że mamy patrzeć w rynsztok, kiedy idą, psze pana?

- To znaczy, że nie chcą nas widzieć. Biedacy są solą w oku bogaczy. Najchętniej wygnaliby nas ze swoich ładnych ulic.

Dama w powozie na ich widok przytknęła do nosa i ust skropioną pachnidłem chustkę. Mężczyzna zmrużył oczy. Jak daleko posuną się ci wymuskani ludzie, żeby oczyścić Londyn z biedoty? Domy pracy i więzienia już pękały w szwach... Może, zdaniem fireyków, przyszła pora, aby ubogich wytrać jak szczury?

- Niech ich zaraza. - Chłopiec wydał policzki, gotów samotnie stawić czoło całemu zepsutemu światu bogaczy. - Nawet kot może patrzeć na króla, więc czemu ja nie mogę

zerknąć na damy?

William uśmiechnął się pobłażliwie.

- Twig, w tym zbiegowisku nie ma ani jednej damy. Penny House to jaskinia hazardu, prywatny klub dla dżentelmenów, i żadna prawdziwa lady nie jest tu mile widziana.

Malec wyciągnął szyję, wyraźnie zainteresowany.

- Niby że wszystkie one to ladacznice?

- Do pewnego stopnia - potwierdził Callaway. Nie był w nastroju, aby odróżnić dobre kobiety od złych. Kiedyś, dawno temu, sam należał do tamtego eleganckiego świata i dobrze pamiętał, jak takie dziewczęta ciągnęły do niego, skuszone widokiem mundurów. Woń ich perfum uderzała mu do głowy, napierały na niego miękkimi piersiami... - Różnią się między sobą tylko ceną, której żądają za swoje towarzystwo.

- A więc nierządnicę, jedną w drugą. - Twig cicho gwizdnął. - Nawet panna młoda, psze pana?

- Nawet ona może nie być damą.

Wszyscy w Londynie słyszeli o trzech siostrach Penny, inteligentnych i urodziwych dziewczętach, które prowadziły modny dom gier przy St James's Square. Mówiono, że są córkami pastora, ale William szczerze w to wątpił, podobnie jak nie wierzył w ich szlachetność. Pogłoski o ogromnych sumach, które jakoby przeznaczały na dobroczynność, wydawały się przesadzone. Czy naprawdę poczciwe dusze zdołałyby wytrzymać w takim miejscu?

- W tym domu nie zamieszkałaby żadna dama - zauważył. - Która szanująca się kobieta chciałaby spełniać frywolne zachcianki dżentelmenów?

Chłopiec popatrzył na niego z powątpiewaniem.

- Za pozwoleniem, psze pana, ale panna Bethany Penny nie jest taka jak inne. Sam się pan przekona. Jest dobra, miła i życzliwa dla wszystkich, psze pana, nie tylko dla bogatych dżentelmenów. Wszyscy ją znają i lubią. Nazywa nas swoją trzódką, jakbyśmy byli dla niej ważni. To dama co się zowie, słowo daję.

William nie odpowiedział. Wynajął Twiga właśnie z powodu Bethany. Malec przyprowadził go do Penny House, bo należało rozstrzygnąć, czy ta kobieta jest winna, czy

też nie. Mężczyznę nie interesowało to, co na ulicach i w domach pomocy mówiło się o jej hojności i dobrym sercu. Liczyła się tylko prawda.

- Sam się pan przekona - upierał się chłopak. - Wystarczy, że... Och, młoda para!

Nadjechał otwarty powóz w kolorze błękitu, ozdobiony girlandami białych kwiatów. Na widok państwa młodych zebrane panie zaczęły piszczeć i bić brawo. Z tyłu pojazdu stało dwóch trębaczy w staromodnej liberii i w pudrowanych perukach. Głośnymi dźwiękami fanfar radośnie oznajmiali przybycie nowożeńców.

- Powiada się, że pan młody jest bogatszy od samego króla! - zawołał Twig, próbując przekrzyczeć odgłosy trąb. - Pan Blackley, tak się nazywa, Richard Blackley. Podobno zarobił góry złota na produkcji cukru w Indiach.

- Co za szczęściarz - mruknął William z ironią. - Co najmniej jedną z tych gór postanowił wydać dziś na siebie i żonę.

Młody małżonek z galanterią odprawił lokajów, którzy rzucili się do otwierania drzwi powozu, wziął pannę młodą na ręce, pocałował ją ku uciesze zgromadzonych i wniósł po schodach do budynku. Dziewczyna złożyła mu głowę na ramieniu i śmiała się radośnie. Nie zważała na to, że jej płomiennorude włosy wysypały się spod wianka, a suknia się podwinęła, dzięki czemu wszyscy zgromadzeni mieli okazję napatrzeć się na jej długie, zgrabne nogi.

- Wielkie nieba! - Twig westchnął z podziwem. - Ale widowisko...

Callaway odchrząknął z niesmakiem. W rzeczy samej, było to widowisko. Niesmaczne, prostackie, hałaśliwe i ostentacyjne. Pokaz złego smaku. Nic dziwnego, że okoliczni mieszkańcy często się uskarżali na zakłócanie ich spokoju przez bywalców Penny House. Ileż londyńskich sierot można by wyżywić za pieniądze wydane na same tylko jedwabne wstążki, którymi hojnie obwieszono konie i powóz?

- To panna Bethany - oznajmił chłopiec, wyciągając rękę w kierunku jednej z dam. - Stoi na schodach razem z siostrą, panną Amarią.

William z zainteresowaniem zerknął na panie wskazane przez malca. Z tej odległości zauważył, że Bethany Penny ma włosy w takim samym złocistorudym odcieniu jak jej siostry i że jest równie wysoka, szczupła oraz pełna gracji. Na uroczystość ubrała się w skromną, lecz elegancką jasnoniebieską suknię, która podkreślała jej kobiece biodra.

Głowę dziewczyny zdobił czepek z szerokim daszkiem.

Mężczyzna poruszył się niespokojnie i westchnął. Nie wolno mu było ulec jej urokowi. Od wiosny zginęło czterech mężczyzn, dobrych i zacnych. W żadnym wypadku nie powinien darzyć tej kobiety szczególnymi względami tylko dlatego, że była piękna.

Gdy państwo młodzi przekroczyli próg, Bethany szepnęła coś siostrze na ucho. Obie weszły do budynku, a za nimi podążała reszta gości.

- Koniec przedstawienia, młodzieńcze - oświadczył William. - Reszta wesela odbędzie się za zamkniętymi drzwiami.

Sięgnął do kieszeni kamizelki po monetę, żeby zapłacić chłopcu. Czuł się kompletnie wyczerpany, dawna rana na nodze dała o sobie znać podczas szybkiego marszu przez miasto. Nie powinien był zostawiać laski w domu, wiedział przecież, iż przyplaci to silnym bólem.

Raz jeszcze rzucił okiem na schody przed budynkiem. Widok panien Penny oraz zaproszonych gości przypomniawszy mu wydarzenia, do których wolałby nie powracać myślaniami. Na próżno próbował ponownie wymazać je z pamięci - okazało się to równie wyczerpujące, jak spacer do tej części Londynu.

- Wrócimy tu jutro, Twig - zdecydował i odwrócił się plecami do Penny House. - Niech ci głupcy się wyśpią po nocnych szaleństwach.

- Och, nie, psze pana! - Chłopiec rozłożył ręce. - Panna Bethany nie będzie się bawiła z innymi. Ona nigdy nie chodzi na górę. Zawsze jest na dole, w kuchni i przy drzwiach, żeby się z nami spotykać!

Callaway zmarszczył brwi i zacisnął palce na monecie.

- W dniu ślubu siostry? Wybacz, młodzieńcze, ale taka kobieta na pewno znajdzie sobie inne zajęcie i nie będzie odchodzić od gości, żeby rzucać biednym resztki ze stołu.

- Za pozwoleniem, psze pana, ale ona wcale taka nie jest! Wczoraj dała słowo, że o nas nie zapomni dziś wieczorem, a ona zawsze dotrzymuje obietnic!

Mężczyzna pokręcił głową.

- Dla takich jak oni dzisiejszy wieczór może oznaczać jutrzejsze południe.

- Na pewno nie dla panny Bethany. - Z typową dla londyńskich uliczników bezczelnością Twig złapał swego towarzysza za rękę i pociągnął ku tylnemu wejściu do

domu gry.

- Idę o zakład, że już się ustawiła kolejka do kuchni. Proszę za mną, psze pana. Obiecałem, że pana doprowadzę na miejsce, i właśnie teraz to zrobię.

William przestąpił z nogi na nogę i wzdrygnął się, gdyż ponownie przeszył go dojmujący ból. Tym razem cierpienie nie dotyczyło jedynie ciała, ale też umysłu.

Cóż, przynajmniej żył i mógł się przejmować reakcją ładnej kobiety na jego pokiereszowane oblicze i ciało. Wielu innych nie miało takiego szczęścia, między innymi czterej żołnierze, którym nie było dane zginąć na polu bitwy, lecz w samotności, na ulicach Londynu. Swego czasu był ich dowódcą, majorem, i podążali za nim bez namysłu i bez strachu.

Nie zamierzał ich teraz zawieść.

- Doskonale, Twig - powiedział cicho. - Prowadź zatem.

Chłopiec świetnie znał drogę. Skreślił w wąską błotnistą uliczkę, prostopadłą do St James's Street. W ten zaułek wchodził praktycznie tylko dostawcy, przed którymi uchylano ciężkie opancerzone furty w grubych murach otaczających przyległe do domów ogródki.

Tylko jedna brama była otwarta na oścież: ta, która prowadziła do Penny House. Na podwórzu stało jedynie kilka topornych drewnianych ław oraz dwa cisy w donicach, ustawione przy wejściu do domu.

Na tej skromnie urządzonej posesji, którą trudno było nazwać ogrodem, ludzie uformowali długą, krętą kolejkę, zaczynającą się przy drzwiach kuchennych i kończącą niemal przy furcie. Czekali cierpliwie, w milczeniu, z rezygnacją typową dla nieszczęśników, z którymi życie obeszło się nader surowo. William ujrzał smutne kobiety z chorymi dziećmi na rękach, zgarbionych starców, brudne dziewczęta o zapadniętych policzkach i łobuziaków podobnych do Twiga. Jego uwagę przykuli jednak mężczyźni w kwiecie wieku: młodzi, ale okrutnie doświadczeni przez wojnę. Bez względu na to, czy służyli na lądzie, na morzu czy w piechocie morskiej, dowody ich kalectwa były zawsze tak samo przerażające. Brakowało im ręki, nogi albo oka, chodzili powykręceni, przygarbieni, czasem miały nimi dreszcze gorączki, która nigdy nie ustawała. Najgorsze były jednak nie kalectwo i blizny widoczne na ciele, lecz martwe spojrzenia. Patrzyli na świat pustym wzrokiem ludzi porażonych tym, na co musieli patrzeć. Ci, którzy zupełnie tego nie rozumieli, uznawali

weteranów za półgłówków albo tchórzy i okrutnie drwili z nich na ulicach.

William jednak rozumiał. Sam uczestniczył w wojnie i nieszczęśnicy w kolejce po miskę ciepłej stawy byli mu bliżsi niż uczestnicy głośnej zabawy, wystrojeni i tak obcy.

Twig demonstracyjnie powęszył w powietrzu i zmrużył oczy, delektując się aromatami napływającymi z otwartych okien. Kuchnia zajmowała dużą część z boku budynku i kręciło się w niej mnóstwo zapracowanych kucharek, pomywaczek i innych służących.

- Nie mówiłem, że tak to wygląda w Penny House, psze pana? Pachnie, jakby ktoś wrzucił do garnka wszystkie pyszności świata.

- W rzeczy samej - zgodził się mężczyzna, chociaż woń z kuchni szczególnie go interesowała. - Masz, młodzieńcze - dodał i wcisnął chłopcu monetę w dłoń.

- A niech mnie! - Urwis zrobił wielkie oczy i pospiesznie ukrył pieniądze w kieszeni.
- Dziękuję, psze pana!

Ale William już zdążył się odwrócić, bardziej zainteresowany biedakami w kolejce niż wdzięcznością chłopca. Rzecz jasna, gdyby dysponował listą nazwisk ludzi, których szukał, byłoby mu nieporównanie łatwiej, lecz wojsko nie prowadziło takich rejestrów. Urzędnicy jednakowo traktowali żołnierzy, którzy zginęli na froncie, umarli po ciężkiej chorobie czy też zostali skreśleni ze służby - liczyło się tylko to, że już opuścili szeregi armii. Aby znaleźć poszukiwanych mężczyzn, Callaway musiał rozmawiać ze wszystkimi napotkanymi weteranami i liczyć na łut szczęścia.

Tym razem podszedł do inwalidy bez lewej ręki aż do łokcia i bez lewej nogi, wspartego na kulach.

- Witaj, przyjacielu - odezwał się. - Który okręt?

Już na pierwszy rzut oka widać było, że ma do czynienia z marynarzem, gdyż kaleka nosił powycierane spodnie w paski i warkocz do pasa, a na bicepsie miał wytatuowany żaglowiec.

Zagadnięty niepewnie spojrzał na Williama.

- „Hector”, pod kapitanem Robesonem, oby jego parszywa dusza z kretelem szczyła w piekle.

- Mhm - mruknął tamten i pokiwał głową. - Gdzie ostatnio walczyłeś?

- Wcale nie walczyłem - odparł inwalida z nieskrywanym obrzydzeniem. - We mgle Robeson wpakował nas na mieliznę i staliśmy się łatwym łupem dla ługra. Walili w nas jak w bęben, a niech to.

Jego rozmówca ponownie skinął głową, wiedząc, jak ważne dla tych ludzi jest to, by ktoś ich uważnie wysłuchał.

- Admiralicja nie sypnęła groszem? - spytał.

- Dali tyle, co kot napłakał. Szkoda gadać. - Marynarz popatrzył na sfatygowany kapelusz Williama, jego wykrzywione ciało i wytarty płaszcz. Dostrzegł wykręconą dłoń nieudolnie ukrytą pod rękawem oraz krótszą nogę, pamiątkę po tym, jak wpadł w zasadzkę.

- A ty, przyjacielu? Gdzie ciebie dopadły żabojady?

- W Hiszpanii - wyznał Callaway cicho, niemal szeptem.

- Ciężka sprawa, przyjacielu. - Kaleka westchnął. - Ciężka sprawa.

Były major uśmiechnął się półgębkiem.

- Przynajmniej żyjemy, chłopie.

- Niby tak, choć marne to nasze życie.

- Czy widziałeś może tutaj mężczyznę o jasnych włosach i bezwładnej ręce, z blizną niczym błyskawica po cięciu szablą? - zapytał William. - Nazywa się Tom Parker.

Marynarz zacisnął usta i zamyślił się.

- Twój towarzysz broni?

- Tak, z mojego pułku.

- Nie widziałem go. - Wilk morski wydawał się szczerze zmartwiony, że nie może pomóc. - Tutaj nie bywa.

- Londyn to wielkie miasto - mruknął Callaway. Wyszukał w kieszeni jeszcze jedną monetę i dyskretnie wsunął ją do płóciennego żeglarskiego worka na ramieniu kaleki, który podniósł głowę zaskoczony. - Wczoraj dopisało mi szczęście, gdy grałem w kości, a wierzę, że szczęściem trzeba się dzielić - wyjaśnił i klepnął marynarza w ramię. - Oby i do ciebie się uśmiechnęło.

Odwrócił się i pokuśtykał do innego inwalidy w kolejce, żołnierza, który już dawno temu odciął i sprzedał złote szamerunki oraz guziki spłowiałego, wystrzępionego płaszcza. Nieznajomy służył w innym pułku niż William, ale to nie miało znaczenia. Mógł

przypadkiem zauważyć coś, na co nie zwrócił uwagi marynarz.

- Dzień dobry, przyjacielu - zagadnął go były major. - Chyba nie jesteś...

- Psze pana! - zawołał Twig, przeciskając się wśród stojących. - Niech pan patrzy, to panna Bethany! Przyszła, tak jak obiecała!

Mężczyzna odetchnął głęboko, wyprostował się i spojrzał na kuchenne drzwi.

Na progu stała kobieta, która równie dobrze mogła być świętą, jak i morderczynią.

Rozdział drugi

- Och, Pratt, spójrz, ilu gości dzisiaj do nas zawitało! - Bethany pośpiesznie zawiązała czysty lniany fartuszek, próbując oszacować w myślach, czy wystarczy dla wszystkich zupy. - Nigdy tylu nie przychodziło tak wczesnym popołudniem.

Zarządca klubu westchnął z rezygnacją i otarł twarz chustką; dzień był ciepły, a temperaturę w kuchni podwyższały jeszcze rozgrzane do czerwoności piece.

- Przecież i tak nie nakarmi pani wszystkich żebraków w mieście, zwłaszcza w dniu ślubu swojej siostry! - zauważył z rozpaczą w głosie.

- Nie wolno ci nazywać tych ludzi żebrakami, Pratt! - upomniała go ostro. - Ile razy mam to powtarzać?

- W ogóle nie musi pani tego powtarzać - burknął. - Wiem, że pani nieżyjący ojciec wierzył w sens karmienia potrzebujących, ale biedacy w Sussex to całkiem inni ludzie niż biedacy w Londynie.

- W rzeczy samej - zgodziła się. Zdjęła z ognia ciężki garnek z kurczakiem w potrawce i ostrożnie go powąchała, podczas gdy stojąca obok kucharka niespokojnie przestępowała z nogi na nogę w oczekiwaniu na werdykt. - Ubodzy w Londynie znacznie bardziej potrzebują naszego wsparcia, wiesz o tym doskonale.

- Ofiarowanie na zbożny cel pieniędzy z hazardu to nie to samo co karmienie ospowatej biedoty - narzekał dalej Pratt.

- Dama taka jak pani powinna brać pod uwagę ewentualne niebezpieczne konsekwencje swoich poczynań.

- Każda dama powinna przede wszystkim mieć na względzie moralną

odpowiedzialność za potrzebujących. - Kiwnęła głową do kucharki, która niezwłocznie zabrała się do przekładania potrawki do wazy w kształcie koguta. - Bliżej mi do tych ludzi na podwórzu niż do wyższych sfer - dodała Bethany.

Mężczyzna wymownie milczał, ale dziewczyna i tak знаła jego opinię.

- Możesz się krzywić, ile chcesz, Pratt - mruknęła i szybko się pochyliła, żeby uniknąć uderzenia głową o wielki półmisek na ramieniu służącego. - Idę o zakład, że każda z tych osób za drzwiami wolałaby zarabiać pieniądze, niż stać w kolejce po zupę.

- Ciekawe, co pani powie, kiedy ktoś z tych ludzi włamie się do naszego domu, żeby ukraść srebro? Albo zakradnie się na piętro, żeby poderżnąć nam gardła?

- Och, dajże spokój - obruszyła się i zerknęła przez ramię na otwarte drzwi. - Twoim zdaniem te kobiety z niemowlętami na rękach parają się podrzynaniem gardel?

- W Londynie dochodzi do przeróżnych ponurych zbrodni - odrzekł Pratt. - Pod łachmanami widzę rzezimieszków i rabusiów. Niechże i pani ich dostrzeże, nim będzie za późno.

- Cieszę się, że patrzę na świat oczami mieszkanki Sussex - oznajmiła Bethany i skierowała wzrok na jedną z kucharek.

- Letty, niech no któryś z chłopaków pomoże ci przenieść zupę. Nasza trzódka już czeka.

- Goście na górze także czekają, proszę pani - przypomniał jej zarządca. - Arystokratom również zdarza się odczuwać głód.

- Oni wcale nie chcą jeść, tylko pić - odrzekła i skosztowała parującej zupy z garnka. - Jeszcze trochę soli, Letty, garść szaławii i można podawać.

- Proszę pani...

- Pratt - przerwała mu - dopóki dżentelmeni na piętrze mają pełne kieliszki, nie będą się dopominali o jedzenie. Większość potraw i tak wróci do kuchni nietknięta, choćbym przyrządziła wyszukane smakołyki.

- Panno Penny, to jest wesele pani siostry - zaprotestował, schodząc z drogi służącemu, który dźwigał dzbany z mlekiem dla dzieci czekających na podwórzu. - Nie chodzi o zwykły wieczór. Panna Amaria przysłała mnie, żebym pani powiedział...

- Doskonale wiem, dlaczego cię przysłała. - Bethany niecierpliwie założyła kosmyk

włosów za ucho. Była odpowiedzialna za kuchnię, a jej starsza siostra sprawowała pieczę nad pokojami na piętrze. Pilnowała, żeby gra przy stołach przebiegała spokojnie i uczciwie, aby służba pracowała sumiennie, a każdy dżentelmen wychodził z Penny House z przeświadczeniem, że oto spędził najprzyjemniejszy wieczór w życiu. I chociaż również głęboko wierzyła w sens dobroczynności, na pierwszym miejscu stawiała wesele Cassii, zwłaszcza że wśród gości było wielu stałych bywalców klubu.

Pratt wymownie odchrząknął.

- Co zatem mam powiedzieć pani siostrze?

- Przekaż jej, że pierwsze dania za moment pojawią się na stołach. - Bethany skinęła głową chłopcu z naręczem cynowych talerzy i wzięła chochlę do nalewania zupy. - I dodaj, że nie zaniedbuję żadnego z gości.

- Panna Amaria chciałaby wiedzieć, kiedy pani pojawi się na zabawie.

Dziewczyna znowu westchnęła i postukała chochlą o dłoń. Rzecz jasna, iż chciałaby jak najszybciej dołączyć do gości weselnych, ale nie lubiła, kiedy siostra mieszała życie prywatne z zawodowym. Po co zapraszała klubowiczów? Ten pomysł wydawał się Bethany niestosowny, a poza tym nie lubiła swawolnych pogaduszek z przygodnymi osobami, zwłaszcza z bogatymi dżentelmenami.

- Przekaż jej, że przyjdę możliwie szybko, gdy tylko wypełnię obowiązki. Na pewno zdążę na tort.

Zarządca obrzucił wzrokiem kolejkę biedaków, pociągnął nosem, a na koniec się ukłonił.

- Wedle życzenia. Czekamy zatem na panią.

Panna Penny z zadowoleniem popatrzyła, jak wychodzi, a następnie stanęła u boku Letty. Codziennie powtarzały te same czynności: nalewały do talerzy po dwie chochle gęstej zupy i dodawały po pajdzie chleba. Dzieci dostawały jeszcze po kubku mleka, a dorośli trochę cydru.

Głodni mogli liczyć także na sezonowe owoce, a dzisiaj, z okazji ślubu, w koszu czekały zawiniątka ze słodkimi migdałami, identycznymi jak te, którymi raczyli się goście na piętrze. Bethany wiedziała, że takie smakołyki to rarytas dla ubogich, więc nie zwracała uwagi na to, ile migdałów znika w kieszeniach na później albo dla przyjaciół. Jej trzódka

była tak wyglodniała, że z pewnością nic się nie marnowało.

- Sami możemy się tym zająć, proszę pani - zaproponowała Letty, która już stała przy drzwiach i kroїła chleb na grube kromki. - Przecież szkoda by było pochłapać taką ładną suknię zupą.

Dziewczyna zerknęła na swoją sukienkę. Zupełnie zapomniała, że ma na sobie elegancki strój, wybrany dla niej przez Cassię. Pomyślała, że brakuje jej nie tylko otwartości Amarii, lecz również dobrego gustu, jakim obdarzona była średnia siostra.

- Dlatego mam fartuszek, Letty - zauważyła i naląła pierwszy talerz zupy. - Niedługo dołączę do gości. Proszę, młodzieńcze, tylko nie rozlej.

Wielu potrzebujących znała z imienia i nazwiska, gdyż przychodzili codziennie. Liczyli na nią i na ten jedyny posiłek w ciągu dnia. A ona nalewała zupę i nie szczędziła krzepiących uśmiechów, czasami pytała o zdrowie dzieci, wysłuchiwała skarg, a niekiedy śmiała się z zabawnych zdarzeń.

Mogła mieć pewność, że ujrzy też nowe twarze. Niektórzy pojawiali się tylko raz i znikali na zawsze. Dzisiaj na końcu kolejki zauważyła nieznanego wysokiego mężczyznę w kapeluszu z szerokim rondem, w cieniu którego skrywał twarz. Idąc, kuśtykał. Było w nim coś groźnego i tajemniczego, skojarzył się Bethany z wilkiem, który im więcej ran odniesie, tym bardziej staje się niebezpieczny. Inni także to wyczuwali: mężczyźni woleli trzymać się na dystans, a kobiety odwracały wzrok. Wszyscy traktowali go z wyraźnym szacunkiem.

- Masz, króliczku, poczęstuj się. - Panna Penny wręczyła porcję migdałów małej rudowłosej dziewczynce, która zawsze stała na początku kolejki. - Jakie śliczne warkoczki! Z pewnością bardzo się napracowałaś przy ich zaplataniu.

- To z okazji ślubu, proszę pani - szepnęło dziecko i zacisnęło paluszki na zawiniątku, zupełnie jakby lada moment smakołyk mógł odlecieć niczym płochliwy ptak.

Bethany z uśmiechem pogłaskała małą po policzku, ale kątem oka obserwowała obcego, który zamiast cierpliwie czekać na swoją kolej, przechadzał się wzdłuż kolejki, zatrzymywał przy inwalidach wojennych i rozmawiał z nimi. Poczowała niepokój. Nagle przypomniała sobie słowa Pratta, który bezustannie ostrzegał ją przed rzezimieszkami i rabusiami.

- Dzień dobry, pani Till - przywitała następną osobę w kolejce. - Proszę uważać, zupa jest gorąca. I niech pani koniecznie weźmie kubek mleka dla syna.

Nieznajomy zbliżał się stopniowo, w miarę jak ubywało ludzi w ogonku. Dziewczyna czułaby się znacznie lepiej, gdyby widziała jego twarz. Mimo że nie mogła dostrzec jej wyrazu, odnosiła wrażenie, iż obcy ją obserwuje, taksuje wzrokiem. Czowała się coraz bardziej zakłopotana...

- Och, proszę pani, najlepsza suknia! - Kucharka rzuciła się do wycierania świeżej plamy na skraju spódnicy panny Penny.

- Żeby tylko udało się wyprać!

- Letty, to tylko kawałek materiału! - Bethany pospiesznie uklękła, wyjęła szmatkę z jej rąk i sama zaczęła usuwać tłustą plamę. - Przynieś czystą chochlę i rozlewaj zupę. Nie przerywaj przeze mnie, bardzo cię proszę - dodała.

- Oto zguba.

Podniosła wzrok i ujrzała chochlę, którą przed chwilą upuściła. Nie musiała spoglądać na twarz mężczyzny, od razu bowiem wiedziała, kto chciał jej pomóc. Niski, gardłowy głos doskonale pasował do aparycji nieznajomego.

- Dziękuję panu - odrzekła i szybko wstała. Choć była wysoka, on okazał się znacznie wyższy; ledwie sięgała mu do ronda kapelusza i nadal nie mogła spojrzeć w jego oczy. Nie wzięła także do ręki chochli, którą trzymał dwoma palcami, lekko kołysząc. - W mojej kuchni na szczęście nie brakuje łyżek i chochli.

- Nie wątpię. - Rozhuśtał trzymaną w ręce łyżkę wazową niczym wahadło. - Penny House jest doskonale wyposażony pod każdym względem.

Nie spodziewała się sarkazmu i nigdy by nie przypuszczała, że obcy mówi z doskonałym, zdradzającym wykształcenie akcentem.

- Karmimy wielu ludzi, zarówno bogatych, jak i biednych. Nie poradzilibyśmy sobie bez sprawnie funkcjonującej kuchni. Należę panu zupy.

- Nie, dziękuję. - Przestał wymachiwać chochlą i zasłonił się nią niczym szlabanem. - Nie przyszedłem tutaj jeść. Chciałem się z panią spotkać.

Bez żadnego konkretnego powodu Bethany nagle się zarumieniła i mocno zacisnęła dłonie na pustym talerzu. Co za absurd, pomyślała. Przez jej podwórze przewinęły się setki,

tysiące mężczyzn, ale żaden nie wprowadził jej w takie zakłopotanie. Z pewnością wyglądała głupio, osłaniając się blaszanym talerzem niczym tarczą, całkiem jakby nieznajomy wymachiwał mieczem, a nie dużą łyżką.

- Nie mogę pana zmusić do jedzenia, chociaż śmiem twierdzić, że solidny posiłek jest niezwykle ważny. Cóż, skoro pan jednak nie je, proszę zrobić miejsce głodnym.

- Wszyscy złaknieni już dostali swoje porcje. Specjalnie zwlekałem, żeby nikt przeze mnie nie czekał na kolację.

Poczerwieniała jeszcze bardziej. Jak mogła nie zauważyć, że jest ostatni w kolejce? I w którym momencie na progu pojawili się dwaj krzepcy służący gotowi w razie potrzeby chwycić za wielkie rzeźnicze noże?

Kucharka podniosła prawie pusty garnek, żeby wnieść go do domu.

- Na dzisiaj koniec, proszę pani, i dobrze, bo czeka nas jeszcze sporo pracy przy obsłudze wesela.

- Zapominasz się, Letty - syknęła Bethany. - Doskonale znam swoje obowiązki, nie musisz mi o nich przypominać.

- Proszę o wybaczenie. - Kobieta wymownie spojrzała na wysokiego mężczyznę. - Ale przecież sama pani wie, że nie możemy marnotrawić tu czasu.

Nieznajomy pokręcił głową, niezrażony jej zachowaniem i widokiem służących.

- Panna Penny nie marnotrawi czasu - zauważył. - Prowadzi ze mną rozmowę.

- Niech pan nie myli życzliwości z poufałością - upomniała go dziewczyna z irytacją. Wyrwała mu chochlę z ręki i wręczyła ją Letty. - To dwa różne pojęcia.

- Nigdy nie twierdziłem, że są tożsame. - Zaśmiał się tak cicho, że nie była pewna, czy się nie przesłyszała. - I nigdy nie popełniłbym takiego błędu.

- Ani ja - burknęła i w końcu spojrzała mu w twarz. To, co ujrzała, zaparło jej dech w piersiach.

Swego czasu ten mężczyzna musiał być niesłychanie przystojny, nawet teraz niejedna kobieta z pewnością doceniłaby jego urodę. Miał mocną szczękę, prosty nos, pełne i jędrne usta. Całości dopełniały ciemne, potargane włosy, przetykane przedwczesną siwizną.

Bethany najbardziej zafascynowały jego oczy, jasnobłękitne i całkowicie

pozbawione ciepła. Wydawały się bezlitosne niczym ślepie wilka i równie odarte z emocji. Dotąd sądziła,

że nie zaskoczy jej widok żadnej twarzy, tyle ich przewinęło się przez jej podwórze. Ten człowiek był jednak wyjątkowy. Zastanowiła się, co takiego widziały jego oczy. Jakież okropności przeżył ów zimny jak lód nieszczęśnik?

- Jest pani bardzo milcząca - zauważył cicho, tak aby tylko ona usłyszała. - A mówiono mi, że panny Penny trajkoczą jak nakręcone.

- Moje siostry i ja mówimy głośno to, co myślimy, nie oznacza to jednak, że paplamy bez sensu - odparła.

- Skoro mówią panie z sensem, to znaczy, że również zgodnie z prawdą. - Uśmiechnął się drapieżnie. - Czy mogłaby pani mi wyjaśnić, czym jest prawda? Cóż to słowo oznacza pani zdaniem, panno Penny?

Zmarszczyła brwi, niepewna, do czego zmierza jej rozmówca.

- Doskonale wiem, co ono oznacza.

- Więc odpowie mi pani na pytanie, tak?

- Nie, proszę pana, nie. - Odłożyła talerz na stertę pozostałych, które leżały na schodku przy wejściu, a następnie pochyliła się i podniosła wszystkie razem. - Mam ciekawsze i ważniejsze zajęcia na głowie niż zabawa w zagadki.

- Nie zadałem pani zagadki - zaprotestował cicho. - Muszę poznać prawdę. Potrzebuję nazwisk ludzi, którzy tutaj przychodzą, żeby korzystać z pani dobroczynności.

- Zatem niepotrzebnie stracił pan czas. - Dumnie uniosła brodę. - Nie oceniam swoich podopiecznych i nie zadaję im pytań. Przychodzą do mnie, bo są głodni. Nigdy ich nie przesłuchuję.

- A jednak do większości z nich zwracała się pani po imieniu.

- Cóż, niestety mam nadzwyczaj dobrą pamięć - prychnęła. - Kolacja będzie podawana jutro o tej samej porze. Każdy jest mile widziany i nikt nie odchodzi z kwitkiem, więc nawet pan może dołączyć do reszty.

Nieznacznie odwrócił głowę i zerknął na Bethany z ukosa.

- Nawet ja?

- Tak. Pod warunkiem, że nie będzie pan oczekiwał odpowiedzi na swoje zagadkowe

pytania.

- Zatem jedno z nas przeżyje rozczarowanie. - Dotknął róna kapelusza. - Miłego dnia, panno Penny.

- Miłego dnia. - Odwróciła się na pięcie i poszła do kuchni.

Prawda, prawda. Cóż to znowu za absurd? Nie zdarzało się jej postępować fałszywie albo kłamać, nie skrywała wstydlivych sekretów. Z pewnością słusznie postąpiła, broniąc prawa do prywatności swojej trzódki.

Nie miała powodu bać się niesprawiedliwych oskarżeń, zwłaszcza rzucanych przez nieznanego, który nawet nie potrafił wyjaśnić, o co mu chodziło.

- Wszystko dobrze, proszę pani? - zafrasowała się kucharka. Od pewnego czasu uważnie obserwowała Bethany i doskonale wyczuwała jej rozterki.

- Oczywiście, Letty. - Dziewczyna odstawiła talerze i popatrzyła na półmiski gotowe do zaniaenia na górę. - Po prostu mamy dziś w kuchni urwanie głowy.

- Zawsze mamy urwanie głowy. Trapi się pani z powodu tego hultaja, ot co. Oczywiście miał jak Lucyfer, a jeśli pan Pratt mówi, że po podwórzu kręcą się łotry, to tego diabła wskazałabym jako pierwszego...

- Nigdy nie interesowałyśmy się życiem osobistym potrzebujących, którzy stają u naszych drzwi - zauważyła Bethany.

- I nie zamierzam tego zmieniać.

Kucharka wyraźnie się skrzywiła.

- Nawet jeśli chcą panią skrzywdzić? Nawet gdy grożą pani, zadając niedorzeczne pytania?

Panna Penny położyła pokrywę na półmiskę i skinieniem głowy dała słuźacemu znać, żeby zaniósł potrawę na piętro.

- Widziałas tego biedaka, Letty. - Usiłowała myśleć o nim wyłącznie jak o lichu ubranym, godnym politowania inwalidzie. - To kaleka, cały w bliznach. Bez wątpienia wrócił z wojny, a ciężkie przeżycia mogły mu trochę zmącić rozum. Powinnyśmy okazać mu zrozumienie i dobroć, a nie podejrzewać o najgorsze.

Te argumenty nie trafiły do serca kobiety.

- Moim zdaniem każdy morderca to szaleniec, a ten diabeł nie był aż tak niedołązny,

żeby nie połamać pani kości. Morderca i obłąkaniec na weselu pani siostry!

Wesele. Bethany pospiesznie zerknęła na mosiężny zegar przy schodach. Nie zdawała sobie sprawy, że odkąd Pratt wyszedł, minęły już dwie godziny.

Natychmiast ściągnęła fartuszek i cisnęła go na oparcie krzesła.

- Letty, muszę gnać na górę. Teraz wszystko pójdzie gładko, ale w razie potrzeby natychmiast przyślij kogoś po mnie.

Podciągnęła spódnicę i wbiegła po tylnych schodach. W ostatniej chwili przypomniała sobie, że powinna przygładzić włosy. Wiedziała, że na policzkach ma rumieńce, a na sukni świeże plamy, było jednak za późno, by zdążyła doprowadzić się do porządku. Na szczycie schodów odetchnęła głęboko i wmieszała się w tłum. Rzadko bywała w klubie, z własnej woli wybrała kuchnię i niemal nigdy z niej nie wychodziła, nawet jeśli w lokalu roiło się od gości.

Tego wieczoru zjawilo się ich naprawdę wielu. Większość stanowili stali bywalcy klubu, choć nie brakowało także członków rodziny. Pan młody zaprosił również garstkę przyjaciół oraz kapitanów żeglugi dalekomorskiej, którzy z tej okazji przyłynęli z rejonu Oceanu Indyjskiego.

Bethany szybko się zorientowała, że zebrani to przede wszystkim mężczyźni, którzy w niczym się nie różnili od typowych klientów Penny House. Podochoceni jegomoście spełniali jeden toast za drugim, rzecz jasna za zdrowie państwa młodych. Już dawno temu poluzowali eleganckie fulary, a ich jedwabne kamizelki były porozpinane aż do pasa. Zachowywali się hałaśliwie, ryczeli ze śmiechu i klepali się po plecach. Dziewczyna mimowolnie pomyślała, że ubodzy wydają się nieporównanie bardziej kulturalni i tak zwane wyższe sfery mogłyby się od nich sporo nauczyć.

Powoli przeszła do jadalni, by zerknąć na długi stół zastawiony potrawami. Na widok tego, co pozostało po torcie weselnym, cicho jęknęła. Śnieżnobiałe arcydzieło sztuki cukierniczej było kompletnie zrujnowane i wyglądało teraz jak kleista góra żółtego błotka, upstrzona zwiędłymi kwiatami pomarańczy. Panna Penny miała nadzieję, że Cassia i Richard zdążyli przynajmniej nacieszyć się widokiem pracochłonnego specjału.

- Bethany! - Siostra zarzuciła jej ręce na szyję. - Och, gdzieś ty się podziewała? Już myślałam, że osobiście będę musiała wyciągać cię z kuchni.

- Na szczęście wyszłam sama. Cassia, piękna panna młoda z ciebie. Tak bardzo się cieszę!

- Ja też, Betts. Upiekłaś boski tort! - Uśmiech sprawił, że na policzku świeżo zaślubionej żony zalśniła plamka lukru. W jej oczach pojawiły się jednak łzy. Już dzisiaj opuszczała dom, jej życie miało się zmienić na zawsze. Odtąd będzie przede wszystkim małżonką Richarda, a dopiero w drugiej kolejności jedną z trzech sióstr z Penny House.

- Po którym zostało jedynie wspomnienie - odrzekła Bethany z lekkim żalem w głosie i wytarła lukier z policzka Cassii. - Widzę, że ci smakował!

- Tylko nie mów tego Richardowi! - Panna młoda zachichotała i pociągnęła swą towarzyszkę w stronę okna, gdzie mogły liczyć na odrobinę prywatności. - Nie uwierzysz, co mi powiedział! Zamierza poprosić cię, żebyś przygotowała wielką miskę lukru, bo chce mnie nim wysmarować od góry do dołu. Możesz się domyślić po co!

Panna Penny zarumieniła się po same uszy. Nie miała pojęcia, co odpowiedzieć, gdyż nie była w stanie wyobrazić sobie siostry i świeżo upieczonego szwagra w tak niezręcznej sytuacji. Smarowanie żony lukrem nie licowało z szacowną instytucją małżeństwa.

- Oho, zbulwersowałam cię! - Cassia nieustannie chichotała, ale i na jej policzkach wykwitły rumieńce. - Sama byłam wstrząśnięta, kiedy Richard mi to zaproponował. Potem jednak szczegółowo opisał, co zamierza zrobić, i jestem pewna, że obojgu nam będzie się to podobało, więc czemuż by nie?

- Cóż - odrzekła młodsza siostra bez przekonania. - Jeśli się mocno kocha męża, pewnie można mu na wiele pozwolić.

- Och, Bette, któregoś dnia sama trafisz na mężczyznę, którego pokochasz całym sercem, i zobaczysz, że wtedy wszystko wygląda inaczej!

Lekko zniecierpliwiona Bethany wzruszyła ramionami. Wcale nie miała ochoty na nikogo takiego trafić. Kiedy jeszcze mieszkały na wsi, nie narzekała na brak adoratorów, którzy koniecznie chcieli z nią tańczyć na zabawach. Teraz jednak, z perspektywy czasu, ich zachowanie wydawało się jej puste i banalne.

- Mam zbyt dużo obowiązków - zauważyła. - Prowadzenie Penny House to poważna sprawa, jak sama dobrze wiesz. Jestem zajęta i nie mam czasu na uganianie się po

Londynie w poszukiwaniu męża.

- Ja również pracowałam, ale nie musiałam uganiać się za Richardem - powiedziała Cassia. - To on mnie znalazł, a nie ja jego.

- Znalazłby cię, nawet gdybyś mieszkała w Chinach. - Bethany nie wyobrażała sobie lepiej dobranej i bardziej zakochanej w sobie pary. - Ale to, co dobre dla ciebie, niekoniecznie musi być dobre dla mnie. Mam siostry, które mnie kochają, mam dach nad głową i cel w życiu. Dlaczego miałabym zawracać sobie głowę mężem?

- Och, moja droga, wszystkie niezamężne kobiety tak mówią, a potem znajdują miłość i zmieniają zdanie. - Cassia wymownie westchnęła. - A jeżeli któryś z dżentelmenów zaproponuje ci znacznie atrakcyjniejszy dach nad głową?

Dziewczyna popatrzyła po twarzach gości, którzy w jej mniemaniu mieli więcej pieniędzy niż rozumu.

- Nie jestem łowczynią fortun - oświadczyła stanowczo. - Przecież sama wyszłaś za Richarda z miłości, a nie dla jego majątku.

- Wobec tego kieruj się moim przykładem. A może już sobie kogoś upatrzyłaś, tylko nie chcesz się przyznać?

- Tak, oczywiście. Wyrósł w ogródku jak chwast, tuż pod moim nosem.

- Kto wie... - Młoda żona przekrzywiła głowę. - Mnie nie oszukasz, dobrze wiem, dlaczego tak późno weszłaś na górę. Zatrzymał cię mężczyzna, prawda?

- Skąd ci to przyszło do głowy? - Panna Penny usiłowała wyglądać na rozgniewaną, chociaż przypomniawszy sobie nieznajomego o bładoniebieskich oczach. - Podawałam kolację mojej trzódce, doskonale o tym wiesz.

- Słyszałam, że rozmawiałaś z jakimś wysokim i przystojnym osobnikiem z tej swojej trzódki. - Błękitne oczy Cassii zalśniły psotnie. - Nawet nie próbuj zaprzeczać, służba o niczym innym nie mówi. Podobno czekał, aż wszyscy w kolejce zostaną obsłużeni, i dopiero wtedy podszedł, żeby z tobą pogawędzić.

- To był tylko jeden z wielu inwalidów - odparła Bethany możliwie stanowczo. - Biedaczysko, na wojnie postradał rozum. W rzeczy samej, chciał ze mną rozmawiać, lecz jego słowa nie miały żadnego sensu.

- Służba utrzymuje co innego. - Siostra nie zamierzała dać za wygraną. - Podobno był

ubogo ubrany, ale wysławiał się niczym dżentelmen, oficer, a poza tym...

- Dajże spokój - przerwała jej panna Penny. - Przy okazji własnego ślubu postanowiłaś zabawić się w swatkę, ot co. W moim życiu brakuje miejsca na miłość. Tamten jegomość zasługiwał na współczucie i ewentualne wsparcie, lecz na nic więcej.

Uścisnęła dłoń Cassii i rozejrzała się uważnie.

- Widziałaś gdzieś Amarię? Powinnam... Panna młoda spojrzała jej w oczy.

- Czy jesteś o tym absolutnie przekonana? Betts, powiedz prawdę, nie owijając w bawełnę.

Prawda. Dziewczyna poczuła, że na jej policzkach znów pojawiają się wypieki. Tego samego żądał od niej nieznajomy. Służący mieli rację: swojego czasu z pewnością był oficerem, dowódcą, człowiekiem dysponującym władzą. Pewnie dlatego tak bardzo przyciągał uwagę.

Ale na tym koniec. Chyba...

- Prawda, siostrze - wyszeptała Cassia. - Chcę znać prawdę. Powiedz, a już nigdy więcej nie będę cię o to męczyć.

Bethany ciężko westchnęła.

- Nie chcę się z nikim wiązać - zadeklarowała. - I to jest najszczerza prawda.

Rozdział trzeci

William jak zwykle zasiadł przy stole pod oknem w gospodzie Pod Złotym Lwem, by zjeść kotlet i wypić mocne piwo. W lokalu panował ścisk; roiło się tu od marynarzy i stoczniovców, w powietrzu unosiły się gęste kłęby tytoniowego dymu i co chwila rozbrzmiewały salwy śmiechu. Nikt nie miał śmiałości zagadywać Callawaya ani tym bardziej dosiadać się do niego. Już dawno temu wszyscy zrozumieli, że ceni sobie samotność, i respektowali jego upodobania.

Podczas posiłku udawał, że czyta gazetę, choć w gruncie rzeczy słuchał, o czym rozmawiają ludzie. Nie tracił nadziei, że kiedyś usłyszy informację, która okaże się bezcenną wskazówką. Tego wieczoru nie dowiedział się jednak nic godnego uwagi, więc z rezygnacją rzucił kilka monet na stół i wyszedł na ulicę.

Latarnie już płonęły. Długi letni dzień dobiegł końca, zza chmur wyrżał srebrny sierp księżyca. Pograżony w rozmyślaniach William nie miał jednak ochoty wracać do domu. Powoli skierował kroki ku rzece. Stojący w cieniu opactwa most Westminsterki był już niemal całkiem pusty. W powietrzu unosiła się wilgoć, niechybna zapowiedź deszczu ze wschodu.

Mężczyzna oparł się o barierkę na samym środku mostu i zapatrzył w wodę. Smród Tamizy był trudny do wytrzymania, ale chlupot fal i widok zmiennych prądów rzeki zwykle działał na niego kojąco.

Tej nocy jednak Callaway nie potrafił znaleźć spokoju. Miał przed oczami oblicze Bethany Penny, równie zagadkowe jak nurt rzeki.

Wybrał się na St James's Street, gdyż uznał za bardzo prawdopodobną teorię, że właśnie ta kobieta jest morderczynią. Była sprytna, potrafiła świetnie doprawiać potrawy, więc bez trudu mogła dosypać trucizny do jedzenia, a przecież każdy ze zmarłych mógł zjeść ostatni posiłek na podwórzu Penny House. Wyobrażał sobie, że spotka surową, zimną piękność bez duszy i sumienia, kobietę czerpiącą krociowe zyski z opróżniania kieszeni głupich, ale bogatych mężczyzn.

Tymczasem w drzwiach kuchennych ujrzał młodą dziewczynę o okrągłej buzi, miedzianych włosach i rumianych policzkach. Zorientował się od razu, że potrafiła, niczym dobry oficer, kierować pracą kuchni skutecznie, choć bez zaprowadzania rządów terroru. Na dodatek była szczerą, otwartą i zwyczajnie dobrą - nawet najlepsza aktorka nie potrafiłaby tak udawać. Każdy, kto podchodził po talerz zupy, otrzymywał też promienny uśmiech Bethany; dzieci i starcy byli traktowani z takim samym szacunkiem jak goście, którzy wchodziły do Penny House głównymi drzwiami.

Gdy wreszcie przyszła kolej na Williama, dziewczyna nie odpowiedziała na jego pytania. Usiłowała rozbroić go uśmiechem, tak jak innych, ale on nie dał się zwieść. Ładnie się uśmiechała, ciepło i przychylnie... Niewiele brakowało, a straciłby czujność...

Na szczęście opanował się w ostatniej chwili. Uśmiech ładnej kobiety już na niego nie działał, zwłaszcza jeśli istniało prawdopodobieństwo, że urocza buzia skrywa mroczną tajemnicę. Zaufanie było luksusem niedostępnym dla żołnierza, który chciał dożyć następnego dnia. Jeden kęs aromatycznej potrawy mógł go przenieść na tamten świat.

Teraz, gdy Callaway wpatrywał się w mroczną toń, widział oblicza dawnych towarzyszy broni. Uśmiech Bethany Penny w końcu rozmył się w jego pamięci...

Nagle drgnął, instynktownie wyczuwając zagrożenie. Nie musiał się odwracać. Wiedział, że za jego plecami znajduje się ktoś, kto z pewnością nie był przypadkowym przechodniem.

Ktoś, kto się na niego zaczął.

William zamarł i zaklął w myślach. Niepotrzebnie stracił czujność. Tylko ułatwił napastnikowi zadanie: stanął przy barierce tak, że ktokolwiek mógł go zająć od tyłu i wrzucić do wody. O świcie fale wyrzuciłyby jego zwłoki na brzeg. Jeszcze jeden niezidentyfikowany trup...

Najwolniej jak potrafił, przesunął ciężar ciała znad barierki na nogi. Na moście nie widział nikogo więcej, byli sami. W wewnętrznej kieszeni płaszcza William nosił nóż i pistolet. Czy zdąży sięgnąć po broń? Czy zdoła ocalić życie?

Kątem oka zerknął za siebie i w bladym świetle latarni dostrzegł cień mężczyzny. Nie stał blisko, jak się można było spodziewać, ale zbliżał się krok po kroku, z lekko uniesionymi rękami. Czekał na dogodny moment...

Callaway jednak nie chciał biernie czekać. Nie zabili go ani Francuzi, ani Hiszpanie i nie zamierzał pozwolić, by zrobił to pierwszy lepszy rzezimieszek.

Raptownie odwrócił się na zdrowej nodze i chwycił intruza, zaciskając rękę na jego płaszczu na wysokości klatki piersiowej i unosząc go do góry. Następnie wyszarpnął nóż z ukrytej pod płaszczem kieszeni i przycisnął długie ostrze do gardła napastnika.

- Czego chcesz? - wysyczał. - Pieniądzy? Mojej śmierci? Dlaczego mnie śledziłeś?

Mężczyzna wyrzeźbił coś niezrozumiale i zaczął wierzgać nogami nad ziemią. Był wyższy, niż sądził William, niemal dorównywał mu wzrostem. Rzucił się w panice i przeżył, żeby się oswobodzić i jednocześnie ocalić gardło.

- Odpowiedz! - Zadyszany Callaway mocno trzymał nóż, nie zważając na opór nieznajomego. Bez trudu wykorzystywał swą siłę, gdyż doskonale pamiętał wszystko, czego nauczył się przed laty. - Mów! Czego chcesz?

- Niczego nie chcę... - wysapał rzezimieszek. - Niczego!

Były major nieco się odprężył, jednak nie był pewien, czy tamten nie kłamie.

- Więc dlaczego nic nie mówisz? Czemu skradasz się za mną jak złodziej?

- Litości, wasza lordowska mość! Lordzie Callaway, przysięgam, że nie kłamię!

William zmełł w ustach przekleństwo. Niewielu ludzi w Londynie wiedziało, kim jest, a jeszcze mniej rozpoznawało jego twarz.

- Skąd mnie znasz?

- Wasza lordowska mość, pokazano mi pana w gospodzie - Stęknął mężczyzna. - Proszę się zlitować nad moją biedną duszą, panie majorze, wasza lordowska mość, litości!

- Nie zasługujesz na litość - warknął Callaway, już nieco spokojniej. Z wprawą przeszukał ubranie nieznanego, ale nie znalazł żadnej broni, więc odsunął nóż od jego gardła i obrócił go tak, żeby spojrzeć mu w twarz.

Intruz zadrżał i z trudem przełknął ślinę. Był młodszy, niż się zdawało Williamowi, ale jego nalana twarz i trzęsące się dłonie świadczyły o notorycznym pijaństwie. Były major brzydził się takimi tchórzliwymi opryszkami.

- Czego jeszcze dowiedziałeś się w gospodzie? - spytał. - Powiedziano ci, że noszę sakwę pełną złota? Że jeśli mnie obrabujesz, wystarczy ci na tydzień picia? Może miesiąc? Albo rok? Usłyszałeś, że jestem kaleką i łatwy ze mnie łup?

- Ten człowiek powiedział, że jest pan lordem - jęknął mężczyzna. - Podobno bogacz z pana...

Nieoczekiwanie ruszył do ataku, unosząc zaciśnięte pięści, ale Callaway wiedział, czego się po nim spodziewać. Nad podziw sprawnie odsunął się na bok, dzięki czemu napastnik stracił równowagę i upadł z głuchym łoskotem. William błyskawicznie ukląkł obok niego i mocno przycisnął go kolanem do ziemi.

- Przeklęty tchórze! - warknął z furją. - Byłbyś gotów ograbić mnie i zamordować, ochlapusie, a może właśnie taki los zgotowałeś moim ludziom...

- Ejże, co tu się wyprawia? - Strażnik miejski podbiegł żwawo i uniósł pałkę. Latarnia w jego drugiej dłoni zakołysała się energicznie. - Cofnij się, ostrzegam!

- Przybywa pan w samą porę - mruknął Callaway i pospiesznie ukrył nóż za pazuchą. Następnie wstał i skrzywił się, gdy musiał wyprostować kaleką nogę. - To diabelskie nasienie chciało mnie zabić.

- A to dopiero. - Strażnik uniósł latarnię i spojrzał mu w oczy. - Nie na odwrót?

- Ależ nie! - zaprzeczył inwalida, z trudem panując nad sobą. Psiakrew, nie mógł pozwolić, żeby gniew przejął nad nim kontrolę. - Ten człowiek zaatakował mnie pierwszy. Jestem William Callaway, lord w randze majora.

- Czyżby? - Z gotową do ciosu pałką strażnik obejrzał go od stóp do głów, jakby nie dowierzał jego słowom. - Żołnierz potrafiłby rozprawić się z zabójcą - oświadczył i czubkiem buta trącił niedoszęłego rabusia. - A co ty masz do powiedzenia, człowieku?

Leżący na ziemi mężczyzna jęknął głośno.

- Symuluje - burknął William z pogardą. - Chce pozyskać pańską życzliwość. Próbował mnie zaatakować, ale się potknął i upadł. Nawet nie musiałem mu pomagać.

- Pewne jest, że jęczy. - Strażnik ponownie zerknął na Callawaya, ale przynajmniej opuścił pałkę. - Nie ruszał go pan, tak?

- Podaje pan w wątpliwość moją prawdomówność? - spytał tamten z goryczą. - Walczyłem w Hiszpanii. Znam sto sposobów na zabicie człowieka i widziałem więcej trupów, niż zdołałby pan zliczyć. Jednak przeżyłem. Ja przeżyłem, choć wielu innych nie.

Strażnik niepewnie popatrzył na niego, a potem raz jeszcze na leżącego. W końcu skinął głową i dotknął runda kapelusza.

- Skoro pan tak mówi, panie majorze, to musi tak być - oświadczył. - Zajmę się tym typkiem, a pan może wracać do domu.

William nie zamierzał dać się zbyć.

- Chętnie złożę skargę na tego oprycha...

- To nie będzie konieczne - przerwał mu strażnik. Opuścił latarnię i szturchnął leżącego pałką. - Nie wygląda groźnie.

- Ale gdybym mógł...

- Nie, wasza lordowska mość - powiedział z lekką kpina mimo pozornie uprzejmych słów. - Ale niech pan na siebie uważa w drodze do domu. W niektóre noce nawet psa nie na-

leżałoby wypuszczać na ulice Londynu, a co dopiero takiego dżentelmena...

- Do diaska, nie potrzebuję...

- Oczywiście, nie potrzebuje pan - zgodził się strażnik z irytującą cierpliwością. - Ale może każe sprowadzić pańską żonę albo córkę? Ktoś powinien się panem zająć.

- Niech to czort! - zaklął Callaway. - Nie chcę opieki. Nic nie chcę.

Odwrócił się i z wysiłkiem odszedł. Mijając stare opactwo, usiłował zapanować nad gniewem, który jak zwykle ogarnął go zbyt szybko. Rozsądny człowiek nie powinien tak raptownie ulegać emocjom. Co jednak miał począć, skoro w głosie strażnika słyszał politowanie? Czy naprawdę ktoś powinien o niego zadbać? Może faktycznie stanowił zagrożenie dla siebie i innych. Udawał żalosego żebraka tak skutecznie, że czasami niemal wierzył we własne nieszczęście. Czy rzeczywiście powinien oddać się w czule ręce troskliwych kobiet? Tak samo jak wtedy, gdy powrócił do domu?

Wówczas przy jego łóżku nie czuwały jednak ani jego matka, ani siostry, zresztą wcale tego od nich nie oczekiwał, były wszak arystokratkami. Nawet gdyby bardzo chciały, ojciec Williama nigdy by na to nie pozwolił. Do opieki nad nim zatrudniono kobiety o ponurych obliczach, sprowadzone z Edynburga. Były doskonałymi pielęgniarkami, ale ich widok prześladował go bezustannie, gdy rzucał się w gorączce i z powodu bólu. Nic dziwnego: przecież to one wgniatały go w łóżko, kiedy londyńscy lekarze usiłowali poskładać jego roztrzaskaną nogę.

Opuścił wzrok na swoje sfatygowane obuwie. Podeszwa buta na chromej nodze wycierała się nierówno i musiał się z tym pogodzić. Gdyby jego oddział wpadł w zasadzkę bliżej linii frontu oraz polowych szpitali, wówczas chirurdzy najzwyczajniej amputowaliby mu nogę. Powinien się cieszyć z tego, co ma, a nie utyskiwać, że coś utracił. Taka już żołnierska dola.

Tego wieczoru jego myśli wędrowały jednak bardziej pokrętnymi ścieżkami. A gdyby pielęgnowano go z życzliwością i poświęceniem, a nie z poczucia obowiązku? Przecież mogła o niego zadbać pielęgniarka, która z uśmiechem pochylałaby się, żeby otrzeć mu pot z czoła.

Na przykład taka Bethany Penny...

Gdyby to była ona, okazałaby mu litość, ale nic więcej nie mogłaby dla niego zrobić. Jego sytuacja nie zmieniłaby się ani na jotę. Niepotrzebnie zaprzętał sobie głowę tymi rozważaniami.

Oczekiwał sprawiedliwości, a nie litości. Zasłonił twarz rondem kapelusza, wepchnął ręce głęboko do kieszeni i skręcił w ciemną ulicę.

Sprawiedliwość. Oto, czego chciał, czego potrzebował, na co zasługiwał.

Bethany stała z filiżanką herbaty w dłoni i wyglądała przez okno w saloniku na piętrze. Padał deszcz. Wraz z Amarią doszły do wniosku, że dzisiaj klub nie będzie czynny, aby służba mogła nieco odetchnąć po hucznym weselu. Rankiem młodsza panna Penny czuła się nieco dziwnie w tym dużym, cichym jak nigdy domu. Ostatni goście pożegnali się dopiero o trzeciej w nocy i na dobrą sprawę dziewczyna powinna jeszcze smacznie spać, jednak nawyk okazał się silniejszy od zmęczenia.

Zawsze wstawała wcześnie, żeby zrobić zakupy na targowisku przy Covent Garden, więc i tym razem obudziła się o zwykłej porze, tuż przed świtem. Nie mogła potem zasnąć, wyczerpana natłokiem emocji przeżytych poprzedniego dnia. Czuła się tak zmęczona i rozbita, że mogła tylko patrzeć, jak wielkie krople spływają po szybie.

Letni deszcz był nieporównanie przyjemniejszy od zimowej pluchy, ale i tak zamartwiała się o swoją trzódkę, w szczególności o małe dzieci i staruszków. Większość jej podopiecznych wyszukiwała sobie prowizoryczne schronienia lub po prostu ignorowała deszcz, co niezmiennie prowadziło do zapadania na poważne choroby.

Ulewa zdawała się nie mieć końca. Zastanawiała się, czy tajemniczy nieznajomy ponownie zjawi się na kolacji dla ubogich? Tylu ich przychodziło tylko raz i znikало na zawsze... Czy i on odszedł? A może wróci i raz jeszcze zażąda prawdy zamiast posiłku?

- Chyba czuję zapach śniadania - ziewnęła Amaria od progu i zawiązała pasek kwiecistego szlafroka z jedwabiu. Powoli podeszła do stołu i lekko uniosła pokrywkę na półmisku.

- Co to, Betts? Pieczona cebula z jajkami?

- Szalotki w ziołach - odrzekła panna Penny i odstawiła filiżankę. - Trochę zostało z wczoraj, pomyślałam, że będą pasowały do jajek. Poczekaj, podpiekę ci bułeczkę...

- W żadnym razie - zaprotestowała starsza siostra. Ujęła młodszą za łokieć i delikatnie posadziła na krześle. - Pamiętaj, że przez cały dzień odpoczywamy. Bieganie w tę i z powrotem po schodach tylko po to, żeby podpiec bułeczkę, nie ma nic wspólnego z wypoczynkiem.

- Wcale nie musiałabym schodzić do kuchni. Przyniosłam jajka, to prawda, ale bułeczki możemy przyrumienić na miejscu, w kominku. - Bethany usiłowała oswobodzić

się z uścisku.

- To nie jest żaden kłopot. Ty musisz jeść, a ja gotować. - Westchnęła zniecierpliwiona. Położyła ręce na kolanach i przyglądała się, jak Amaria nalewa sobie herbaty z imbryczka z motywem irysów. - Nic na to nie poradzę, że zawsze się budzę o tej samej porze. Bezczytność również nie leży w mojej naturze. Dla zabicia czasu załatwiłam kilka drobnych spraw.

- Drobnych? Akurat. - Starsza panna Penny przerzuciła długi warkocz przez ramię i sięgnęła po pomarańczę ze srebrnej patery. - Twoje drobne sprawy wykończyłby Herkulesa.

- To naprawdę były same drobiazgi - upierała się Bethany. - Przygotowałam jadłospisy na następny tydzień i przejrzałam rachunki.

- I nic więcej? - zapytała z powątpiewaniem Amaria.

- Prawie nic - powiedziała z wahaniem dziewczyna. Żałowała, że nieznajomy, który nie wierzył w jej prawdomówność, nie mógł jej teraz zobaczyć. Nie umiała skłamać nawet w najbliższej sprawie. - Jeszcze tylko zaczęłam przeglądać nową książkę kucharską, którą pan Sillinger przywiózł nam z Rzymu. Wiele włoskich słów przypomina łacińskie, a nawet angielskie, więc sprawdziłam ich znaczenie w słowniku taty i przetłumaczyłam kilka pierwszych przepisów...

- Och, Betts, właśnie o to mi chodziło! - zawołała Amaria. - Ojciec uczył nas zaradności, ale nie chciał, byśmy harowały od świtu aż po zmrok. Powinnaś wreszcie zacząć cieszyć się tym, co ofiarowuje ci życie. Zastanów się tylko, ile straciłaś wczoraj, kiedy tkwiłaś w kuchni, zamiast bawić się na weselu.

- Wcale nie tkwiłam, tylko twórczo spędzałam czas. Niby kto miał zadbać o nakarmienie gości?

- Od czego masz służbę? - Amaria zjadła kawałek pomarańczy. - Ciężko pracowałyśmy, żeby wesele się udało, ale pod wieczór prawie wszystko było już gotowe. Na pewno mogłaś przyjść na górę wcześniej.

Bethany zmarszczyła brwi i pogłaskała opuszkami palców obrzeże spodka. Przypomniała sobie panujący tu wczoraj tłok, zaduch i hałas, od którego kręciło się jej w głowie.

- Nie jestem taka jak ty czy Cassia. Nie lubię licznego towarzystwa.

- Jak możesz zainteresować się jakimś dżentelmenem, skoro nigdy nie ma cię na górze? Wierz mi, większość z nich jest dowcipna, ale niektórzy bywają równie nieśmiali jak ty. Lord Harleigh znowu o ciebie pytał.

- Och, lord Harleigh... - Dziewczyna z niesmakiem zmarszczyła nos. - Widział mnie tylko raz w życiu, a nie wiadomo jakie głupstwa wygaduje. Ten człowiek potrzebuje kucharki i zdecydował, że najtańszym wyjściem będzie poproszenie mnie o rękę!

- Nie zamierzam szukać zastępstwa za ciebie - oświadczyła Amaria, oblizując lepkie od soku palce. - Nie widzę jednak nic złego w tym, że jakiś dżentelmen docenia twoje umiejętności oraz urodę.

- Ojciec ofiarował nam Penny House, żebyśmy mogły pomagać innym, a nie szukać bogatych mężów!

- Nie zapomniałam o tym, Betts. - Starsza siostra uśmiechnęła się szeroko. - Miałyśmy być jego Robin Hoodami w spódnicach, uszczuplać nabite kabzy bogatych i na wszelkie sposoby wspierać ubogich.

Nie minął jeszcze rok od nagłej śmierci ojca panien Penny. Umarł niespodziewanie podczas pielienia grządek w przykuchennym ogrodzie w Woodbury. Wstrząs wywołany odejściem pastora zapoczątkował nowy etap w życiu jego córek, zgodnie z jego wolą.

- Cassia i Richard dobrali się jak w korcu maku, i bardzo dobrze - ciągnęła Amaria. - Papa z pewnością chciałby, żebyśmy czyniły dobro i zarazem były szczęśliwe u boku ukochanych mężczyzn. Przecież sam znalazł szczęście. Bardzo kochał naszą mamę.

- Oczywiście - przytaknęła Bethany z irytacją. - Ale to nie daje ci prawa do bawienia się w swatkę.

- Nie zamierzam być niczyją swatką. Ledwo wystarcza mi energii na pilnowanie porządku przy stole do gry w karty. Jestem przekonana, że ojciec zmusił nas do przeprowadzki z Woodbury do Londynu, abyśmy mogły staranniej wybrać sobie kandydatów na mężów. Chciał, żebyśmy znalazły prawdziwą, trwałą miłość. My wszystkie, także ty, Betts.

- Nie znajdę prawdziwej miłości u boku tego koszmarnego lorda Harleigha - wzdrygnęła się dziewczyna i wstała. Nie podejrzewała, że po odejściu Cassii tak wiele się

zmieni między nią a najstarszą siostrą, i to niekoniecznie na lepsze. - Wierz mi, usiłujesz być swatką. A jeśli uważasz, że nie mam nic lepszego do roboty, tylko...

- Tak, tak, doskonale wiem, że uwielbiasz szorować patelnie i obierać cebulę, ale dzisiaj idziemy na zakupy. Jedynym sposobem oderwania cię od kuchni jest spacer. Dzisiaj mamy wolne!

- Nie mogę - zaprotestowała Bethany. - Moja trzódka będzie czekała.

Amaria przełknęła ostatni kęs pomarańczy i wytarła palce w serwetkę.

- Przecież już kilka tygodni temu postanowiłyśmy, że Penny House będzie dzisiaj nieczynny. Obie się zgodziłyśmy, że i nam, i służbie przyda się wolny dzień po weselu.

- To prawda, uznałyśmy, że zamkniemy kasyno, ale nie było mowy o kuchni. Ubodzy liczą na mnie i nie ma powodu, żeby chodzili głodni, bo ja mam akurat taki kaprys, żeby sobie wypoczywać.

Starsza siostra zacisnęła wargi. Najwyraźniej nie spodziewała się tak stanowczego oporu.

- Betts, proszę cię, zastanów się tylko...

- Już się zastanowiłam. - Dziewczyna pochyliła się i oparła dłonie na blacie stołu. - Bywalcy Penny House pójda na kolację do innego lokalu albo wybiorą się do teatru, a w najgorszym wypadku - ach, po prostu zgroza! - zostaną w domu z rodziną. Moje zupy i jabłka często bywają natomiast jedynym posiłkiem dla tych, którzy się u mnie stołują. Jeżeli ja pójdę na zakupy, oni będą chodzili głodni. Nie martw się, nie zamierzam odbierać wolnego dnia personelowi kuchennemu. Spodziewam się dzisiaj bardzo niewielu potrzebujących, bo przy brzydkiej pogodzie mało komu chce się do mnie fatygować, więc sama zajmę się gotowaniem.

- Och, Bethany... - Amaria dotknęła palcami jej dłoni. - Ojciec chciał, żebyśmy czyniły dobro, ale nigdy nie żądał, byśmy same zbawiły świat.

Młodsza panna Penny odsunęła rękę.

- Nie staram się zbawić całego świata ani nawet Londynu. Po prostu dbam o gromadkę moich głodnych podopiecznych - oznajmiła.

Jej siostra westchnęła i pokręciła głową.

- Miałam nadzieję, że uda mi się zaczekać z tą rozmową do jutra, ale najwyraźniej

postanowiłaś zrezygnować z wolnego dnia. Pratt powiedział mi coś, co...

- O, nie, tylko nie to! - Bethany buntowniczo założyła ręce na piersiach. - Najpierw Cassia, a teraz ty! Co ten plotkarz wam naopowiadał? Jakich bzdur musiałaś wczoraj wysłuchać w związku z tym biednym panem?

- Jakim znowu panem? - zdumiała się Amaria i zrobiła tak zaskoczona i niewinna minę, że młodsza siostra od razu zrozumiała swoją omyłkę.

- Takim jednym, który wczoraj przyszedł razem z ubogimi - wykrztusiła pośpiesznie i odwróciła się, żeby ukryć twarz. - To bez znaczenia. Jakieś biedaczysko wydawało się inne niż reszta trzódki. Wysławiał się tak, jakby bardziej pasował do towarzystwa przy stołach karcianych niż do kolejki po zupę. Ponieważ chciał ze mną rozmawiać i zaczekał, aż skończę wydawać kolację, służba strasznie się podekscytowała. Jestem pewna, że z powodu ślubu i ogólnego zamieszania zaczęli węszyć intryki i wyobrazać sobie nie wiadomo co.

- Czego ten człowiek chciał od ciebie? Prosił cię o pieniądze?

- To bym potrafiła zrozumieć. - Bethany ciężko westchnęła. - Ten mężczyzna domagał się ode mnie prawdy, zupełnie jakby to było coś, co się trzyma w kredensie. Moim zdaniem już nigdy nie wróci. Tak najczęściej bywa z tego typu ludźmi.

- Miejmy nadzieję, że faktycznie więcej się nie pojawi - odrzekła Amaria. - Zdążyliśmy już przyzwyczaić się do Londynu, jednak pod pewnym względami nadal jesteśmy tutaj obce. Nie chcę cię straszyć, ale musisz zachować szczególną ostrożność. Ludzie, których dożywasz... twoja trzódka nie składa się z samych dobrych ludzi. Pratt opowiedział mi o kilku bardzo dramatycznych morderstwach, które mają związek z domami pomocy.

- Ktoś zginął? - zatroskała się Bethany. - Doszło do bijatyki? Słyszałam o organizacjach dobroczynnych, które...

- Nie, nie chodzi o bijatykę - zaprzeczyła Amaria. - Parę osób otruto. Trucizna znajdowała się w pożywieniu, które trafiło do ubogich.

- To niewiarygodne! - Zbulwersowana dziewczyna popatrzyła na siostrę. - Moja praca polega na pomaganiu ludziom, żeby przeżyli! Jak można mordować osoby, które przychodzą po miskę stawy? Nie wyobrażam sobie obrzydliwszej zbrodni!

- Niestety, tak właśnie się stało. Musimy uważać, nie wiadomo, kiedy i gdzie morderca zaatakuje ponownie. Twoje bezpieczeństwo jest najważniejsze, lecz powinniśmy także dbać o dobre imię Penny House. Wyobraź sobie, jaki wybuchłby skandal, gdyby...

Bethany pokręciła głową i nerwowo zawiązała troczki fartucha.

- Nie zamierzam rezygnować z tego, co robię. Moja trzódka musi mieć pewność, że u mnie zawsze czeka na nią ciepły, solidny posiłek.

- Przynajmniej na pewien czas powinnaś zawiesić dożywianie ubogich, Betts - oświadczyła starsza siostra tak stanowczym tonem, jakby już podjęła decyzję i nie zamierzała od niej odstąpić. - Powiedzmy na dwa tygodnie, do czasu, gdy straż miejska znajdzie winowajcę.

- Ciekawe, jak straż będzie szukała mordercy, skoro ofiary na pewno były bezimienne, nigdzie nie pracowały i nikt nie przejmował się ich losem? W tym mieście nikogo nie interesuje śmierć ubogiego człowieka!

Amaria niecierpliwie postukała palcami w stół.

- Mam rozumieć, że teraz zamierzasz wcielić się w rolę strażnika miejskiego?

- Masz rozumieć, że nie wolno nam dać się zastraszyć. To by było tchórzostwo - odparła Bethany ze złością. - Najchętniej ukryłabyś się i czekała beczynn timer, ale nie tego uczył nas ojciec!

- Ojciec nie chciałby, żebyś narażała na szwank dobre imię swojej kuchni i rodziny - oznajmiła Amaria z irytującą pewnością siebie, zaciskając palce na łyżeczce. - Poza tym nie wolno ci sprowadzać zagrożenia na osoby bywające w Penny House!

- Papa nie byłby tak podejrzliwy - zaperzyła się dziewczyna i obiema rękami wsunęła nerwowym ruchem krzesło pod stół.

- Zwłaszcza w stosunku do ludzi najbardziej potrzebujących.

- Betts, przecież ja tylko...

Młodsza panna Penny była już na schodach. Jedną ręką uniosła nieco suknię, drugą oparła na poręczy i zeszła, stukając obcasami o drewniane stopnie. Tym razem nie zamierzała ustąpić. Poza tym była tak wściekła, że miała ochotę wygarnąć siostrze prosto w oczy, co o niej myśli, choć później na pewno żałowałyby swojej pochopności. Kiedy Amaria stała się tak zimna i nieczuła? Czy to możliwe, że interesowali ją wyłącznie

bogacze z klubu? Dlaczego pozostawała obojętna na cudze cierpienie?

Bethany wpadła do pustej kuchni, nerwowo wrzuciła podpałkę do pieca, w którym wciąż tlił się ogień, i pomachała wachlarzem, żeby rozniecić płomień. Wkrótce zapaliły się najpierw drobne gałązki, a potem większe szczapy, a ona podeszła do spizarki, w której znajdowały się resztki z wczorajszej uczyty weselnej. Zamożni goście jak zwykle więcej wypili, niż zjedli, więc zostało sporo jedzenia dla ubogich. Postanowiła, że upiecze paszteciki - prawdziwy przysmak dla trzódki, na dodatek łatwy do przyrządzenia przez jedną osobę. Gdyby chciała ugotować garnek zupy, nie poradziłaby sobie z jego przeniesieniem.

Energicznie posiekała mięso, odfiletowała gęś, pokroiła szynkę i szybko poszatkowała cebulę. Posługiwała się wielkim nożem tak sprawnie, jak wytrawny szermierz szablą, od razu było widać, że w kuchni czuje się doskonale.

Zajęta przyrządzaniem pasztecików, nie usłyszała stukania do kuchennych drzwi. Dopiero gdy się odwróciła, żeby postawić na ogniu patelnię z cebulą, zauważyła za szybą cień mężczyzny. Wstrzymała oddech, rzuciła miskę na stół i błyskawicznie chwyciła wielki nóż. Serce podeszło jej do gardła, a w uszach zabrzmiały ostrzeżenia siostry.

- Kto tam? - krzyknęła przez zaryglowane drzwi, kiedy zapukano ponownie. - Czego pan chce?

Nieznajomy zbliżył się do szyby. Zauważyła jego szerokie ramiona, ciemne włosy wystające spod kapelusza o szerokim rondzie i bladobłękitne oczy, które na zawsze zapadły jej w pamięć.

- To ja, panno Penny - powiedział cicho. - Chcę z panią porozmawiać.

Rozdział czwarty

William przyszedł do Penny House wcześniej, niż zamierzał. Uznał, że Bethany będzie mniej zajęta i bardziej skłonna do rozmowy. Powtarzał sobie, że chce tylko wypytać ją o przypadki śmierci przez otrucie, o swoich podkomendnych i o nic więcej. Nie rozumiał, dlaczego do późnej nocy nie mógł zasnąć, przewracał się z boku na bok i myślał o tym, że jasnoniebieska suknia pięknie podkreślała urodę dziewczyny, że panna Penny

poruszała się z gracją i elegancją, a jej oczy zalśniły błękitnym ogniem, kiedy zadawał jej prowokujące pytania. Czy to możliwe, by w ciele tak pięknej kobiety mogła się skrywać dusza mordercy?

Najbardziej jednak nękało go coś, do czego nie chciał się przyznać nawet sam przed sobą. Marzył o rychłym spotkaniu z Bethany.

Z runda jego kapelusza lała się woda niczym z rynny i choć postawił kołnierz płaszcza, zimne krople spływały mu po karku na plecy. Raz jeszcze zastukał w solidne, drewniane drzwi.

- Daję pani słowo, że nie przyszedłem w złych zamiarach! - zawołał. Miał nadzieję, że go słyszy. - Jestem przemoknięty jak stary kulawy pies, który wpadł do rzeki, i równie groźny jak to nieszczęsne stworzenie.

- Raczej jak wilk, który wędruje podczas ulewy. - Mówiła ostrożnie, jakby spodziewała się najgorszego. - Za wcześnie pan przyszedł. Kolacja będzie dopiero za kilka godzin.

- Nie przyszedłem po kolację - odparł. - Jestem tutaj z pani powodu. Klnę się na honor, że nie zrobię pani krzywdy, panno Penny. Słowo oficera królewskiej armii.

Nie odpowiedziała. William zajrzał do środka przez zalane deszczem okno, ale niewiele zobaczył w pogrążonej w półmroku kuchni.

- Był pan oficerem? - spytała po namyśle.

- Nadal nim jestem i będę do ostatniego tchnienia - zapewnił ją cicho. - A nawet później, kiedy spocznę w grobie.

- Jest pan inny niż oficerowie, których miałam okazję poznać.

Callaway uśmiechnął się półgębkiem.

- Nie sądziłem, że zna pani ich wielu. Penny House nie słynie z odwiedzin królewskich oficerów.

- To prawda - przyznała z goryczą. - Zdecydowanie chętniej ściągają do nas rozrzutni arystokraci, którzy zamiast sumienia mają pełne portfele, a także ich synowie, zdecydowani jak najszybciej roztrwonić odziedziczony majątek.

- Och, zatem istnieją granice pani słynnej wyrozumiałości.

- William postanowił jej nie zdradzać, że on sam należy do obu wymienionych przez

nią kategorii.

- Klub to interes jak każdy inny - oświadczyła Bethany. - Jedyne różnice polega na tym, że osoby wchodzące frontowymi drzwiami automatycznie, i najczęściej bezwiednie, wspierają ludzi, którzy zjawiają się z tyłu budynku.

Zanim odpowiedział, odciągnęła ciężką zasuwę. Sztaba zazgrzytała metalicznie i dziewczyna otworzyła drzwi, a następnie cofnęła się, żeby wpuścić niespodziewanego gościa.

- Pięć minut, nie więcej - uprzedziła go. - Mam dużo pracy i nie mogę sobie pozwolić na marnowanie czasu.

Znieruchomiał na progu, wyraźnie zaskoczony.

- Nie powinna pani wpuszczać mnie do środka. Nic pani o mnie nie wie.

- Zamierzam udowodnić, że moja siostra się myli.

- A jeżeli ma rację?

- Wątpię i dlatego postanowiłam dać panu kredyt zaufania. Poza tym służący i kamerdyner lada moment wrócą z piwnicy z winem, więc nic mi nie grozi.

Kłamała. William zajrzał przez okno, zanim zapukał, i nigdzie nie dostrzegł żadnej służby. Rzecz jasna, nie zamierzał skrzywdzić Bethany - zresztą nawet gdyby zamierzał, mogłoby to nastęrczać nieco trudności, gdyż ścisłała w dłoni ogromny nóż.

- Dziękuję. - Wszedł do środka i strząsnął wodę z kapelusza, nim powiesił go na oparciu krzesła. - Pięć minut, nie dłużej. Może pani odłożyć nóż, jeśli pani chce.

- Nie chcę. - Uśmiechnęła się, ale było jasne, że w razie potrzeby nie zawaha się użyć broni. - I nie odłożę.

- Urocze.

- Nie widzę w tym nic uroczego - oświadczyła wyniośle. - Poza tym marnuje pan swoje pięć minut. Jeżeli ma pan coś do powiedzenia, proszę wreszcie zacząć.

- Oczywiście. - Rozpiął płaszcz, wyciągnął własny nóż i rzucił go na stół. - Skoro moje słowo pani nie wystarcza, chętnie się rozbroję. Teraz może pani pójść za moim przykładem.

Na widok groźnie wyglądającego sztyletu Bethany otworzyła szeroko oczy.

- Czy ma pan także pistolet? - spytała z drzeniem w głosie. - A może dysponuje pan

inną bronią?

- Solidny nóż w zupełności wystarcza, we właściwych rękach, rzecz jasna.

- Racja. - Zerknęła na własny nóż i również położyła go na stole. - Już. Niech pan mówi.

Uśmiechnął się po raz pierwszy. Panna Bethany podobała mu się znacznie bardziej, niż powinna.

- Odważna z pani kobieta.

- Albo nierozsądna. - Wyprostowała się z założonymi na piersiach rękami. - Z dwóch powodów nie zapytam pana, kim pan jest. Po pierwsze, byłoby to skrajnie nieuprzejme, po drugie, szanuję anonimowość osób, które tutaj przychodzą. Nie rozumiem jednak, dlaczego ubiera się pan jak straganiarz, skoro podobno jest pan oficerem.

Dotknął swej wytartej kamizelki.

- Nie każdy może sobie pozwolić na opiekę troskliwej służby, panno Penny.

- I nie każdy się na to decyduje, nawet jeśli ma wystarczająco dużo pieniędzy. W pańskim płaszczu brakuje guzików i roi się w nim od dziur, ale dłonie i włosy ma pan zadbane. Jest pan gładko ogolony. Stoi pan w kolejce po posiłek, choć biorąc pod uwagę pana sposób wysławiania się, mógłby pan spokojnie bawić wśród arystokratów. Nad pańską brwią dostrzegam świeżego siniaka, którego wczoraj na pewno pan nie miał. Zapewne uderzył się pan głową o gałąź, która wyrosła w niefortunnym miejscu, prawda?

- Nadzwyczaj niefortunnym - zgodził się ostrożnie.

- Właśnie - ciągnęła. - Widzę też, że ma pan otarte i spuchnięte kostki na dłoni.

Siniak na czole i poraniona ręka... Może za te obrażenia odpowiada pięść i szczeka innego mężczyzny, a nie gałąź?

Uśmiechnęła się triumfalnie i spojrzała na niego, jakby oczekiwała, że odwzajemni uśmiech, on jednak nie podzielał jej rozbawienia.

- Jest pani niesłychanie spostrzegawcza, panno Penny. - Czy naprawdę oczekiwała od niego, że przyzna się do uczestnictwa w bójce na środku mostu?

- Ojciec zawsze powtarzał, że ludzi należy oceniać po tym, co robią, a nie co mówią. Napije się pan herbaty?

Uniósł brwi.

- Nie zdążę w zaledwie pięć minut.

- Chyba postępuję niemądrze. - Westchnęła i odwróciła się do niego plecami, żeby nalać gorącej wody do imbryka. Miała włosy związane w luźny koczek i spięte szpilką. Mężczyzna mimowolnie zawiesił wzrok na jej odsłoniętym karku, jasnokremowym i delikatnym. - Proszę usiąść. - Wskazała masywny fotel na końcu stołu, przy którym jadała służba. - Teraz wystąpi pan w roli pana Pratta.

- Wystarczy, że występuję w roli Williama Callawaya.

Nie odwróciła się.

- Więc tak się pan nazywa? Callaway?

- Tak mi powiedzieli rodzice. - Powoli podszedł do fotela, starając się zamaskować kalectwo. - Nie powinna pani odwracać się do mnie tyłem.

- Jak inaczej miałabym zaparzyć herbatę? - Spojrzała na niego ponownie i uśmiechnęła się życzliwie.

- Przecież mógłbym mieć przy sobie jeszcze jeden nóż i zaatakować panią. Nie miałaby pani szans.

Postawiła przed nim filiżankę na spodku, a następnie nalała do niej herbaty z imbryka.

- Ojciec mnie uczył, że powinnam ufać ludziom, o ile na to zasługują w mojej ocenie. Cukru czy śmietanki?

- Obdarzyła mnie pani zaufaniem? - Położył dłonie na stole i nagle zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem sam nie jest zbyt ufny. - Czym sobie zasłużyłem na taki zaszczyt...?

- Och! - Bethany gwałtownie sięgnęła po filiżankę i odsunęła ją od gościa, przy okazji rozlewając herbatę. Pewność siebie dziewczyny nagle znikła, zaczęła mówić pospiesznie i nerwowo. - Myśli pan, że chcę pana otruć, prawda? Nie wypije pan herbaty, bo nie zamierza pan umrzeć tak jak tamci biedacy? Nie pomyślałam...

William znieruchomiał.

- Co pani wie o tej sprawie?

- Wiem tyle, że odebranie komuś życia jest największym grzechem. - Potrząsnęła spierzonymi palcami w powietrzu, żeby je ochłodzić. - Ale jeszcze gorszą zbrodnią jest

zatrucie żywności, którą przekazuje się w darze, licząc tylko na czyjaś wdzięczność. Wiem, że nigdy, przenigdy nie postąpiłabym tak podle.

Wzięła do rąk spodek z rozlaną herbatą i wypła ją.

- I już - oznajmiła wyzywająco. - Poparzyłam sobie język, ale udowodniłam, że z mojej strony nic panu nie grozi.

W milczeniu sięgnął po filiżankę i nalał z niej herbaty na ten sam spodek. Następnie odwrócił kruchy, porcelanowy talerzyk, tak żeby jego krawędź dotykała jego warg w miejscu, w którym zetknęła się z jej ustami.

Wiedział, że Bethany go obserwuje i doskonale zdaje sobie sprawę z tego, co robił. Choć spoglądała na niego wielkimi, niewinnymi oczami, była właścicielką klubu dla panów i na pewno niejedno w życiu widziała. William celowo zachowywał się prowokująco, jakby pragnął rzucić jej wyzwanie.

Herbata nadal była gorąca, nic dziwnego, że dziewczyna się poparzyła. Przytknął usta do porcelany, z której przed momentem piła. Zrobił to, bo pragnął nią wstrząsnąć, zbulwersować, a tymczasem poczuł się w dziwny sposób z nią związany. Pił herbatę i nieustannie z uwagą patrzył Bethany w oczy.

- I już - oświadczył, odstawiając pusty spodek. - Teraz pani również może mi zaufać.

Zarumieniła się i w końcu odwróciła wzrok. Sięgnęła po imbryk i napełniła dwie filiżanki, jego i swoją. Podsunęła mu napar i usiadła na krześle. Pomyślała, że musi wziąć się w garść, i znów popatrzyła mu w oczy.

- Gdybym wcześniej panu nie zaufała, nie siedziałby pan przy moim stole - zauważyła z zaskakującym spokojem.

William odchrząknął.

- Czy to znowu nauki ojca?

- Niewykluczone. - Postukała paznokciem o brzeg filiżanki. - Chyba nie przyszedł pan tutaj, żeby gawędzić o moim ojcu?

Czy naprawdę musiała przypominać mu o jego obowiązkach? Co się z nim działo? Dlaczego przy niej zapominał o tak podstawowych sprawach?

- Wczoraj dowiedziałem się, że Tom Parker zjadł tutaj ostatni posiłek.

Wstrzymała oddech i mocno rąbnęła pięścią w stół.

- Ordynarne kłamstwo! - krzyknęła wstrząśnięta. - Ktokolwiek panu to powiedział, powinien się wstydzić! I nie zaszkodziłoby mu kilka batów.

- Być może nie uniknie ani jednego, ani drugiego - oświadczył Callaway. - A co pani ma do powiedzenia w sprawie śmierci Toma Parkera i innych ludzi, którzy zostali zamordowani?

- Nic więcej ponad to, co już powiedziałam. Ktoś zatrul jedzenie przeznaczone dla ubogich, a ten nieszczęśnik nie stołował się u mnie. - Z irytacją odgarnęła z czoła kosmyk włosów i zatknęła go za ucho. - O całej sprawie dowiedziałam się od siostry zaledwie przed godziną. Jej zdaniem powinnam zaprzestać wydawania posiłków biednym do czasu schwytania truciciela, a przynajmniej przez najbliższe dwa tygodnie.

Pokiwał głową. Bethany z pewnością mówiła prawdę, teraz nie miała powodu kłamać.

- Czy pani siostra obawia się, że podejrzenie padnie na panią?

- Moja siostra ma na względzie dobre imię Penny House. - Oparła łokcie na stole. - Żywność dla ubogich oraz dania dla dżentelmenów są przygotowywane w tej samej kuchni. Śmiertelne zatrucie któregośkolwiek z bywalców naszego domu oznaczałoby upadek klubu.

- Pał sześć klub. - Poczul ucisk w gardle. - Znałem ludzi, którzy zmarli.

- Przykro mi - powiedziała cicho. - Naprawdę bardzo mi przykro...

Przeniósł wzrok na swoją filiżankę z herbatą. Nie chciał widzieć litości na twarzy dziewczyny. Żałował, że nie ma na głowie kapelusza, którego rondo niejednokrotnie zapewniło mu ochronę przed uważnymi spojrzeniami ludzi.

- To byli dobrzy ludzie, odważni żołnierze, dumni i honorowi, którzy bronili kraju. Nie zasłużyli na taką śmierć.

- Czy odbywał pan z nimi służbę wojskową? - zapytała łagodnie. - Byliście towarzyszami broni?

- To byli moi podkomendni - wyjaśnił chrapliwym głosem. - Nie zawiedli mnie, kiedy najbardziej ich potrzebowałem. Klnę się na Boga, że teraz ja ich nie zawiodę.

Bez słowa położyła dłoń na jego palcach, z tą samą łagodnością, którą słyszał w jej głosie.

Jak oparzony wyszarpnął rękę z delikatnego uścisku, odsunął się wraz z krzesłem od

stołu i wstał. Nerwowo chwycił kapelusz, a nóż wepchnął do pochwy przy pasie.

- Na mnie pora - burknął i ruszył do drzwi. - I tak zabawiłem tu zbyt długo.

Panna Penny również zerwała się z miejsca i pobiegła za nim.

- Przyszedł pan tutaj, bo podejrzewał mnie pan o popełnienie tej okropnej zbrodni.

Tej właśnie prawdy szukał pan wczoraj, czyż nie? Chciał się pan dowiedzieć, czy to ja zamordowałam pańskich podkomendnych...

Prawda, przekłeta prawda. Pragnienie jej odkrycia ciążyło na nim niczym głąz. Wiedział, że musi się wyzwolić od tego brzemienia, bo inaczej przytłoczy go ono i zmiążdży.

- Pomogę panu znaleźć winowajcę - powiedziała niemal błagalnym tonem. -

Zdołałabym wesprzeć pana w poszukiwaniach, tylko musi mi pan pozwolić...

- Nie. - Nawet się do niej nie odwrócił. Ogarnął go lęk, że nie uda mu się wytrwać w tym postanowieniu, jeśli ponownie spojrzy na Bethany. - Ani pani, ani nikt inny.

Usłyszał szelest jej sukni i stukot obcasów na kamiennej posadzce.

- A jeżeli dowiem się czegoś? - zapytała niespokojnie. - Jak wówczas skontaktuję się z panem? Gdzie pana znajdę?

- Nigdzie - odrzekł głucho. - Nie może pani kontaktować się ze mną.

Gwałtownie otworzył drzwi, a zimne krople deszczu ponownie spłynęły mu po twarzy i dłoniach. Głębiej wcisnął kapelusz na głowę i ruszył przed siebie, jak najdalej od rozkosznego ciepła ognia, od gorącej herbaty, od suchej, pełnej słodkich aromatów kuchni.

Daleko od prawdy, daleko od tej kobiety.

Następnego ranka Bethany wysiadła z wynajętej dwukółki i sięgnęła do jej wnętrza po dwa duże kosze pełne warzyw i owoców. Resztę zakupów dostarczyli do Penny House kuchcik oraz Letty, których zabrała ze sobą na targowisko, jednak zapasy zgromadzone w koszach zamierzała wykorzystać do innych celów. Cóż z tego, że William Callaway nie życzył sobie jej pomocy? Postanowiła i tak postawić na swoim.

Woźnica schował zapłatę do kieszeni i uważnie przyglądał się młodej damie.

- Na pewno chciała pani dojechać właśnie tutaj? - spytał z powątpiewaniem.

- Och, bez wątpienia. - Panna Penny spojrzała na ciemną sylwetkę budynku, wyraźnie odcinającą się od szarego nieba.

- To kościół pod wezwaniem świętego Andrzeja. Jestem tego absolutnie pewna.

Mina woźnicy świadczyła o czym innym. Mały kościółek był już wiekowy w czasach króla Henryka, a od tamtej pory znacznie podupadł, toteż prezentował się naprawdę mizer-
nie. Nad zanieczyszczonym portalem tłoczyły się gołębie, a na zniszczonych schodach
chrapał jakiś człowiek, który najwyraźniej nie zdążył jeszcze wytrzeźwieć po nocnej
pijatyce. Jego podarte ubranie cuchnęło wymiotami.

Upadek kościoła odzwierciedlał kondycję całej parafii. W okolicy roilo się od
obskurnych gospód, szacowni mieszkańcy już dawno temu się stąd wyprowadzili, a w ich
niegdyś ładnych domach gnieździła się biedota. Ulice potwornie cuchnęły odpadkami i
pomyjami wylewanymi wprost na bruk. Bethany w swojej eleganckiej sukni ani trochę nie
pasowała do tego parszywego otoczenia. Nic dziwnego, że woźnica wydawał się
zdezorientowany.

- Dziękuję za troskę - powiedziała. - Nic mi tutaj nie grozi, jestem przyjaciółką
pastora tutejszej parafii oraz jego żony. Często ich odwiedzam.

- Doskonale, proszę pani. Skoro pani jest zadowolona, to ja również. Życzę miłego
dnia. - Woźnica z nieskrywaną ulgą strzelił batem i odjechał.

Dziewczyna przeszła na tyły kościoła i zapukała do drzwi. Otworzyła jej starsza,
skromnie ubrana, pomarszczona kobieta z siwymi włosami zaczesanymi gładko pod białym
czepkiem.

- Panno Penny, witamy! - ucieszyła się i uściskała gościa. - Jak miło widzieć
przyjazną duszę w czasie tak ciężkiej próby.

- Jakiej próby, pani Barney? - Bethany postawiła kosze na ławie w holu, a żona
pastora zamknęła drzwi. - Chyba pani kościół nie został dotknięty plagą tych upiornych
otruć?

- Zatem słyszała pani? - Starsza kobieta ciężko westchnęła i złączyła dłonie. -
Prowadzimy maleńką kuchnię parafialną, ale pomagamy ludziom, jak możemy najlepiej.
Kto by pomyślał, że przytrafi się nam coś tak okropnego!

Panna Penny wstrzymała oddech.

- Mam nadzieję, że śledczy nie postawili panu Barneyowi żadnych zarzutów?

- Nie, na szczęście. - Gospodyni usiadła na ławie obok koszyków i poklepała

zapraszająco miejsce obok siebie. - Nie ma żadnych dowodów na to, że jesteśmy w jakikolwiek sposób powiązani z tą fatalną sprawą. W rzeczy samej, ten zmarły stołował się u nas, ale nie wiadomo, co jeszcze jadł i pił tamtego feralnego wieczoru. Chociaż wyzionął ducha w męczarniach, miotany konwulsjami, strażnicy uznali jego śmierć za naturalną i niegodną uwagi.

Zasłuchana Bethany przycupnęła na skraju ławy.

- Dlaczego zatem państwo są oskarżani o morderstwo, skoro nie doszło do zbrodni?

- Nie sąd nas oskarża, lecz ludzie - wyjaśniła staruszka ze smutkiem. - Mężczyzna umarł w Green Parku, skonał na trawniku, w otoczeniu tłumu gapiów, którzy natychmiast zaczęli szeptać o truciznie. Ludzie powtarzali niesprawdzone pogłoski, a plotka wkrótce przybrała monstrualne rozmiary. Nic dziwnego, że dotychczasowi podopieczni boją się teraz nas odwiedzać.

Dziewczyna położyła dłoń na jej ręce.

- Tak nie powinno być, pani Barney, to niesprawiedliwe. Żona pastora tylko pokręciła głową.

- Plotki i podejrzenia to najgorsi wrogowie, panno Penny. Od czasu tego tragicznego zdarzenia żadne dziecko nie przyszło do mojej szkółki. Ani jedna kobieta, ani jeden mężczyzna nie przychodzi tu na kolację, a w niedzielę kościół świecił pustkami. Nikt nie przyszedł, żeby się pomodlić z pastorem. Słyszałam, że ludzie reagują tak samo we wszystkich innych miejscach, w których pojawił się truciciel, a nawet w paru innych parafiach. Bóg sprawdza naszą wiarę, jestem tego pewna, ale jeżeli to potrwa dłużej, będziemy mieli krzyż pański z biskupem.

- Przykro mi... - Bethany pragnęła powiedzieć coś, co naprawdę pocieszyłoby panią Barney. - Jestem przekonana, że można zrobić coś, co oczyści pani dobre imię i zapobiegnie kolejnym morderstwom.

- Nie chcę podawać w wątpliwość pani słów, panno Penny, ale cóż można uczynić w takiej sytuacji? - Starsza pani pokręciła głową tak mocno, że zatrzęsły się nakrochmalone, ułożone w falbankę krawędzie jej czepka. - Ten nieszczęśnik i pozostali otruci byli ludźmi ubogimi, nie mieli rodzin ani przyjaciół, którzy mogliby domagać się zemsty czy choćby sprawiedliwości. Mój mąż próbował zwrócić na to uwagę władz, rzecz jasna, ale nikt, kto

ma wpływ na śledczych, nie chciał go słuchać.

Bethany momentalnie przypomniała sobie Williama Callawaya, absolutnie przekonanego, że jego towarzysze zginęli z rąk mordercy. Teraz ona także była tego pewna.

- Zatem sami musimy zrobić to, czego nie chcą uczynić władze - oznajmiła z przekonaniem. - Jeżeli sytuacja się powtórzy także w innych jadłodajniach dla ubogich, wówczas biedacy stracą do nas zaufanie i będą głodować.

- Nawet nie chcę o tym myśleć - wzdrygnęła się pani Barney i pogłaskała błyszczącą czerwoną skórkę jabłka z koszyka przyniesionego przez gościa. - Najpierw tragedia dotknęła dom opieki przy Cornhill, potem kościół Świętego Jerzego nad rzeką, teraz nas. Jest pani bardzo hojna, ale proszę zabrać te wiktuały ze sobą. W Penny House znajdzie się ktoś, kto je zje, tutaj się zmarnują.

- Wykluczone! - zaprotestowała dziewczyna i zerwała się z ławy. - Nie dopuszczę do tego, i pani mi w tym pomoże.

Staruszka uniosła ręce w geście rozpacz.

- To bardzo miłe z pani strony, panno Penny, ale naprawdę nic nie da się zrobić.

- Zawsze można coś zrobić - oświadczyła Bethany z determinacją. - Proszę mi opowiedzieć wszystko, co pani wie o zamordowanym. Czy często tutaj przychodził? Czy zna pani jego nazwisko? A może zrobił coś nietypowego, co mogłoby być dla nas wskazówką?

- Na chrzcie dostał imię Jemmy - zaczęła pani Barney ze zrezygnowaną miną. - Jemmy Reed. Był jeszcze młody, ale służąc w wojsku, odniósł straszne rany i miał trudności z chodzeniem. Powłóczył nogami, chociaż całkiem dobrze sobie radził o kulach. Panno Penny, nie rozumiem, co to ma do...

- Miał przyjaciół? - spytała Bethany niezrażona. Znowu pomyślała o Williamie Callawayu, którego podkomendnym prawie na pewno był nieżyjący Jemmy Reed. - Czy ktoś może wiedzieć, dokąd się udał po kolacji?

Żona pastora uśmiechnęła się smutno.

- Och, wszyscy się przyjaźnili z Jemmym. Robił prześmieszne sztuczki ze znikającymi orzechami, wyczarowywał chustki z powietrza. W ten sposób udawało mu się

zarobić trochę pieniędzy w parku, dzieci go uwielbiały. Niestety, podobnie jak większość ludzi w tej okolicy, miał skłonność do mocniejszych trunków. Wydawał na nie wszystko, co zdołał zebrać.

Panna Penny zaczęła przechadzać się wzdłuż ławy.

- Czy mógł wyjść stąd z kimś, kto zaproponował mu drinka?

- Nawet na pewno wyszedł z kimś takim. Tamtego dnia zjawił się nieznany mi mężczyzna, który z miejsca podszedł do Jemmy'ego i zaczął mu opowiadać o wspólnej służbie w Hiszpanii. Pan Reed chyba go nie rozpoznał, ale i tak wydawał się zadowolony, podobnie jak wszyscy biedni kombatanci w takiej sytuacji. Gdy się najedli, obaj wyszli razem.

- Czy rozpoznałaby pani tego człowieka? Pani Barney pokręciła głową.

- Raczej nie. Nieustannie się odwracał, a kapelusz miał tak nisko opuszczony na czoło, że właściwie nie widziałam jego twarzy. Zresztą niczym się nie wyróżniał.

- Poza tym, że mówił o Hiszpanii. - Bethany miała nadzieję, że William połapie się, o co w tym wszystkim chodzi. - Czy wie pani, do której gospody poszli?

Kobieta zacisnęła usta z dezaprobatą.

- Nie wiem, panno Penny, i nie chcę wiedzieć. Dżin i rum to prawdziwe plagi w naszym kraju, a ludzie handlujący nimi są sługami diabła. Gdyby nie alkohol, biedny Jemmy Reed pewnie byłby dziś z nami.

- Niewykluczone - zgodziła się jej rozmówczyni. Podobnie jak pani Barney, ona również nie miała pojęcia, które lokale odwiedzał nieszczęsny Jemmy. Przecież nie mogła znać miejscowych knajp, skoro pijących mężczyzn widywała tylko na piętrze Penny House, a ci raczyli się francuską brandy z przemytu, po sto gwinei za butelkę.

Pan Callaway na pewno miał więcej do powiedzenia w tej materii. Niewykluczone, że znał każdą brudną, parszywą spelunkę londyńską, do której zawitałby spragniony mężczyzna z pustą sakiewką, i w poszukiwaniu mordercy biednego Reeda chętnie zajrzałby do kilku takich lokali.

Właśnie. Przede wszystkim musiała znaleźć Williama.

- Obiecuję, że zrobię, co w mojej mocy, aby wskazać truciciela - oznajmiła i zawiązała pod brodą wstążki czepka. - Nie pozwolę, żeby ta upiorna sprawa zniszczyła

całe dobro, które czyni pani wraz z mężem.

- A zatem życzę pani powodzenia, panno Penny. - Żona pastora westchnęła. - Wiem, że kieruje się pani szlachetnymi pobudkami, ale to miasto w niczym nie przypomina wsi, na której się pani wychowała. Tutaj trzeba nieustannie mieć się na baczności.

- Z pewnością zadbam o siebie najlepiej, jak potrafię. - Bethany pochyliła się, żeby ucałować panią Barney na pożegnanie. - Do widzenia, i proszę przekazać pozdrowienia mężowi. Niech Bóg ma w opiece was oboje i całą parafię.

Pijak nadal leżał na schodach kościoła. Najwyraźniej wzbudził zainteresowanie kilku małych brudnych obdartusów, którzy nabijali się z niego i obrzucali go kamykami, żeby sprawdzić, jak mocno śpi.

Drzwi do pobliskiej gospody były już szeroko otwarte, a kilku mężczyzn siedziało na ławce przed wejściem. Panna Penny przeszła na drugą stronę ulicy, żeby uniknąć nagabywania, ale i tak usłyszała parę nieprzyzwoitych propozycji. Pomyślała, że ani trochę nie pasuje do tej okolicy, bez względu na to, jak szlachetnymi intencjami się kieruje. Minęła grupkę kobiet, które obrzuciły ją pogardliwymi spojrzeniami, i mimowolnie poczerwieniała, choć starała się zachować obojętną minę.

Niebo zasnuło się chmurami, lada chwila mogła się rozpętać ulewa, podobnie jak wczoraj. Przytrzymując ręką czepek, Bethany pochyliła głowę i pospiesznie oddalała się od kościoła świętego Andrzeja ku bardziej uczęszczanym ulicom, gdzie powinna znaleźć wolną dwukólkę. Żałowała, że nie poleciła woźnicy zaczekać.

- Dokąd ci tak spieszno, maleńka? - Nieznajomy o rudych włosach podszedł do niej i uśmiechnął się wymownie. Poczowała kwaśny odór przetrawionego dżinu. - Czekaj no, napijemy się razem. Chyba mi nie odmówisz, co?

Jej serce waliło jak młotem, ale postanowiła zignorować natręta. Jeszcze tylko dwie przecznice dzieliły ją od większej ulicy, ale teraz szła coraz węższym zaułkiem, prawie całkiem bezludnym. Czuła narastającą panikę. Nawet gdyby zaczęła wzywać pomocy, nikt by jej nie usłyszał. Przyspieszyła kroku, prawie biegnąc, ale mężczyzna był szybszy. Szedł tak blisko, że wyczuwała bijący od niego fetor.

- Powiedziałem, że nie ma co się spieszyć. Pójdiesz ze mną i zaraz zapomnisz, dokąd gnałaś, maleńka.

Chwycił ją za rękę, zatrzymał, a następnie objął w talii.

- Puść! - wrzasnęła Bethany i raptownie się szarpnęła. - Puszczaj natychmiast!

Intruz tylko się roześmiał.

- Więc takie masz upodobania? Temperamentna z ciebie sztuka. Daj no buziaka.

- Nie! - Odwróciła twarz, i wtedy ujrzała, że mężczyzna unosi pięść do ciosu.

Wstrzymała oddech przygotowana na ból... Sama była sobie winna...

- Puść ją! - usłyszała męski głos za swoimi plecami. - Puszczaj ją natychmiast, psiakrew!

Rozdział piąty

Oblicze rudowłosego hultaja z miejsca wzbudziło obrzydzenie w Williamie, gdyż nie cierpiał ludzi o cofniętym podbródku, świńskich oczkach i podlej minie. Tak mogą wyglądać tylko tchórze i parszywe łotry. Zagrożający Bethany niegodziwiec był tak paskudny, że Callaway miał ochotę roznieść go na strzępy.

Zbliżył się do niego o krok, z trudem panując nad wściekłością.

- Puść ją, śmieciu, bo pożałujesz... - wycodził.

Napastnik tylko się roześmiał. Prawie nie zwracał uwagi na szamoczącą się dziewczynę.

- Niby dlaczego miałbym ci ją oddać? - warknął. - Won stąd, śmierdzący żebraku!

William wymierzył cios z wprawą i precyzją. Jego pięść wylądowała na szczęce łobuza, który z głuchym jękiem zachwiał się i jak kłoda runął na chodnik.

Przez chwilę skręcał się i podrygiwał niczym marionetka, aż w końcu całkiem znieruchomiał. Jego pogromca pomyślał, że poszło mu zbyt łatwo, zbyt szybko, nie zdążył rozładować furii. Miał wciąż napięte i gotowe do błyskawicznego działania mięśnie, na wypadek gdyby tamten nadal stanowił zagrożenie.

- Pan... Callaway?

Psiakrew, jak mógł zapomnieć o Bethany? Błada jak kreda stała z boku, oddychając ciężko, i drżącymi palcami usiłowała przygładzić zmierzwione włosy.

- Nic się pani nie stało, panno Penny? - spytał i odetchnął głęboko, żeby się

uspokoić. - Czy ten sukin... łotr panią skrzywdził?

- Och, nie - odparła z wysiłkiem. Podobało mu się, że nie jęczy i nie zawodzi, cenił opanowane kobiety. - Na szczęście nie zdążył...

- Zatem chodźmy, nic tu po nas. - Rzucił jeszcze okiem na unieszkodliwionego mężczyznę, który z wolna odzyskiwał świadomość. W oknach okolicznych domów wykwitły głowy zaciekawionych mieszkańców, na progach pojawili się ludzie. William nie mógł dłużej czekać, musiał zniknąć. Dwa dni temu w podobny sposób rozprawił się ze złoczyńcą na moście, tym razem strażnicy nie wypuściliby go tak łatwo.

- Panno Penny, nie możemy tutaj zostać.

- Jak to? - zapytała zdumiona. - Przecież to nie nasza wina! To ten opryszek na mnie napadł!

- Zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że nie wszyscy będą podzielali pani opinię - zauważył. - Idziemy!

- Nie jestem psem, żeby mi wydawać polecenia - burknęła z kwaśną miną, ale posłusznie ruszyła z miejsca i z upokarzającą dla Callawaya łatwością wyprzedziła go.

Do diaska, powinien pozwolić jej odejść. Dotarłaby do większej ulicy, wsiadła do dwukółki i znikła na zawsze z jego życia. Gdyby miał choć trochę rozumu, rozstałby się z nią i odszedł swoją drogą, ale nie był w stanie. Najszybciej jak mógł, pokuśtykał za Bethany i po chwili ją dogonił. Nie odwróciła głowy, choć z pewnością wyczuwała jego bliskość.

- Do licha, czy pani wie, dokąd idzie? - spytał z irytacją. Obolała noga dawała mu się we znaki.

Nawet nie raczyła na niego spojrzeć.

- Podążam w tym samym kierunku co poprzednio, a moim zamiarem jest znalezienie powozu, który dowiezie mnie do Penny House.

- Cóż za śmiałe plany - zadrwił. - Jak rozumiem, nie zamierza mi pani podziękować za uratowanie jej z opresji?

- Popędzał mnie pan, więc idę. - Jeszcze bardziej przyspieszyła kroku, a na jej policzkach ponownie wykwitły rumieńce.

- Doskonale pan sobie poradził. Czy sztukę zadawania takich ciosów posiadał pan w

wojsku?

- Wojsko niejednego mnie nauczyło - odparł enigmatycznie. Irytowało go, że dziewczyna mu nie podziękowała, Instynktownie stanął w jej obronie i nie rozumiał, dlaczego dotąd nie usłyszał ani słowa wdzięczności. - Powinna pani się z tego cieszyć.

- Nie zamierzam pochwalać przemocy, bez względu na okoliczności - oznajmiła surowo. - Proszę mi powiedzieć, dlaczego pan mnie śledził?

William zdębiał.

- Ja miałbym panią śledzić?

- Oczywiście. - Raptownie skrzyła w przecznicę i nagle stanęła. Okolica wydawała się przyzwoitsza, więc Bethany odzyskała pewność siebie. - Niby dlaczego zjawił się pan akurat w tym momencie, w którym potrzebowałam pomocy?

Zmarszczył brwi.

- Może powinienem spytać panią o to samo. - Doszedł do wniosku, że pannie Penny przestało zależeć na jego towarzystwie, bo poczuła się bezpiecznie. - Niechże mi pani wyjawi, co u licha robiła pani sama przy kościele Świętego Andrzeja?

- Odwiedzałam przyjaciółkę, która potrzebowała pociechy i towarzystwa - odparła bardzo szybko i nerwowo. Od razu się zorientował, że nie mówi mu całej prawdy. - A pan? Jaki był powód pańskiej obecności w tych okolicach?

- Chyba nie prowadzi pani prywatnego dochodzenia w sprawie truciciela? - spytał, choć wątpił, żeby się przyznała.

- Czy wtykała pani nos w nie swoje sprawy?

- To są moje sprawy, proszę pana - obruszyła się, mimowolnie odpowiadając na jego pytanie. - Każdemu powinno zależeć na schwytaniu zbrodniarza. Pana zapewne zainteresuje informacja, że pański podkomendny, Jemmy, zjadł ostatni posiłek w towarzystwie mężczyzny, który również pełnił służbę w Hiszpanii.

- Co to za jeden? - warknął Callaway. - Chcę znać jego nazwisko!

- Tego jeszcze nie ustaliłam. Pani Barney twierdzi, że był to człowiek nieznany w parafii, a pan Reed widział go pierwszy raz w życiu. Zaufał mu tylko dlatego, że podobno razem walczyli na Półwyspie Iberyjskim. Po kolacji poszli pić w gospodzie.

- Dlaczego nie powiedziała mi pani tego wcześniej?! - krzyknął. Był oburzony, że tak

długo zwlekała z ujawnieniem tych istotnych wieści. - Chciała to pani utrzymać w tajemnicy?

- Ależ skąd! - oburzyła się. - Na równi z panem przejmuję się tą sprawą. Gdyby ktoś miał umrzeć po posiłku w Penny House...

- Czyżby była pani gotowa umrzeć, byle tylko poznać prawdę? - zapytał z niedowierzaniem. - Czy to nie przesada?

Butnie uniosła głowę i odparła głośno, nie zwracając uwagi na przechodniów:

- Niechże pan sobie daruje ten dramatyczny ton, panie Callaway.

- Dramatyczny? - powtórzył. - Chyba pani zapomniała, co się jej przytrafiło.

Spojrzała na okno wystawowe piekarni, w którym piętrzyły się sterty świeżo upieczonych bochenków chleba.

- Moja nieprzyjemna przygoda nie miała nic wspólnego z morderstwami. Doskonale pan o tym wie.

- Skąd ta pewność, panno Penny? - spytał z narastającą irytacją.

- Nie wierzę, że w tym wielkim mieście żyje ktoś, kto chciałby mnie skrzywdzić tylko dlatego, że dokarmiam ubogich! Mój ojciec powiadał...

- Pani ojciec nie mógł przewidzieć, że wpakuje się pani w niebezpieczeństwo - przerwał jej. - Czy potrafiłaby pani uciec się do tak nielubianej przez panią przemocy, żeby ratować życie? A może pozostałaby pani tak bezradna jak dzisiaj?

- Bezradna? - powtórzyła słabym głosem. - Nie uważam... nie sędzę...

Nieoczekiwanie przycisnęła dłonie do ust i mocno zamknęła oczy, żeby powstrzymać łzy.

- Cholera - zaklął cicho. Nie podejrzewał, że Bethany się rozpłacze. Poczł się jak wstrętny, pozbawiony wrażliwości brutal. - Wydawało mi się, że nic się pani nie stało.

- I dobrze się panu wydawało - wykrztusiła z zamkniętymi oczami. - Nie wiem, dlaczego tak się zachowuję... Ale nie jestem bezradna.

Cokolwiek mówiła, William jeszcze nigdy w życiu nie widział równie bezbronnej istoty, jaką panna Penny była w tej chwili. Stała przed nim cała drżąca, w przekrzywionym czepku. Była zagubiona i potrzebowała pomocy.

Psiakość, nie zamierzał jej wspierać. Bez względu na to, jak bardzo wydawała się

zdesperowana, nie wolno mu było jej tknąć. Nie chciał wyciągać ku niej pomocnej dłoni. Gdyby to uczynił, wziąłby na barki poważną odpowiedzialność. Poza tym jaką pociechę mógłby zapewnić kobiecie taki mężczyzna jak on?

- Nie jestem bezradna - wyszeptała zrozpaczona, jakby nie wierzyła we własne słowa.

Ile razy czuł się tak samo? Nie potrafił zliczyć, jak często walczył z wyrzutami sumienia po tragedii, która rozegrała się w Hiszpanii. Nieprzyjaciel zastawił pułapkę, żołnierze Williama się rozproszyli, a on sam chwilowo oślepl w wyniku błysku towarzyszącego eksplozji. Mimo to usiłował zachować przytomność, choć rana rwała go z taką mocą, że utrata przytomności byłaby wybawieniem.

Nie potrafił zliczyć, jak często potem przypominał sobie, że jest zwykłym śmiertelnikiem.

- Niech pani nie płacze - mruknął niezręcznie. - Psiakość, nie ma potrzeby.

Zanim następna łza jak ziarno grochu spłynęła po policzku Bethany, objął ją i przytulił łagodnie, a zarazem mocno i troskliwie.

Z wdzięcznością przyjęła czułą pieśczętę. Przycisnęła dłonie do piersi mężczyzny, opierając policzek na jego ramieniu. Była drobniejsza, niż mu się dotąd wydawało, bardziej krucha. Czuł, jak drży i z wysiłkiem powstrzymuje się od płaczu.

Nie przypominał sobie, kiedy ostatnio trzymał kobietę w ramionach. Od bardzo dawna spotykał się wyłącznie z niechętnymi i pełnymi obrzydzenia spojrzeniami bliżej mu nieznanym istot płci żeńskiej.

- Biedactwo - mruknął, tuląc ją niezręcznie, jakby się obawiał, że połamie jej kości. - Nie chciałem pani wystraszyć.

- Nie wystraszył mnie pan - wymamrotała do jego płaszcza. - Przepraszam...

- E, tam - powiedział. Nie pamiętał już, jak należy rozmawiać z damami, które potrzebują pociechy i wsparcia. - Nie ma za co przepraszać, chcę tylko pani bezpieczeństwa. Następnym razem proszę na siebie uważać.

Nie odpowiedziała, trwając przytulona do jego piersi z twarzą osłoniętą szerokim daszkiem czepka. Za oknem piekarni Callaway dostrzegł kobietę, która jak zahipnotyzowana obserwowała niecodzienną scenę: damę przytuloną do żebraka. Pal sześć,

pomyślał. Tak naprawdę liczyło się tylko to, co połączyło jego i pannę Penny.

Pociągnęła nosem, otarła palcami kąciaki oczu. Niezdarnie wyciągnął z kieszeni chustkę i wcisnął ją w dłonie Bethany, która znowu chlipnęła i otarła oczy. Odsunęła się od Williama i popatrzyła na starannie złożony płatek białego holenderskiego lnu.

- Jest czysta - zauważyła powoli. - I wyprasowana. Zmarszczył brwi. Nie zrozumiał, o co jej chodzi.

- Oczywiście, że tak. Nie wręczyłbym pani przecież brudnej chustki.

Obróciła materiał w dłoniach i opuszkami palców pogłaskała elegancki haft z monogramem.

- Nie potrafię pana rozgryźć, Williamie Callawayu. Jest pan wyjątkowo zagadkowym człowiekiem.

- Wcale nie jestem zagadkowy - zaprotestował możliwie obojętnym tonem. - A już na pewno nie ma nic dziwnego w tym, że noszę chustkę do nosa.

Pokręciła głową i podniosła na niego wzrok.

- Dobrze pan wie, że nie o to mi chodzi. Pan jako człowiek stanowi dla mnie tajemnicę.

Usiłował się uśmiechnąć, obrócić wszystko w żart, ale było już za późno. Oboje o tym wiedzieli.

Z zakłopotaniem wyjął chustkę z jej dłoni i wsunął ją z powrotem do kieszeni.

- Przywołam dwukólkę, pora wracać do Penny House - wymamrotał.

Odwrócił się i z uniesioną ręką wyszedł na ulicę. Dwa powozy minęły go bez zatrzymywania - jechały z pasażerami lub, co bardziej prawdopodobne, woźnice nie zamierzali reagować na wezwania obdartusa - ale trzeci przystanął przy chodniku. William otworzył drzwi, a Bethany podeszła bliżej.

Machinalnie podał jej rękę, żeby nie straciła równowagi podczas wdrapywania się po schodkach pojazdu. Gdyby pozostała mu chociaż odrobina sumienia, byłby to ostatni raz, kiedy dotknął panny Penny. Jednak zamiast rozstać się z nią na zawsze, objął ją w talii, przygarnął stanowczym ruchem i pocałował w usta.

Był tak spragniony jej warg, iż nawet nie zwrócił uwagi na to, że kapelusz spadł mu z głowy. Nie zainteresowało go także osłupiałe spojrzenie woźnicy, który najwyraźniej

wahał się, czy powinien strzelić żebraka batem, czy raczej nie ingerować.

Świat wokół Williama przestał istnieć. Liczyła się tylko Bethany, słodka niczym miód, upojna jak najdroższy trunek.

Przypomniał sobie o rzeczywistości dopiero wtedy, gdy oparła dłonie na jego klatce piersiowej i z całych sił odepchnęła go od siebie.

- Jak pan śmie?! - wydyszała zbulwersowana. - Co za bezczelność...

- Pragnąłem to uczynić - wyznał łamiącym się głosem. - Pragnąłem ciebie...

- Dosyć! - szepnęła. - To niedopuszczalne. Nie może pan tak robić, nie w taki sposób...

- Mogę, dziewczyno - mruknął. - Mogę, i na tym nie koniec.

Szeroko otworzyła oczy, jej policzki poczerwieniały. Rozchyliła usta, zupełnie jakby pragnęła, by ten pocałunek trwał, choć rozsądek nakazywał jej co innego. Powoli usiadła na kanapie i złożyła dłonie na kolanach. Nie wypowiedziała ani słowa, kiedy równie milczący William zamykał drzwi powozu.

- Dokąd jedziemy? - spytał go woźnica. - Dokąd mam zawieźć damę?

- Do Penny House przy St James's Street - odparł Callaway ze wzrokiem wbitym w oczy Bethany. - Tylko dowieź ją bezpiecznie, rozumiesz?

Cofnął się i patrzył, jak dwukółka z terkotem odjeżdża ulicą. W oknie powozu dostrzegł przez moment prześliczną twarz dziewczyny. Spoglądał w dal nawet wtedy, gdy pojazd znikł za zakrętem. W końcu westchnął, podniósł z ziemi zniszczony kapelusz i ruszył w długą drogę do domu.

- Panna Bethany! - Zaaferowany Pratt wybiegł jej na powitanie, gdy tylko przekroczyła próg domu. - Chwała Bogu, że pani wróciła!

- Oczywiście, że wróciłam - oświadczyła i pospiesznie rozwiązała wstążki czepka, który wręczyła pokojówce, zanim mężczyzna zdążył zauważyć oddarty daszek. - Czemu miałabym nie wrócić?

- Martwiliśmy się, bo bardzo długo pani nie było - wyjaśnił. - Niepokoiłiśmy się o panią.

Przystanąła przed lustrem. Żałowała, że nie jest w stanie zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. Zastanawiała się, co też Pratt zdoła wyczytać z jej twarzy.

- Nie było powodu - odparła. Miała nadzieję, że zapanuje nad drżeniem głosu. - Przesłałam kosze z targowiska, a służący byli poinformowani, że sama wrócę później. Pojechałam z wizytą do pani Barney do kościoła Świętego Andrzeja.

- Skoro pani tak mówi. - Zarządca schylił głowę, jakby chciał dać jej do zrozumienia, że nie uwierzył w ani jedno usłyszane słowo. - Pani siostra prosiła, żeby zaraz po powrocie zajrzała pani do kuchni, do niej i do reszty zebranych.

- Do kuchni? - Bethany niepodzielnie panowała w kuchni, a Amaria prawie nigdy tam nie zaglądała, zwłaszcza pod jej nieobecność. - Jakich znowu zebranych?

- Dżentelmenów - odparł Pratt irytująco enigmatycznie. Najwyraźniej nie zamierzał dzielić się z nią informacjami, póki ona nie opowie mu więcej o swoich poczynaniach.

Rzecz jasna, panna Penny nie miała zamiaru niczego mu wyjaśniać. Prychnęła pod nosem i przeszła przez hol do kuchni.

Spodziewała się zastać personel przy pracy nad kolacją dla gości klubu, a tymczasem ujrzała nierozpakowane kosze z targowiska i całkowicie beczynną służbę. Wszyscy jej podwładni stali w rzędzie pod ścianą, wyraźnie zdenerwowani i wystraszeni. Kilka młodszych pokojówek cicho pochlipywało w fartuszki.

- Nareszcie wróciłaś, Bethany! - Amaria uśmiechnęła się pogodnie i podeszła bliżej z szeroko rozpostartymi rękami, aby ucałować siostrę.

- Pratt również nie mógł się doczekać mojego powrotu. - Dziewczyna nadstawiła policzek, ale jej spojrzenie nieustannie wędrowało po wystraszonych obliczach służby. - Amario, co tu się dzieje? Wychodzę na kilka godzin, a ty wywracasz wszystko do góry nogami.

- Nic nie wywracam, Betts. Wprowadzam tylko pewne zmiany dla naszego wspólnego dobra. - Starsza siostra uśmiechnęła się jeszcze szerzej i skinęła na nieznanego mężczyznę. - Oto pan Fewler, były śledczy z Bow Street, specjalista w dziedzinie zapobiegania i przeciwdziałania przestępczości. Specjalizuje się w ochronie takich obiektów jak nasza kuchnia.

Fewler, z postury przypominający beczkę, pochylił się w ukłonie i wtedy załśniły jego czarne, błyszczące od brylantyny, krótkie włosy. Nosił kamizelkę z dwoma rzędami błyszczących guzików, a u pasa zwisała mu kabura z pistoletem. Za jego plecami stało

dwóch jegomościów ubranych w uderzająco podobny sposób.

- Służba w Penny House będzie dla mnie prawdziwym zaszczytem, panno Bethany - obwieścił i uśmiechnął się, nie pokazując zębów. - Dołożę wszelkich starań, żeby należycie chronić klub, którego członkowie należą do najlepszych londyńskich rodów.

- Pewnie - mruknęła i chwyciła siostrę za łokieć. - Amario, musimy porozmawiać. Zechce nam pan wybaczyć, panie Fewler?

Weszły do małej spiżarki, w której przechowywano masło oraz śmietanę, i starannie zamknęły drzwi.

- Dlaczego ten człowiek tkwi w mojej kuchni, wtrąca się w moje obowiązki i zastrasza służbę? - spytała ostro młodsza z pań Penny.

Starsza uśmiechnęła się z wyższością, co zwykle oznaczało kłopoty dla Bethany.

- Powiedziałam ci, króliczku, to dla twojego dobra. Wiem, jak bardzo chcesz kontynuować działalność dobroczynną, i zgadzam się, że należy to robić. Tego pragnąłby również ojciec. Nie możemy jednak dopuścić, żeby ktoś został otruty pod naszym dachem. Pan Fewler i jego ludzie dopilnują, aby nikomu nie stała się tutaj krzywda.

- Czy chcesz powiedzieć, że oni są tutaj po to, aby nas szpiegować?! Jak myślisz, co by na to powiedział ojciec?

- Bądź rozsądna, nie chodzi tylko o klub. Nie chcę, żeby ktoś otruł i ciebie - wyjaśniła Amaria.

- Rozumiem, ale po co ci ludzie mają siedzieć u mnie w kuchni i wprowadzać atmosferę strachu? - Bethany roztarła zmarznięte ręce. W spiżarce na przetwory mleczne było zawsze chłodno, prawie zimno. - A moja biedna trzódka? Ubodzy z natury rzeczy boją się wszystkiego, co ma związek z wymiarem sprawiedliwości. Znikną jak kamfora, gdy tylko usłyszą o śledczym i jego ludziach, i wcale nie będę im miała tego za złe.

- Pan Fewler nie ma nic wspólnego z wymiarem sprawiedliwości - zaprotestowała Amaria. - Potraktuj ich jak osobistą ochronę odpowiedzialną za bezpieczeństwo nas wszystkich.

Dziewczyna wydeła policzki.

- Ciekawe, jak odróżnisz, kto będzie obserwowany jako potencjalna ofiara, a kto jako ewentualny truciciel.

- Musimy polegać na doświadczeniu pana Fewlera - upierała się starsza siostra. - Ma doskonałe referencje. Z miejsca dostrzeże drobne różnice, w których my nie potrafimy się połapać.

- Ciekawe, jak mój personel ma pracować pod czujnym okiem tych podejrzliwych osobników?

Amaria wzięła się pod boki, zdecydowana postawić na swoim.

- Szczerze wątpię, żeby ten mężczyzna i jego ludzie interesowali się twoim personelem. Poinformowali mnie o tym już rano. Nie zamierzają także patrzeć na ręce biednym wdowom oraz bezdomnym dzieciom, które przychodzą tutaj na kolację. Mają za to w planach obserwację niebezpiecznych przybłądów, zdolnych do popełnienia zbrodni. Na pewno obronią nas przed takimi typami jak ten podejrzany osobnik, który zdaniem Pratta tak okropnie ci się naprzykrzał.

- Masz na myśli Williama Callawaya? - spytała wstrząśnięta Bethany. - Zapewniam cię, że nie ma w nim absolutnie nic z kryminalisty, bez względu na to, co naopowiadał ci o nim nasz zarządca.

- Zatem znasz jego nazwisko. - Amaria nie kryła zdumienia. - Innymi słowy, znowu się z nim spotkałaś!

- Owszem, wiem, jak się nazywa. - Młodsza siostra zbyt późno pojęła, że niepotrzebnie się zdradziła. - Wytłumacz mi jednak, dlaczego miałabym z góry zakładać, że jest łotrem.

- Wolę nie przesądzać sprawy - odparła starsza panna Penny wymijająco i z zatroskaną miną oparła się plecami o szafkę. - Betts, dobrze wiesz, że nie powinnyśmy być tak ufne jak w Sussex...

Dziewczyna przypomniała sobie, że William również zalecał jej ostrożność.

- O ile pamiętam, ojciec uczył nas, że należy osądzać ludzi na podstawie tego, jacy są, a nie według ubioru i wielkości majątku.

Amaria zacisnęła usta.

- Uczył nas również, że powinnyśmy same o siebie dbać i decydować, kiedy przyda się nam pomoc innych. Przyznaję, obecność w kuchni pana Fewlera i jego podwładnych nastreczy nieco kłopotów, ale dopóki zagraża nam truciciel, jesteśmy zdane na pomoc

specjalistów.

Odwróciła się do wyjścia, zdecydowana zakończyć dyskusję, ale Bethany stanęła w uchylonych drzwiach.

- Dlaczego nie mam nic do powiedzenia w tej sprawie? - spytała wprost.

- Ponieważ ulegasz emocjom, które przyćmiewają twój zdrowy rozsądek. Cassia zgadza się ze mną. Obie chcemy tego, co najlepsze dla nas i dla Penny House.

- Nie zamierzam mówić tym intruzom nic złego na temat mojej służby - zapowiedziała buńczucznie Bethany. - I nie zdradzę im żadnych powierzonych mi tajemnic. Na pewno też nie wspomnę ani słowem o Williamie Callawayu. Nie obchodzi mnie, że Pratt traktuje go z nieuzasadnioną podejrzliwością.

Amaria popatrzyła jej w oczy, pragnąc odczytać z nich prawdę.

- Ten cały Callaway to tylko jeden z twoich licznych podopiecznych łapserdaków, prawda? Czyżby aż tyle przeszedł w życiu, że pragniesz go otoczyć specjalną opieką?

- Proszę cię... Chcę pomagać wszystkim potrzebującym.

- Mówię poważnie, Betts. Należy wspierać ubogich, bo tego chce Bóg, ale nie wolno mylić dobroci z zauroczeniem. Masz przecież świadomość, jak poważnym błędem byłoby związanie się z mężczyzną, o którym kompletnie nic nie wiesz.

- Wiem, że należy do mojej trzódki! - krzyknęła Bethany, choć była świadoma, że mija się z prawdą. Przecież William wcale nie chciał jeść jej zupy, do tego miał własnych podkomendnych, o których chciał się troszczyć.

Pragnął jej. Nie mogła o tym zapominać, podobnie jak nie mogła zapomnieć o pocałunku. Pragnął jej, i niech jej Bóg wybaczy, ale i ona go pragnęła.

- Należy do twojej trzódki? - powtórzyła Amaria ze szczerym niepokojem w głosie. - Na pewno nic więcej dla ciebie nie znaczy?

- Cóż takiego mógłby dla mnie znaczyć? - Dziewczyna nie wiedziała, co jest gorsze: nieszczerza rozmowa z siostrą czy próba ignorowania wrażenia, jakie zrobił na niej pocałunek Williama. Jak mogła cokolwiek mówić na ten temat, skoro nie potrafiła się połapać we własnych uczuciach?

Przełknęła ślinę i postanowiła mówić spokojnie, chłodno i obojętnie.

- Pan Callaway dużo wycierpiał. Zasługuje na lepszy los, a ja nie zamierzam go

dotatkowo krzywdzić. Na tym koniec, Amario, nie mam nic do dodania.

Zanim siostra zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, Bethany pospiesznie wyszła ze spiżarki i prawie wpadła na beczkowatego pana Fewlera.

- Panno Penny. - Ukłonił się raz jeszcze. - Za pozwoleniem. Czekałem, żeby zamienić z panią słowo...

Wyminęła go bez słowa, nie zważając na to, że ruszył w ślad za nią.

- Jestem pewna, że usłyszał pan aż nadto od pana Pratta i innych osób - oznajmiła po chwili. - Nie mam nic do dodania.

- Pani wybaczy, ale jestem pewien, że mogłaby mnie pani oświecić w paru sprawach. - Uśmiechnął się, a jej zrobiło się niedobrze, gdy poczuła duszącą woń aromatyzowanej brylantyny niemal kapiącej z krótkich czarnych włosów nad czołem byłego śledczego. - Mimowolnie usłyszałem pani rozmowę z siostrą, zwłaszcza fragment związany z...

- Skoro jest pan na tyle źle wychowany, żeby podsłuchiwać cudze rozmowy, to na pewno usłyszał pan, że jest tutaj wbrew mojej woli - przerwała mu.

- Panna Amaria raczyła wyjaśnić, że mam służyć pomocą, a nie utrudniać życie domownikom - oznajmił bez cienia wstydu czy choćby zakłopotania. Podsłuchiwanie najwyraźniej przychodziło mu z łatwością. - Dama taka jak pani z pewnością uważa to za kłopotliwe, niemniej spieszę zapewnić, że czynności operacyjne w Penny House będą prowadzone z najwyższą dyskrecją.

- Nie uświadamiałam sobie, że podsłuchiwanie z uchem przyklejonym do drzwi może świadczyć o dyskrecji. - Gwałtownym szarpnięciem ściągnęła z kołka w ścianie fartuch, założyła go i związała w tali. Jeden ze strażników stał już na posterunku przy tylnych drzwiach, z pistoletem u pasa, gotów pochwycić każdego mordercę, który mógłby przyjść po talerz zupy, podczas gdy zakłopotana służba próbowała powrócić do codziennych obowiązków.

Co by się stało z Williamem, gdyby ośmielił się znów przyjść? Czy strażnicy uznaliby go za podejrzanego, zatrzymali i zawieźli nie wiadomo dokąd? A może postanowiłby stawić im czoło i z bezlitosną skutecznością rozprawiłby się z nimi? Przecież udowodnił, że umie się bronić.

- Panno Bethany. - Fewler najwyraźniej nie zamierzał dać jej spokoju. - Gdyby

zechciała pani współpracować...

- Sama dobieram sobie współpracowników. Pan do nich nie należy - oznajmiła z wyższością. - Moja siostra zdecydowała się na rozwiązanie, które ani trochę mi nie odpowiada, gdyż nie uważam, żeby pańska obecność tutaj była słuszna i konieczna. A teraz, za pozwoleniem, muszę nadrobić czas, który ukradł pan mojej służbie. Mam mnóstwo pracy przy kolacji, więc będę wdzięczna, jeśli zechce pan nie wchodzić mi więcej w drogę.

Mężczyzna mimo to podążył za nią do kuchni.

- Panno Penny, czy widziała pani kiedyś człowieka, który umiera po zażyciu trucizny? Zaręczam, że nie jest to przyjemny widok.

Niecierpliwie wyciągnęła nóż z rzeźnickiego pieńka i uświadomiła sobie, że właśnie to narzędzie trzymała w pogotowiu podczas wizyty Williama. Następnie odwróciła się do najbliższego stołu i sięgnęła po dojrzałą fioletowo-białą rzepę.

- A czy pan, panie Fewler, widział kiedyś, jak podrzyna się komuś gardło za to, że głupio i bezczelnie wtykał nos w cudze sprawy?

Jednym wprawnym cięciem rozcięła rzepę na pół i z satysfakcją zauważyła, że natręt cofnął się i niepewnie oparł dłoń na rękojeści pistoletu.

- Tak młoda osoba jak pani nie powinna używać mocnych słów - ostrzegł ją, nieudolnie usiłując nadać słowom żartobliwy wydźwięk. - Następnym razem niech pani dwa razy pomyśli, zanim wygłosi tak pustą i absurdalną groźbę.

- Zapewniam pana, że moja groźba nie była ani pusta, ani absurdalna. Jak każda wiejska kucharka potrafię zarznąć dowolną jadalną istotę żyjącą w Anglii i odpowiednio ją przyrządzić. Wątpię, żeby pan stanowił szczególne wyzwanie.

Zmrużył oczy i z pozorną obojętnością patrzył, jak dziewczyna sprawnie sieka twardą rzepę.

- Jeśli nie zmieni pani nastawienia, będę zmuszony dopisać panią do listy podejrzanych.

- Niech pan mnie dopisze od razu, na samej górze, i podkreśli na czerwono - poradziła mu uprzejmie. - Nie boję się ani pana, ani pańskiej listy.

- Tak właśnie uczynię. - Uśmiech znikł z ust Fewlera. - Pani siostra poleciła mi

odkryć prawdę i złożyć doniesienie do urzędu śledczego, bez względu na osobę sprawcy. Zrobię to, panno Penny, proszę mi wierzyć.

Rozdział szósty

William był uważnym obserwatorem i w drodze do domu zwracał uwagę na pozornie nieistotne szczegóły, które dostrzegał na mrocznych londyńskich ulicach. Bosonoga, zabiedzona dziewczyna na rogu mogła zostać wystawiona na wabia przez rabusiów czyhających w cieniu na każdego, kto przystanie, by jej litościwie pomóc. Kosz ze starą słomą przy stajni mógł skrywać wściekłego psa, a gromada młodych ochlapusów w drodze do burdelu mogła nieoczekiwanie uznać, że podpalenie żebraka to najlepsza rozrywka pod słońcem. Callaway widział to wszystko, choć w ogóle nie zwrócił uwagi na powóz z lokajami w liberii, zaprzężony w parę pięknych gniadoszy.

Gdy skręcił w Bowden Court, ujrzał w oddali stary, zniszczony dom, w którym obecnie mieszkał. Zawieszona przy drzwiach latarenka nieco rozjaśniała fragment ulicy, a w oknie mieszkania na parterze William zauważył masywną sylwetkę kota właścicielki budynku. Z kuchni dolatywały znajome zapachy cebuli i wieprzowiny, wymieszane z zatechłym smrodem Tamizy oraz fetorem brudnych kałuż na ulicy. Tu i ówdzie rozbrzmiewały zirytowane głosy kłócących się małżonków oraz płacz niemowląt.

Być może właśnie dobrze znane otoczenie sprawiło, że mężczyzna stracił czujność, poczuł się jak u siebie w domu i przedwcześnie odprężył. Albo też, co bardziej prawdopodobne, ponownie pograżył się w rozmyślaniach o pannie Penny. Odkąd dopilnował, żeby bezpiecznie wróciła do domu, odwiedził jeszcze dwie dobroczynne kuchnie, lecz rozmyślnie trzymał się z daleka od Penny House. Bethany wydawała się naiwnie wierzyć, że mogliby współpracować przy rozwiązywaniu zagadki, on jednak wiedział swoje. Truciciel był zbyt niebezpieczny, żeby w śledztwo angażowała się prostoduszna córka wiejskiego pastora. Wystarczyło przypomnieć sobie, w jakie tarapaty wpadła tego ranka. William miał dostatecznie dużo zmartwień na głowie, nie musiał dodawać do nich następnego.

I tak dręczyły go wyrzuty sumienia. Jak mógł do tego stopnia ulec słabości? Gotów

był poświęcić bezpieczeństwo Bethany w zamian za przyjemność przebywania w jej towarzystwie. Takie zachowanie świadczyło o jego złym, egocentrycznym charakterze. Czuł do siebie wstręt, ale nie potrafił zapomnieć, jak zaskoczenie dziewczyny w mgnieniu oka przeobraziło się w namiętność. Odwzajemniła pocałunek, zamiast wzdrygnąć się z odrazą...

- Patrz przed siebie! - Jakiś nieznajomy odruchowo uniósł rękę, kiedy Callaway wpadł prosto na niego, zachwiał się i omal nie upadł. Jego chroma noga wykręciła się boleśnie, a on sam machinalnie sięgnął po nóż.

- Sam patrz przed siebie, niezdarny bałwanie! - warknął.

- Najmocniej przepraszam, wasza lordowska mość. - Mężczyzna pochylił się w ukłonie i dotknął palcami ozdobnego kapelusza, nie odrywając wzroku od noża w dłoni Williama. - Nie chciałem przestraszyć waszej lordowskiej mości.

- Któż u licha kazał ci tak mnie tytułować? - spytał zdumiony Callaway, ale od razu sam odpowiedział sobie na to pytanie. Lokaj był ubrany w ciemnopurpurową liberię oraz pudrowaną perukę. Nawet w półmroku można było rozpoznać charakterystyczne wykończenia rękawów.

- Jaśnie pani kazała - odparł łagodnym tonem, zupełnie jakby go uprzedzono, że powinien wykazać się anielską cierpliwością. - Markiza Sperry, wasza lordowska mość.

- Doprawdy? - burknął William i powoli wsunął nóż do pochwy. Naga broń wydawała mu się całkiem stosownym narzędziem przy rodzinnych spotkaniach, lecz postanowił zachować pozory ogłady. - Czy moja siostra powiedziała coś jeszcze?

- Tak, wasza lordowska mość. - Lokaj ponownie dotknął kapelusza, a następnie wskazał dłonią powóz. - Zapraszam, jaśnie pani pragnie się z panem spotkać.

- Jest tutaj? - Callaway zdębiał. Czyżby Portia naprawdę zdecydowała się zawitać do tej niebezpiecznej i niemodnej okolicy? Powóz z pewnością należał do niej, na drzwiach widniał herb jej męża, a służący nosił dobrze znaną Williamowi liberię.

- Tak, wasza lordowska mość. - Lokaj wymownie poruszył wyciągniętą ręką. - Bardzo proszę, jaśnie pani dość długo czekała na powrót waszej lordowskiej mości.

- Ciekawe... - Ponownie zerknął na wystawny powóz. Portia wyjątkowo źle znosiła czekanie, więc musiała mieć niezwykle istotny powód, żeby pofatygować się do Bowden

Court, a następnie tkwić w powozie nie wiadomo jak długo. Po rekonwalescencji Williama rodzina postanowiła celowo odsunąć się od niego, zażenowana wojennymi ranami zarówno na jego duszy, jak i na ciele. Wtedy po raz pierwszy spostrzegł, jak bardzo jego bliscy są zapatrzeni w siebie, próżni i niezdolni. Postanowił zrobić wszystkim przysługę i zniknąć z ich życia, zadowolając się nieporównanie skromniejszymi warunkami.

Jak dotąd nikt się nim nie interesował.

- Za pozwoleniem, wasza lordowska mość - odezwał się znów służący. - Jaśnie pani...

- Jaśnie pani urwie ci łeb, jeśli nie przywleciesz mnie do powozu - dopowiedział Callaway i zaklął pod nosem. Był bardziej zrezygnowany niż rozzłoszczony. W tej chwili nie miał nawet pretensji do siostry. - Znam Portię jak zły szeląg i nie chcę, żeby zatrąła ci życie z mojego powodu. Prowadź, młodzieńcze, idę za tobą.

Drugi lokaj uchylił drzwi powozu i rozłożył mały schodek, żeby ułatwić gościowi wejście do środka, ten jednak nie zamierzał korzystać z zaproszenia.

- Portia - odezwał się z chodnika, skrzyżowawszy ręce na piersiach. - Ki diabeł sprowadza cię tej nocy w moje skromne progi?

- Przestań się chować w cieniu, Williamie, chcę ci się przyjrzeć. - Dama pochyliła się na skórzanej kanapie i obejrzała brata od stóp do głów w bladym świetle latarni. On również popatrzył na nią z zainteresowaniem. Była wyjątkowo piękną kobietą o nieskazitelnie gładkiej twarzy. Jej złociste włosy zostały uczesane w skomplikowaną koronę z loków i czerwonych, jedwabnych wstążek, zapewne podług najnowszej mody. Portia zaliczała się do największych niekwestionowanych piękności na królewskim dworze.

Cóż jednak z tego, że jej doskonałe rysy twarzy wyglądały jak wyrzeźbione w alabastrze, skoro była zimna jak kamienny posąg? Szal z włoskiej koronki, udrapowany na jej ramionach, kojarzył się Williamowi z wielką pajęczyną.

Wbiła w niego chłodne spojrzenie bladych, niemal bezbarwnych oczu, których kolor świadczył o ich pokrewieństwie.

- Wyglądasz ohydnie, braciszku - podsumowała z nieskrywaną satysfakcją. - Klepiesz biedę, co?

- Mógłbym odpowiedzieć w podobnym stylu i popsuć ci resztę wieczoru, ale tego nie

zrobię. Masz trzy minuty na wyluszczenie swojej kwestii.

- Trzy minuty w zupełności mi wystarczą. - Nieznacznie poruszyła głową i skinęła ręką. - Przestań wreszcie się we mnie wpatrywać i wsiadaj.

- Od ciebie zależy, jak wykorzystasz swój czas. - Callaway ostrożnie wsiadł do powozu.

Portia z obrzydzeniem zmarszczyła nos.

- Więc jesteś kaleką, tak jak mówił ojciec.

- To bardzo wspaniałomyślnie z jego strony, że raczył zauważyć tak nieistotny drobiazg. - William wzdrygnął się, gdy siadał na skórzanych poduszkach. - Przysłał cię tutaj, żebyś mi przekazała tę nowinę?

- Kto powiedział, że jestem tutaj na polecenie ojca?

- Tylko on mógł cię zmusić, abyś przyjechała - odparł spokojnie. - Zastanawiam się jednak, co nim powodowało?

- Dwie sprawy. - Poruszyła się nerwowo i zasłoniła nos perfumowaną chustką, którą wyjęła z wyszywanej paciorkami, jedwabnej torebki. - Po pierwsze, ojciec chce, żebyś zaprzestał wszczynania burd ulicznych.

William obserwował siostrę z kamienną miną. Wcale go nie zaskoczyło, że informacja o bijatykach dotarła do uszu ojca. Miał dużo pieniędzy na opłacenie informatorów. Pytanie tylko, z jakiego powodu chciał śledzić poczynania syna.

- Odkąd to obchodzi go, jak spędzam czas?

- Co innego może zrobić, skoro zmieniłeś się w pustelnika i wegetujesz w tej norze?

- Portia westchnęła i wymownie przytknęła chustkę do nosa. - Nie dałeś mu wyboru. Twoje zachowanie kładzie się cieniem na honorze rodziny, a udział w prostackich bójkach może się zakończyć twoją śmiercią. Przyznasz, że trudno by nam było znieść taką hańbę.

Nic dziwnego, że dobroć Bethany poruszyła go do głębi, skoro członkowie jego rodziny kierowali się tak samolubnymi pobudkami.

- Każdy rodzaj śmierci wydaje się okropny, Portio. - Williamie, bądź rozsądny - rzekła zniecierpliwiona. - Prawie wszyscy uznali cię już za zmarłego. Wyobraź sobie, jaki wybuchłby skandal: najmłodszy syn markiza Beckhama zamordowany w ryszotku!

Wszyscy zadawaliby nam wyjątkowo kłopotliwe i męczące pytania. Nawet nie chcę myśleć

o takim upokorzeniu.

- Och, Portio, nie zmieniałaś się ani na jotę. - Uśmiechnął się z goryczą. Po tym jak otruto pierwszego z jego ludzi, zastanawiał się nawet, czy za zbrodnią nie stoi jego ojciec. Mogło mu zależeć na możliwie dyskretnej śmierci syna.

- Na mnie pora - oświadczył i sięgnął do klamki przy drzwiach. - Nie musisz się już zniżać do rozmowy ze mną.

- Wykluczone, Williamie, nigdzie nie idziesz. - Władczym gestem położyła mu dłoń na ramieniu, żeby nie mógł wstać.

- Najpierw wyjawię ci drugi powód mojego przyjazdu. Otóż ojciec pragnie cię przyjąć z powrotem.

- Przyjąć mnie z powrotem? - Callaway roześmiał się głośno. Nawet nie próbował ukryć pogardy. - On mnie nigdy nie wygnał z domu, Portio. Opuściłem go sam, z własnej woli.

- Tak czy owak, ojciec chce się z tobą pojednać. - Machnęła chustką, jakby demonstracyjnie rozwiewała wątpliwości brata. - Bądź poważny, Williamie. Ojciec jest gotów wybaczyć ci upór i powitać cię z otwartymi ramionami.

Mężczyzna prychnął z niechęcią.

- Ojciec nigdy w życiu nie powitał nikogo z otwartymi ramionami, a już na pewno nie własnego syna. Sprowadził mnie z Hiszpanii wyłącznie dlatego, żeby obcy nie przelewali świętej krwi Callawayów.

- Gdyby wiedział, kim się staniesz, zapewne zostawiłby cię tam, byś zgnił wśród południowców. - Z odrazą spojrzała na jego powycierany płaszcz.

William znowu pomyślał o trucidaniu i swoich podejrzeniach.

- Może zatem ojciec powinien mnie teraz zabić i na zawsze pozbyć się problemu.

- Och, tego na pewno nie ma zamiaru uczynić. - Portia uśmiechnęła się kąśliwie. - Wiąże z tobą inne plany. Znalazł ci żonę.

- Żonę? - Nic nie rozumiał. Jego dwaj starsi bracia mieli już trzech silnych, zdrowych synów, którzy mogli odziedziczyć majątek i nazwisko. W rezultacie on sam był bardzo dalekim i nieistotnym, bo szóstym w kolejności, kandydatem do tytułu.

- Tak, tak - potwierdziła jego siostra z niekłamany zachwytem. - To wspaniała

kandydatka. Jej rodzina jest wniebowzięta i wszyscy pragniemy, żebyście jak najszybciej stanęli na ślubnym kobiercu.

- Zatem postradaliście rozum - burknął ze złością, zwłaszcza że od razu pomyślał o Bethany Penny. - Nigdy nie słyszałem o czymś równie niedorzecznym.

Portia cmoknęła z udawaną dezaprobatą.

- Cóż to za niefortunny komentarz. Czyżbyś nie wierzył, że ojciec pragnie dla ciebie szczęścia i satysfakcji w małżeństwie?

- Wierzę, że ten człowiek jest gotów poświęcić każdego dla zysku - mruknął z obrzydzeniem. Podobnie jak większość panien z wyższych sfer Portia i jej dwie siostry musiały zgodzić się na małżeństwa zawarte wyłącznie dla obopólnego zysku. William nie podejrzewał jednak, że jego ojciec zniży się do takiego samego rozwiązania w stosunku do syna.

- Jaką wartość przedstawiam dla ojca? - spytał ostro. - Dostanie za mnie ziemię, złoto czy jeszcze jeden głos w Izbie Lordów?

Dama odchyliła głowę i zaśmiała się perliście, a klejnoty w jej uszach rozbrły się w przyćmionym świetle.

- Braciszku, skąd to trzeźwe spojrzenie na świat? W rzeczy samej, słyszałam o pewnej drobnej przysłudze związanej z przekazaniem kawałka gruntu przylegającego do posiadłości ojca, ale biorąc pod uwagę urodę lady Emmy...

- Lady Emma? Chyba nie chodzi o Emmę Dalambert?

Portia tylko wzruszyła ramionami. Nie musiała nic mówić.

- Jeżeli ojciec nie miał jeszcze zarezerwowanego miejsca w piekle, to tym razem dostanie je bez wątpienia. - Zbulwersowany William pokręcił głową. - Znasz lady Emmę równie długo jak ja. Ta nieszczęsna istota zatrzymała się w rozwoju na poziomie dziecka i nic tego nie zmieni. Nie potrafiłaby nawet z grubsza pojąć, czym jest małżeństwo.

- No cóż... W rzeczy samej - zgodziła się jego siostra. - Przyznaję, że londyńskie przyjęcia nie są dla niej. Siłą rzeczy ślub będzie skromny, aby nie absorbować jej żalosego rozumku.

- Psiakrew, zastanów się, co mówisz! Niezrażona Portia znowu wzruszyła ramionami.

- Sam przyznasz, mój drogi, że nie jesteś kandydatem z najwyższej półki. Dawniej - może. Ale nie teraz.

A jednak Bethany Penny go pocałowała... Pocałowała go, choć nikt jej do tego nie zmuszał.

- To nie ma nic do rzeczy, wiesz doskonale - odrzekł.

- Och, wiem, że nasza mała szajbuska ma pokręcone w główce, ale przecież po ślubie możesz ją upchnąć gdzieś na wsi i zostawić w towarzystwie służby. Oddasz jej rodzinie ogromną przysługę, bo zabierzesz ją z ich domu, a w dodatku nieźle się wzbogacisz...

- Nie mam zamiaru wysłuchiwać tych ohydnych bzdur, siostró. - William wstał w przekonaniu, że bliscy uznali go za kompletnego degenerata, skoro zakładali, iż przystanie na tak urągającą propozycję. Na domiar złego nie okazywali ani odrobiny współczucia nieszczęsnej, upośledzonej umysłowo dziewczynie. Tak bezmyślnego okrucieństwa nie spodziewał się nawet po swojej rodzinie. - Wolałbym, żeby ojciec przyłożył mi pistolet do skroni i nacisnął spust. Prędzej umrę, niż wezmę udział w tej obrzydliwej grotesce. Powtórz moje słowa temu staremu draniowi.

- Nie bądź takim szlachetnym osłem. - Portia ponownie wyciągnęła rękę w jego kierunku, ale tym razem zdążył otworzyć drzwi powozu i wysiąść. - Ciebie również trudno uznać za uosobienie wszelkich cnót - dodała.

Odwrócił się do niej. Wystawiła głowę przez okno, a światło pobliskiej latarni padało na jej piękną twarz. Zawsze wiedział, że mają podobną bladobłękitną barwę oczu, ale po raz pierwszy zauważył w oczach siostry pustkę, taką samą, jaką nieraz widywał, patrząc w lustro.

Dlaczego na jego rodzinie ciążyło przekleństwo? Jaka zmora trawiła ich dusze, gdzie się podziewało ich sumienie? Co sprawiło, że nie potrafili dostrzec dobra i miłości ani w sobie, ani w innych?

- Pomyśl tylko o pieniądzach, Williamie - poradziła mu Portia. - Wiem, że celem twego życia jest zmarnotrawienie resztek majątku po matce i wydanie ich na żebraków. Masz szczęście, przecież ojciec mógł zamknąć cię w jakimś szpitalu dla obłąkanych na odludziu. Nie mogę dać wiary, że jesteś gotów porzucić taką okazję. Rodzina lady Emmy

ma mnóstwo pieniędzy, a ty wiesz żalosny żywot na ulicy.

- Wolę mieszkać pod mostem bez pensa przy duszy, niż przyjąć choćby szylinga za tak odrażający postępek. - Odsunął się od powozu. - Powiedz to ojcu. Dobrej nocy, siostrze, bywaj zdrowa.

Portia nie zamierzała dać za wygraną, choć brat odwrócił się do niej plecami i ruszył w kierunku domu.

- Jesteś ograniczonym i niewdzięcznym durniem! - zawołała za nim, zbyt wściekła, żeby pamiętać o dobrych manierach. - Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby ojciec naprawdę cię zastrzelił.

William przygarbił się i pomyślał ponuro, że i jego by to nie zdumiało. Pistolet czy trucizna - ojcu i rodzeństwu byłoby wszystko jedno jak, byle tylko udało się usunąć go wreszcie z tego świata. Pod tym względem absolutnie nic się nie zmieniło.

I nigdy się nie zmieni.

Zmęczona Bethany wdrapywała się po kuchennych schodach do pokojów publicznych, prowadzona przez wyprostowanego jak struna Pratta. Choć było już dobrze po północy, klub nadal tętnił życiem, a niektórzy goście dopiero się sposobili do nocnej pijatyki i wielogodzinnego hazardu.

Długi dzień panny Penny zaczął się jednak tak wcześnie i dramatycznie, że miała go już serdecznie dosyć i nie mogła się doczekać pory odpoczynku. W najmniejszym stopniu nie miała ochoty stawać przed obliczem jeszcze jednego dżentelmena, który życzył sobie osobiście pochwalić jej talenty kulinarne. Doskonale wiedziała, że nie powinna zachowywać się nieuprzejmie, ale z obrzydzeniem myślała o kolejnym pijanym, bełkoczącym lordzie, który zapewne poprosi ją o rękę, bo nigdy dotąd nie kosztował tak wspaniałego sosu z madery. Bała się, że zaśnie na stojąco i nawet nie zauważy, kiedy osunie się na dywan.

Nagle pomyślała, że gdyby to William na nią czekał, pospieszyłaby do niego tak ochoczo, jakby u ramion wyrosły jej skrzydła. Tego dnia szybko uwinęła się z gotowaniem zupy dla ubogich, więc była gotowa pół godziny przed czasem. Potem z bijącym sercem, przepełniona nadzieją wypatrywała Callawaya i liczyła na to, że on również pragnie się z nią zobaczyć.

Nie przyszedł, choć modliła się o to najżarliwiej, jak umiała.

Przyglądała włosy dłońmi i podreptała za Pratem przez tłum gości do jadalni, gdzie przed jednym z kominków zauważyła Amarię. U jej boku stał młody jasnowłosy dżentelmen we wspaniałym zielonym uniformie, lśniącym od złotych sznurów i mosiężnych guzików. Rękę trzymał z wystudiowaną nonszalancją na rękojeści szabli i Bethany od razu przyszło do głowy, że zapewne kupił sobie miejsce w najmodniejszej jednostce w armii.

Żołnierz... Dziewczyna od razu pomyślała o Williamie. Przyzwyczała się do jego obszarpanego płaszcza, nie umiałaby wyobrazić go sobie w galowym mundurze. Co do szabli... Wydawał się tak skory do walki na pięści, że podczas bitwy z pewnością zachowywał się jak prawdziwy bohater. Był porywczy, gwałtowny i nie stronił od przemocy. Te cechy jednocześnie przerażały ją i fascynowały.

- Oto i ona - oznajmiła Amaria i wyciągnęła rękę na powitanie Bethany. - Króliczku, poznaj porucznika Johna Macallistera. Panie poruczniku, to moja młodsza siostra, panna Bethany Penny. Porucznik ogromnie podziwia twój talent, Betts.

- Bardzo mi miło. - Zmęczona dziewczyna uśmiechnęła się z wysiłkiem. Wyglądało na to, że pan Macallister faktycznie ceni sobie dobrą kuchnię, a jego komplementy są szczere. Miał bowiem okrągłą, prostoduszną twarz z rumianymi policzkami, a mosiężne guziki imponującego munduru wyraźnie napinały się na jego brzuchu. Gdziekolwiek służył, z pewnością nie doskwierały mu tam żadne trudności ani ograniczenia. Pannie Penny znowu stanęło przed oczami posępne oblicze i zapadnięte policzki Williama. Cierpienie najwyraźniej odcisnęło piętno na jego ciele i duszy.

- Mnie również, panno Bethany. - Porucznik wyraźnie się rozpromienił. - Tak piękna dama jak pani zasługuje na wszelkie możliwe pochwały i komplementy.

- Dziękuję panu. - Puściła mimo uszu jego zachwyty i powróciła do tematu dzisiejszej kolacji. - Staramy się usatysfakcjonować podniebienia wszystkich naszych gości. Mam nadzieję, że skosztował pan gęsi w sosie ostrygowo-maderowym. To było nasze sztandarowe danie na dzisiejszą noc.

- Och, nie chodziło mi o kolację - zaprzeczył Macallister. - Choć i ona była pierwszorzędna. Miałem na myśli pani działalność dobroczynną. Kto by pomyślał, że tak

czarująca dama jak pani okazuje tyle troski gorzej uposażonym osobom? Od pani siostry wiem, że karmi pani nie tylko nas, gości w kasynie, ale także biedaków z ulicy, w szczególności starych weteranów.

- Niektórzy z nich wcale nie są starzy. - Bethany dała sobie spokój z wymuszonymi uśmiechami. - Zdarzają się weterani o wiele młodszy od pana. Gdy szli do boju, byli jeszcze wyrostkami. Moim zdaniem są szczęściarzami, bo dane im było ponownie ujrzeć rodzinne strony, ale aż trudno sobie wyobrazić, jakie przeżyli okropieństwa, walcząc dla kraju, który nie potrafi teraz o nich zadbać.

Macallister zmarszczył czoło i z troską wydał pełne usta.

- Wielka to hańba, zupełnie się z panią zgadzam. Dobrze przynajmniej, że większość nieszczęść spada na ludzi z niższych klas, wcielonych do armii dobrowolnie lub pod przymusem, gdyż są przyzwyczajeni do ciężkiego życia.

Bethany nie wierzyła własnym uszom.

- Uważa pan, że biedni nie odczuwają bólu?

- Tak właśnie sędzę - potwierdził bez cienia ironii. - Skoro od urodzenia nawykli do trudności, to nie cierpią tak bardzo jak osoby, które dorastały w wygodach.

Zirytowana dziewczyna odetchnęła głęboko.

- Uważa pan, że człowiek, którego nieszczęście zmusiło do sypiania na bruku, odczuwa mniejszy ból i wstyd niż ktoś, kto pławi się w luksusach przy St James's Square?

- Mówię o królewskim oficerze, panno Penny, którego nie sposób porównywać z byle piechurzem. - Macallister zachichotał z wyższością. - Różnica rangi i urodzenia jest między nimi ogromna, dzieli ich prawdziwa przepaść...

- Czyż obaj nie są ludźmi, dziećmi bożymi? - wybuchnęła tak głośno, że inni goście umilkli i skierowali na nią zdumione spojrzenia. - I oficerowie, i szeregowcy mają po dwie nogi, dwie ręce, jedno serce i głowę, prawda? To jasne, że tak samo odczuwają radość i ból, a podczas bitwy są waleczni i odważni.

Amaria zacisnęła palce na ręce siostry, dając jej do zrozumienia, że nie wolno jej się zagalopować.

- Wielkie boskie plany otaczają nas ze wszystkich stron, moja droga, na ziemi jest ich mnóstwo, a pan Macallister z pewnością się z tym zgodzi - powiedziała stanowczym to-

nem, w którym pobrzmiwało niewypowiedziane ostrzeżenie.

- Pan porucznik chciał tylko pochwalić nas za wysiłki, które podejmujemy w celu poprawienia trudnej sytuacji wszystkich biednych i potrzebujących.

Bethany odetchnęła głęboko i pokiwała głową, świadoma grzechu, który popełniła. Penny House był z założenia miejscem miłego odpoczynku dla dżentelmenów, gdzie mogli się odprężyć po trudach dnia. W szczególności potrzebowali spokoju od gderliwych kobiet, które zgodnie uważali za wyjątkowe utrapienie.

Opuściła wzrok i z trudem wykrztusiła słowa przeprosin.

- Bardzo mi przykro, panie poruczniku, że podałam w wątpliwość słuszność pańskich... przekonań. Dżentelmen i oficer może mieć wyłącznie szczytne i honorowe intencje, rzecz jasna.

- Co racja, to racja - zgodził się Macallister z uśmiechem i wypiął pierś jak gołąb. - Żeby dowieść, że nie ma między nami konfliktu, jutro przyślę pani donację, którą rozporządzi pani wedle własnego uznania. Łachmaniarze potrzebują każdego pensa, prawda?

- Jest pan bardzo hojny, panie poruczniku - odparła. Żałowała, że nie może odmówić wsparcia udzielonego w takim duchu, jeśli Macallister faktycznie zamierzał ofiarować jej pieniądze na ubogich. O ileż cenniejsza była szczerą, spontaniczną szlachetność Williama, gotowego dyskretnie wsunąć monetę w rękę najbardziej potrzebującego.

- Pański datek będzie mile widziany - dodała, choć myślami błędziła daleko. Zerknęła błagalnie na Amarię. Tęskniła już do kuchni, potrzebowała tylko wymówki. Nie cierpiała przebywać na piętrze, wśród gości, nienawidziła rozmów z odrażającymi typami pokroju Macallistera, wolała swoją ubogą trzódkę.

Niestety, porucznik nie uważał rozmowy za zakończoną. Przysunął się do dziewczyny i ściszył głos do poufnego szeptu.

- Niech pani na siebie uważa, panno Bethany. Pani siostra zdradziła mi, że musiała zatrudnić strażników, aby zapewnić sobie i pani bezpieczeństwo przed tłuszcą.

- Nic podobnego! - krzyknęła. - Strażnicy na dole nie chronią mnie, lecz moją trzódkę, której zagraża truciciel!

- Pani trzódkę? - Potarł dłonią usta, nieudolnie zasłaniając szyderczy uśmiezek -

Czy pani zdaniem żebracy są w takim niebezpieczeństwie, że potrzebują ochrony?

- Dobrze jest zachować ostrożność - wtrąciła się Amaria, nim jej siostra zdążyła otworzyć usta. - Powiada się, że otruci biedacy umarli w niewyobrażalnych męczarniach.

Macallister obojętnie strzepnął z rękawa niewidzialny pyłek. Najwyraźniej stracił zainteresowanie tematem.

- Bardziej prawdopodobne jest to, że nędzarze nachlali się marnego dżinu i to był powód ich śmierci.

Bethany przypomniała sobie, jak William przejmował się losem wszystkich zmarłych mężczyzn, których potrafił wymienić z imienia i nazwiska.

- Otruci ludzie byli żołnierzami, panie poruczniku. Niewykluczone, że służyli pod pańskimi rozkazami i że pan ich znał. Chodzi o Toma Parkera, Jemmy'ego Reeda...

- Z przykrością muszę panią rozczarować, panno Bethany, ale słyszałem o tych przypadkach otrucia. Wszyscy zmarli służyli w randze szeregowców, zatem z pewnością nie miałem okazji ich poznać. - Pochylił się w symbolicznym ukłonie i strzelił obcasami. - A teraz zechcą mi panie wybaczyć, ale widzę przyjaciela, któremu obiecałem partyjkę przy karcianym stole.

Amaria skinęła mu głową, a on odwrócił się do innego gościa klubu, lecz Bethany nie zamierzała zakończyć rozmowy. Musiała zadać ostatnie pytanie i wysłuchać ostatniej odpowiedzi.

- Panie poruczniku, skoro nie znał pan tych żołnierzy, to może zetknął się pan z ich dowódcą, majorem Williamem Callawayem?

Młody oficer zamarł. Choć nadal uśmiechał się półgębkiem, była pewna, że dostrzegła w jego oczach błysk zaskoczenia.

- Callaway - powtórzył swobodnym tonem. - Tak, to nazwisko jest mi znane... Któż by nie słyszał o majorze Callawayu? Nie mieliśmy jednak okazji spotkać się osobiście. Nie rozumiem, dlaczego wzbudził on pani zainteresowanie. Przecież zginął od hiszpańskich kul, a nie umarł otruty w londyńskim przytułku.

Bethany pokręciła głową z niedowierzaniem.

- To niemożliwe, panie poruczniku, zważywszy...

- Zapewne pomyliła go pani z innym dżentelmenem. Żegnaj panie. - Zdawkowo

skinął głową i ruszył przez zatłoczone pomieszczenie.

Amaria objęła siostrę w talii.

- O co chodzi, kochanie? Dlaczego wspomniałaś o Williamie Callawayu?

- To ranny oficer, nic więcej - odrzekła dziewczyna. Nie chciała niczego wyjaśniać, najpierw musiała sama rozeznąć się w sytuacji. Wiedziała, że William walczył w Hiszpanii, bo jej o tym powiedział, lecz ponad wszelką wątpliwość nadal żył. Dlaczego zatem John Macallister był przekonany o jego śmierci? Czemu wszyscy mieliby słyszeć o Callawayu? Postanowiła spytać go o to przy najbliższej okazji.

O ile się nadarzy...

- Porucznik bywa męczący, sama o tym wiem najlepiej - mówiła Amaria. - Chętnie jednak uprawia hazard, a jego ojciec jest bogatym przedsiębiorcą z północy.

- Co za szczęście, że mogę pracować w kuchni, a resztę zostawić tobie! - westchnęła Bethany i powiodła wzrokiem za Macallisterem, który właśnie wspinał się po schodach. - Myślisz, że naprawdę przyśle jutro datek dla ubogich?

- To bez znaczenia. Zdaniem Pratta ten młody oficer ma tak dramatycznego pecha w kasynie, że tak czy owak zostawi nam przyzwoitą donację. Widzisz, króliczku, nie zbawisz całego świata i nie zmienisz wszystkich ludzi na lepsze.

- Wiem. - Młodsza panna Penny położyła dłoń na ramieniu siostry i znów pomyślała o Williamie Callawayu, który również starał się pomóc ludziom najlepiej, jak potrafił. Pod pewnymi względami byli do siebie niesłychanie podobni, choć nadal nie potrafiła go zrozumieć. - Ale nie mogę przestać próbować.

- Zatem nie przestawaj - westchnęła Amaria. - Tylko nie zapominaj o rzeczywistości. Rób to, co musisz, lecz nie zdawaj się wyłącznie na siebie.

Rozdział siódmy

Do licha ciężkiego, gdzie ona się podziewała?

William stał po drugiej stronie ulicy, opierał się o mur i obserwował Penny House. Twarz ukrył pod rondem kapelusza, ręce wepchnął do kieszeni płaszcza i czekał. Od trzech dni trwał na posterunku. Z tego miejsca widział nie tylko białe kamienne schodki i drzwi

wejściowe do budynku, ale także przejście, które prowadziło do tylnego zaułka oraz kuchni. Mógł zauważyć każdego, kto wchodził do domu lub wychodził na ulicę, nie przeoczył ani jednego szlachetnie urodzonego dżentelmena i ani jednego dostawcy.

Nie zobaczył jednak Bethany.

Pragnął się upewnić, że czuła się dobrze po tym, jak zaatakował ją łotr nieopodal kościoła Świętego Andrzeja. Powtarzał sobie, że chodzi mu wyłącznie o jej zdrowie i dobre samopoczucie i że nie liczy na następny pocałunek, na okazję, aby potrzywać ją w ramionach i poczuć jej ciepło, od którego tajała jego skuta lodem dusza.

Zaklął cicho, zirytowany własną głupotą, po czym przeciągnął się i ugiął nogi, żeby złagodzić ból mięśni.

Być może wcale nie było jej w domu. A jeśli zatrzymała się u przyjaciół, w innej części miasta, albo wyjechała na wieś? Mogła się schronić gdziekolwiek, byle tylko uniknąć spotkania z nim...

Nagle ujrzał Bethany. Pojawiła się tak nieoczekiwanie, że w pierwszej chwili uznał ją za zjawę. Zamrugał oczami, ale nie zniknęła. Wyłoniła się z zaułka i skręciła w ulicę, jak zwykle energicznym, sprężystym krokiem. Williamowi mocniej zabiło serce. Miała na sobie tę samą niebieską suknię, którą włożyła na wizytę w kościele Świętego Andrzeja.

Zaczekała, aż przejedzie powóz, a następnie przeszła na drugą stronę ulicy. Skierowała się prosto ku niemu, zupełnie jakby się umówili. Bez namysłu wyłonił się z cienia i zbliżył do niej tak, żeby mogli iść ramię w ramię.

- Bethany - odezwał się i uchylił kapelusza. - Dzień dobry. Drgnęła, gdy przemówił, obejrzała się w jego stronę i mimowolnie się zarumieniła, ale ani trochę nie zwolniła kroku.

- Dzień dobry, panie majorze.

Pomyślał, że to zły znak. Panna Penny nie chciała się do niego zwracać po imieniu.

- Dobrze się miewasz? - zapytał. - Nic ci się nie stało?

- Oczywiście, że nie - potwierdziła, jakby zadał najbardziej absurdalne pytanie pod słońcem. - Powinien pan to sobie uświadomić, kiedy mnie pan pocałował.

- Ty również mnie całowałaś.

Jej policzki spłonęły rumieńcem.

- Chyba powinnam podziękować panu za pamięć - zauważyła. - Nie rozumiem

jednak, dlaczego uznał pan, że mogło mi się coś stać.

- Nie widziałem cię od kilku dni - powiedział ze źle skrywanym żalem. - Po raz ostatni spotkaliśmy się w pobliżu kościoła Świętego Andrzeja.

Nieoczekiwanie zrezygnowała z oficjalnego tonu.

- Może dlatego, że nie przyszedłeś na kolację razem z resztą trzódki.

- Kuchni pilnują teraz strażnicy. - Zauważył ich już pierwszego popołudnia. Rzucali się w oczy, a ich obecność całkowicie odmieniła atmosferę tego miejsca. - Nie tylko ja trzymam się z daleka od twojego podwórza.

Zdumiał się, gdy pokiwała głową.

- Wiem - potwierdziła smutno. - Na ciepły posiłek przychodzi ostatnio zaledwie połowa spośród odwiedzających mnie przedtem regularnie ubogich. Strażnicy mieli chronić przed trucicielem i bogatych, i biednych, ale ci ostatni chyba bardziej się boją ochrony niż trucizny.

- Nic dziwnego - odparł. - Ludzie nie lubią, kiedy uzbrojeni mężczyźni podejrzliwie zagląдают im w twarz. Ubodzy kochają twoje kolacje, ale nie chcą trafić do więzienia.

Zerknęła na niego spod daszka czepka.

- Czy ty również nie przychodzisz z tego powodu?

- To dostateczny powód - potwierdził, choć prawda była bardziej skomplikowana.

Nie chciał odpowiadać na osobiste pytania, nie miał ochoty tłumaczyć, kim jest i dlaczego wie takie życie. Nie czuł się już synem markiza Beckhama i nie tęsknił za dawnymi czasami.

- Jeżeli chciałeś uniknąć strażników, powinieneś być wejść od frontu.

- Miałbym skalać swoją obecnością twoje śnieżnobiałe schody? - zakpił.

- Dlaczego nie? - Patrzyła mu w twarz, jakby chciała odczytać jego myśli. - Schody są od tego, żeby z nich korzystać.

- Twoje schody są przeznaczone dla osób, które ubierają się u najlepszych krawców - prychnął. - Idę o zakład, że kamerdyner i służba przy głównym wejściu są równie czujni, jak te wynajęte typki w kuchni, pewnie nawet bardziej. Czy naprawdę wierzysz, że wpuściliby mnie do środka?

- Zrobiliby tak, gdybym im kazała - odparła bez wahania. - Zapominasz, że trzecia

część Penny House należy do mnie i jeśli mówię, że jesteś w nim mile widziany, to nie kłamię.

William nie wydawał się przekonany. Dobry kamerdyner przy drzwiach mógłby rywalizować z najczujniejszymi strażnikami, a poza tym Bethany wcale nie musiała zezwolić na wpuszczenie do domu jakiegoś obdartusa.

Miał także inne powody, żeby omijać ten klub. Po co ryzykować spotkanie z ludźmi, którzy należeli do jego przeszłości? Nie chciał rozmawiać z przychodzącymi tam dżentelmenami, gotowymi wypytywać go o sprawy prywatne.

- Dokąd idziesz? - spytał, kiedy minęli następną przecznicę. - Za późno już na targowisko, za wcześnie na zakupy w sklepach.

- Ale za to w sam raz na St James's Park - oświadczyła. - W wolnych chwilach chętnie tam spaceruję, w otoczeniu zieleni dobrze mi się myśli. Przypominam sobie wówczas lata spędzone w Sussex.

- Chodzisz do parku sama? - zapytał wstrząśnięty, choć było jasne, że to prawda. - Wielkie nieba, po tym, co cię spotkało?

- Tak naprawdę nie spotkało mnie nic strasznego - zauważyła spokojnie. - Nie widzę powodu, żeby zmieniać dotychczasowe przyzwyczajenia.

- Co to za pomysł, żeby chodzić po parku bez odpowiedniej osoby towarzyszącej? - Pomyślał, że samotnej damie grozi tak wiele niebezpieczeństw, iż nie sposób ich wszystkich wymienić. - Naprawdę chodzisz na spacerzy zupełnie sama?

- Naprawdę - potwierdziła. - O ile nie liczyć zastępów innych spacerowiczów chętnych do korzystania z uroków pięknego poranka. Na pewno spotkam wielu dżentelmenów w siodle, guwernantki z małymi dziećmi, a także kwiaciarki i czeladników, którzy zrobili sobie przerwę w nauce, żeby obejrzyć przedstawienie w teatrzyku lalek.

- To nie to samo - zaprotestował. Jak u licha miał jej wytłumaczyć, ile niebezpieczeństw czai się w londyńskim parku? - Jesteś młodą damą, córką pastora, a nie pierwszą lepszą kwiaciarką.

- Jestem młodą kobietą odpowiedzialną za własne utrzymanie - zadeklarowała z lekką nutą irytacji w głosie. - Innymi słowy, bliżej mi do zapracowanej kwiaciarki niż do delikatnej, młodej damy.

- Nie wybaczyłbym sobie, gdyby coś ci się stało - wyznał całkiem szczerze.

William oczekiwał, a raczej miał nadzieję, że Bethany się uśmiechnie. Na próżno.

- To wielce szlachetne z twojej strony - odrzekła. - Równie szlachetne, co niepotrzebne.

- Potrzebne i konieczne - sprzeciwił się z oburzeniem. - Wiem, co mówię.

- Sądziłam, że nie wierzysz w sens zatrudniania strażników.

- Wierzę, gdy w grę wchodzi twoje dobro. Zważywszy na okoliczności, nie powinnaś spacerować po Londynie sama.

- Dopóki idziesz u mojego boku, z pewnością nie jestem sama, i tylko dlatego mi towarzyszysz - zauważyła rozsądnie.

- Takie są okoliczności.

- Jesteś piekielnie dobra w wykręcaniu kota ogonem - zauważył. - Prosta sprawę potrafisz zaplątać na supeł.

- Ty również w tym celujesz - odparła. - Spacerujesz sobie ze mną i udajesz, że chronisz mnie przed stadami lwów i watahami wilków, które polują w miejskim parku. Wiesz, dlaczego to robisz? Bo chcesz się czuć bohaterem obrońcą bezbronnej dziewczyny. Tego właśnie pragniesz, przyznaj się. William stanął jak wryty.

- Mogłabyś mówić jaśniej? Do czego zmierzasz?

- Doskonale rozumiesz, co mam na myśli. - Zrobiła jeszcze trzy kroki, nim się zatrzymała i odwróciła twarzą do niego. - Idziesz ze mną, majorze, czy raczej wolałbyś już się pożegnać?

Wpatrywał się z uwagą w jej postać. Miała jasnozielone rękawiczki, z jej zgiętego nadgarstka zwisała torebka. Łagodny wiatr opinał spódnice na jej biodrach i nogach, na przemian ujawniając i ukrywając zarys jej zgrabnego ciała. Blade poranne słońce rozświetlało jej twarz okoloną daszkiem czepka i podkreślało złocistorudą barwę loków oraz jasnoblękity kolor oczu. William jeszcze nigdy nie widział dziewczyny równie uroczej i jednocześnie gotowej na konfrontację.

Nic jej nie zawdzięczał, nie miał obowiązku zapewniać jej ochrony, nie musiał jej towarzyszyć. Pocałował ją raz i ogromnie mu się to spodobało, ale na tym sprawa powinna się zakończyć. Bethany miała prawo sama chodzić do parku, mogła nawet rozebrać się i

paradować nago po ulicach, jeżeli miała na to ochotę. Jego nie powinno to obchodzić.

Uśmiechnęła się ze smutkiem, przechyliła głowę i ruszyła w dalszą drogę.

- Zatem do widzenia - powiedziała przez ramię, ale William nie miał zamiaru dawać za wygraną.

- O nie! - krzyknął. - Nigdzie sama nie pójdziesz. - Dogonił ją z wysiłkiem. - Skoro upierasz się przy spacerze po parku, musisz się pogodzić z moim towarzystwem.

- Nie mogę cię powstrzymać - odrzekła z westchnieniem. - Jesteś dorosłym człowiekiem i sam decydujesz o swoich poczynaniach.

Bezlitośnie przyspieszyła kroku, patrząc przed siebie. Chciał spojrzeć jej w twarz osłoniętą daszkiem czepka, ale dostrzegł tylko czubek nosa.

Zacisnął zęby, zdecydowany nie pozostawać z tyłu. Z coraz większym trudem powłóczył obolałą nogą. Źle zabliznione mięśnie bolały go coraz bardziej, miał mokre włosy, po szyi spływały mu krople potu. Do diaska, kto by pomyślał, że córka pastora może maszerować energiczniej niż doborowa piechota?

- Miej się na baczności - ostrzegła go, gdy przeszli przez bramę parku. - Ponoć o tej porze ranka tygrysy są najbardziej żądne krwi.

- W szczególności samice - burknął wściekle. W ten jasny, letni poranek St James's Park ani trochę nie kojarzył się z siedliskiem wszelkiego zła, przed którym William przestrzegał Bethany. Promienie słońca przedzierały się przez gałęzie drzew i okrywały ścieżki drzącą arabeską splątanych cieni, na trawie lśniły ostatnie krople nocnej rosy. Spacerowicze w parku nie wydawali się ani trochę groźni. Jednak nawet w ten radosny poranek Callaway nie potrafił pozbyć się wrażenia, że za każdym krzakiem może się cziąć napastnik. Irracjonalne poczucie niebezpieczeństwa zakorzeniło się w nim tak głęboko, jakby ktoś rzucił na niego przekleństwo. Dwa lata temu nawet nie przeszłoby mu przez myśl, że kiedyś zacznie podejrzewać o najgorsze wszystkich. Teraz niespokojnie wodził wzrokiem po ścieżkach i trawnikach, wypatrując tego, co inne, nietypowe, potencjalnie groźne.

Tamtego dnia również świeciło słońce na bezchmurnym hiszpańskim niebie. Panował nieznośny upał, wąska droga, którą podążali ku morzu, wyschła na pieprz, a ich stopy grzęzły w piaszczystej glebie. Drobną czerwony pył unosił się w powietrzu, wnikał w płuca

i wypełniał usta.

Dzień wcześniej napełnili manierki słonawą wodą ze strumyka i od tamtej pory nie mieli gdzie uzupełnić zapasów. Żołnierze starali się oszczędzać wodę, ale William wiedział, że w takim upale nie zajdą daleko. Oczy go piekły, jakby ktoś wbijał mu szpilki pod powieki, język wydawał mu się trzy razy za duży w spieczonych ustach, nogi drżały pod ciężarem ciała. Gdy rozglądał się po wyschniętej okolicy, widział drgające w skwarze powietrze, które dawało mu złudną nadzieję bliskości rzeki lub stawu.

Po potyczce pozostało ich zaledwie dwunastu z doborowego batalionu. Zaszli razem tak daleko, że nie wolno im było dać za wygraną. Gdzieś przed nimi czekały angielskie wojska i wozy pełne prowiantu. Za plecami mieli Hiszpanów zdeterminowanych, aby dokończyć to, co rozpoczęli.

Zdesperowany major Callaway wiedział jedno: nie mógł do tego dopuścić.

Gdy wdrapali się na szczyt wzniesienia, które wyrosło im na drodze, ujrzeli poczerniałe zgliszcza gospodarstwa i wijącą się przez pola wstęgę strumienia. Tym razem wzrok ich nie mylił. Niemal na wyciągnięcie ręki mieli mnóstwo świeżej wody. Żołnierze natychmiast, bez zastanowienia rzucili się w stronę życiodajnego strumyka - i wtedy oślepił ich błysk. W ułamku sekundy William stracił przytomność i potem już nigdy nie zdołał sobie przypomnieć, co się zdarzyło. Miał tylko świadomość, że w wyniku jego braku rozwagi i czujności na wiernych żołnierzy spadły nieszczęście, ból i śmierć, a na niego wstyd i kalectwo.

Śmierć...

- Williamie? - Głos Bethany przerwał ponure wspomnienia. - Spójrz na mnie, odezwij się. Dobrze się czujesz? Przemów, Williamie, chcę cię usłyszeć.

Zamrugnął i odwrócił się w kierunku, z którego dochodził jej głos. Miała tak zatroskaną i przejętą twarz, że opuścił wzrok. Wtedy zauważył, że zacisnął palce na jej dłoniach. Miała ciepłą skórę, mogła ofiarować mu spokój i siłę, na które nie zasługiwał. Nie potrafił się jej jednak oprzeć.

- Williamie, czy chciałbyś usiąść? - spytała cicho. - Niepotrzebnie szłam tak prędko, nie pomyślałam o tobie...

- Nic mi nie jest - wychrypiął. Nawet teraz jego gardło i głowa wydawały się pełne

przeklętego hiszpańskiego pyłu, który wypełniał powietrze niczym czerwona mgła. -
Dziękuję... Już w porządku.

- Tak - powiedziała, choć oboje doskonale wiedzieli, że to nieprawda. Opuściła dłoń i poprowadziła go za rękę niczym kochanka.

- Williamie, spójrz, sprzedawca pomarańczy - odezwała się. - Moim zdaniem nie ma nic lepszego na odświeżenie ciała i umysłu niż świeża pomarańcza.

Skinął głową, na próżno usiłując się skupić.

Bethany wyjęła z torebki dwie monety i wręczyła je starej kobiecie w barwnym fartuchu, która z ciekawością przypatrywała się mężczyźnie, zupełnie jakby zobaczyła szaleńca albo półgłówka.

- Uwielbiam pomarańcze, Williamie, zwłaszcza jeśli mogę się nimi raczyć pod gołym niebem. - Dziewczyna wyjęła z koszyka dorodny owoc i podrzuciła go w dłoń niczym piłkę. - Czy chciałbyś wybrać sam, czy wolisz zdać się na mnie? - Pochyliła się ku niemu i dodała poufnym szeptem: - Tylko nie ruszaj tych na górze, z gładką, lśniąca skórka. To stara sztuczka handlarzy. Gotują przywiedle i nadgniłe w środku owoce, dzięki czemu ich skórka pęcznieje i znowu wydaje się świeża.

- Ejże, panienko, nie masz prawa tak mówić - oburzyła się handlarka. - Mój towar jest cały świeży i smaczny.

Bethany uśmiechnęła się pogodnie. Jej twarz wyglądała tak pięknie w porannym słońcu, że oczy Williama zaszczyły łzami.

- Robienie przemyślanych zakupów nie jest grzechem - zwróciła się do sprzedawczyni. - Wszyscy na targowisku wiedzą, że owoce i warzywa nie zawsze są takie, na jakie wyglądają.

- Co mi tu będziesz mówić, panienko - prychnęła urażona handlarka. - Dobrze wiem, jak to bywa, kiedy coś jest ładne na zewnątrz, ale zepsute w środku.

- Nie ma ludzi bez wad, więc wszyscy musimy starannie ważyć osady - odparła i spokojnie wybrała pomarańczę dla Williama. - Chodźmy, usiądziemy na ławce pod wiązami.

Czuł się jak dziecko, kiedy go prowadziła, a jednak nie sprzeciwił się ani słowem. W milczeniu usiadł na drewnianej ławce dyskretnie ukrytej za krzakami, odetchnął głęboko,

po czym delikatnie oswobodził dłoń Bethany. Z uśmiechem zdjęła rękawiczki i zabrała się do obierania pomarańczy. Ze wstydem zauważył, że na jej palcach pozostały białe ślady po jego uścisku.

- Wybacz - powiedział ze szczerym smutkiem. - Zrobiłem ci krzywdę...

Nie oderwała wzroku od owocu.

- Nie jestem aż tak wrażliwa, jak ci się wydaje. Proszę, weź.

Palcami mokrymi od soku podała mu kawałek pomarańczy, który z wdzięcznością przyjął. Pomyślał, że zachowywał się jak na dobrego żołnierza przystało. Wykonywał rozkazy, bez względu na to, jak rozdarta była jego dusza.

Tym razem nie miał jednak powodów do smutku i przygnębienia. Słodki sok w jego ustach w niczym nie przypominał wszechobecnego hiszpańskiego pyłu i pozwalał choć na chwilę zapomnieć o tamtej ziemi, która natrętnie kojarzyła się z wyschniętą krwią.

- Sam widzisz, że pomarańcze odświeżają ciało i umysł - zauważyła Bethany z uśmiechem. - Jeden kawałek wystarczył, byś odzyskał siły.

- Dlaczego troszczysz się o mnie? - spytał powoli. - Przecież nigdy nie prosiłem cię o wsparcie.

- Doskonale o tym wiem. - Uśmiechnęła się ponownie. - Taka już jestem, po prostu. Przyszło mu do głowy, że nie powinien tak łatwo ulegać jej wpływowi.

- Nie użalaj się nade mną.

- Wcale nie zamierzam - zapewniła go. - Litość często nie ma sensu. Pragnę jednak dbać o dobro ludzi i pomagać im, kiedy tego potrzebują. Doskonale wiesz, że tak należy czynić, przecież sam się przejmujesz losem podkomendnych.

Odetchnął głęboko, gotów obdarzyć ją zaufaniem i wyznać jej prawdę.

- Czasami... ogarnia mnie cień przeszłości - wyznał. Usiłował wyjaśnić coś, czego sam nie rozumiał. - Nie wiem, jak to ująć.

- Ująłeś to całkowicie zrozumiale. - Oderwała kciukiem następną część pomarańczy. - Wszystkim nam doskwierają przykre wspomnienia. Położne powiadają, że nawet całkiem niewinny noworodek płacze i krzyczy z bólu, który towarzyszy jego narodzinom, oraz z poczucia winy za cierpienia matki. Dlaczego dorośli mieliby zachowywać się inaczej?

- Jesteś... dobra. - Popatrzył na dłonie, które złożył na kolanach.

- Nie zamierzam rozliczać cię z twojej przeszłości. - Ściszyła głos. - Ale muszę cię o coś zapytać. Czy wiesz o innych przypadkach otrucia ludzi?

Gwałtownie podniósł wzrok.

- Czego się dowiedziałaś? - spytał ostro.

- Niczego - zapewniła go pospiesznie. - Absolutnie niczego. Po prostu przeszło mi przez myśl, że niepokojące wieści mogły dojść do ciebie pierwszego.

- Nie wiem nic nowego. - Uświadomił sobie, że wstrzymał oddech z obawy przed tym, co mógł usłyszeć. Z ulgą sięgnął po drugą pomarańczę i zajął się jej obieraniem. - Z tego, co mi wiadomo, od ponad tygodnia truciciel nie dał o sobie znać.

- Daj Boże, aby już nigdy nikogo nie zabił. - Spojrzała na Williama, jakby się zastanawiała, czy powinna dalej mówić. - Zastanawiałam się nad czymś i najwyraźniej byłam w błędzie. Kiedy się gorzej poczułeś, mówiłeś o śmierci. Sądziłam, że chodzi o truciciela.

- Jestem... byłem żołnierzem. Obcowałem tak blisko ze śmiercią, że nigdy nie nabiorę do niej dystansu.

Pokiwała głową.

- Pewnie przywykłeś do okropności i dramatów wojny.

- Ani trochę - zapewnił bez wahania. - Nawet sam Wellington powiedziałby ci, że do śmierci nie da się przywyknąć. Każda śmierć sprawia, że życie staje się cenniejsze.

- I dlatego tak bardzo przejmujesz się otrutymi?

- To oczywiste. - Ugryzł cząstkę pomarańczy. - Wojsko zbliża ludzi. Towarzysze broni trzymają się razem w zwycięstwie i w klęsce. Tak silne więzi nigdy nie słabną, co może potwierdzić każdy, nawet szeregowiec.

- Chyba jednak nie każdy żołnierz to rozumie - zaprzeczyła cicho. - W tym tygodniu w klubie pojawił się gość, którego dotąd nie widziałam. Z początku, gdy go o to zapytałam, sprawiał wrażenie, jakby cię dobrze znał, ale potem wyparł się osobistej znajomości z tobą. Zachowywał się nad wyraz osobliwie.

William się zachmurzył. Jak każdy oficer wielokrotnie naraził się swoim przełożonym, ale nie wyobrażał sobie, że ktoś mógłby wypierać się znajomości z nim.

- Czy pamiętasz nazwisko tego człowieka? W którym pułku służył?

- Nie rozpoznałam jego munduru - wyznała ze skruchą. - Zauważyłam tylko, że był bardzo elegancki i ociekał złotem. Nazwisko pamiętam: John Macallister. Porucznik John Macallister. Może go znasz, choć on udaje, że nigdy się z tobą nie spotkał?

- Macallister. - Sięgnął myślami daleko, do dzieciństwa. - Znałem kiedyś chłopca o tym nazwisku, chodziliśmy razem do szkoły. Taki mały grubasek, dwa lata młodszy ode mnie. Ofiara drwin w klasie, wszyscy koledzy się nad nim znęcali. Jego ojciec zajmował się handlem.

- Od siostry wiem, że jego ojciec jest przemysłowcem i ma mnóstwo pieniędzy. Zapewne mamy na myśli tego samego Macallistera, zwłaszcza że ten, o którym mówię, również jest pulchny. Poza tym wydawał się niesłychanie zadowolony z siebie, choć nie mam pojęcia dlaczego.

Jej słowa rozbawiły Callawaya.

- Zdecydowanie mówimy o tym samym człowieku. Cóż, ma prawo nie kojarzyć mojego nazwiska. Nigdy nie należał do specjalnie bystrych młodzieńców.

- To nie wszystko, Williamie. Jego zdaniem, ty nie żyjesz.

- Doprawdy? - Usiłował się uśmiechnąć i zbagatelizować sprawę, żeby Bethany się nie przejmowała. - Z pewnością pomylił mnie z kimś.

Pokręciła głową.

- Macallister zasugerował mi to samo, ale z pewnością cię zna, tylko nie chce się do tego przyznać. Nie rozumiem tylko, po co utrzymywał, że zginąłeś.

- Dla większości ludzi równie dobrze mógłbym nie żyć - oświadczył możliwie obojętnym tonem. - Przestałem istnieć dla wojska, gdy ojciec odsprzedał moje stanowisko oficerskie. Uznał, że nie jestem w stanie samodzielnie podjąć tej decyzji.

Bethany zrobiła wielkie oczy.

- To niesłychane okrucieństwo! Jak można uznać, że nie istniejesz?

- Och, przecież widzisz, że istnieję. Po prostu nie ma mnie tam, gdzie byłem wcześniej. - Wyciągnął przed siebie rękę i poruszył palcami. - Jestem całkiem realny, na razie jeszcze jakoś żyję.

Wzdrygnęła się.

- Nie mów tak - zażądała drżącym głosem. - Nie wolno żartować ze śmierci. Nigdy.

- Dlaczego? - spytał zdumiony jej reakcją. - Przecież to prawda.

- Ale ja się cieszę, że żyjesz. Nie powinieneś kusić losu. Choć nie jestem żołnierzem, również zetknęłam się ze śmiercią i wiem, jakie to okropne doświadczenie. Nie chcę, żeby coś złego spotkało ciebie.

- Nie sądziłem, że jestem coś wart dla kogokolwiek - zażartował, żeby rozładować atmosferę, ale po raz pierwszy od miesiący uświadomił sobie, że naprawdę pragnie żyć. Gdyby nie Bethany, nadal byłoby mu wszystko jedno.

Popatrzył na ostatnią cząstkę pomarańczy w swej dłoni i podsunął go dziewczynie.

- Weź - zaproponował. - Poczęstowałaś mnie, a teraz chciałbym się zrewanżować.

Otwórz usta.

Nie odpowiedziała, tylko popatrzyła mu w oczy i powoli się pochyliła. Jasna skóra na jej szyi była tak delikatna, że dostrzegał pulsowanie krwi. Wreszcie rozchyliła wargi, a wtedy wsunął jej w usta kawałek pomarańczy. Przez długą chwilę trzymała go między zębami, które w końcu mocno zacisnęła i po jej dolnej wardze spłynęła kropla soku. William powoli uniósł dłoń i opuszkami palców dotknął wilgotnych ust Bethany. Nie odrywając od nich wzroku, rozwiązał wstążkę pod brodą dziewczyny, ściągnął czepek z jej głowy i zanurzył palce w jedwabistej gęstwinie włosów. Jednocześnie przysunął twarz na tyle blisko, żeby ją pocałować.

Oparła dłonie na jego ramionach i przechyliła głowę. Mężczyzna jęknął.

- Nikt nigdy mnie tak nie całował - wyznała nagle.

- Jesteś pierwszą kobietą, którą pragnąłem tak pocałować. - Objął ją, a wtedy poruszyła się i przysunęła do niego. Wiedział, że nie powinien przekraczać pewnych granic, podobnie jak poprzednio, ale nie potrafił zapanować nad emocjami.

- Dlatego nie wolno ci umrzeć - wyszeptała, muskając wargami jego policzek. - Jesteś dobrym człowiekiem, Williamie, zacnym, prawdziwym bohaterem!

Znieruchomiał. Te słowa podziały na niego jak zimny prysznic. Czy naprawdę nie uświadamiała sobie, że wcale nie jest dobry ani wartościowy? Do diabła, nie był także bohaterem, bo przecież powinien był uratować podkomendnych. Prawdziwy bohater nie pozwoliłby im cierpieć - ani w kłębach kurzu na hiszpańskiej drodze, ani tutaj, w zaułkach

Londynu.

- Dość - warknął i odsunął się od niej.

- Jak to, Williamie? - Popatrzyła na niego trochę nieprzytomnym wzrokiem. -

Dlaczego? Co robisz?

Wstał, cisnął na trawę kawałki skórki pomarańczy i wyciągnął rękę do Bethany.

- Zabieram cię do domu. Zajmę się tobą i zadbam o twoje bezpieczeństwo - oznajmił głucho. - Nigdy nie zamierzałem wykorzystywać cię w taki sposób i jest mi przykro.

- A mnie nie jest przykro - zauważyła i również wstała z ławki. - Ojciec nauczył mnie samodzielności oraz odpowiedzialności za własne czyny. Nie muszę czekać na rozkazy królewskiego oficera.

- Do diabła, Bethany...

- Tylko bez przekleństw, bardzo proszę. Może błędnie zakładałam, że moglibyśmy być przyjaciółmi i dzielić się uczuciami bez wpadania w pułapkę banalnego związku, w którym byłbyś panem!

- Nie myślisz logicznie - burknął. Jego gniew narastał i dorównywał jej irytacji. - Kiedy się uspokoisz, zobaczysz...

- Kiedy się uspokoję, to będę spokojna! - krzyknęła i chwyciła z ławki czepek. - Podobno nie życzysz sobie mojej litości. Otóż wiedz, że żał mi ciebie, skoro wierzysz, że dżentelmen właśnie w taki sposób powinien traktować damę!

Wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami. Nie miał pojęcia, w którym miejscu popełnił błąd.

- Jak według ciebie powinien się zachowywać dżentelmen?

- Skoro tego nie wiesz, to trudno. Spróbuj pomyśleć, może dojdiesz do rozsądnych wniosków. A teraz muszę się pożegnać, wracam do domu.

- Nigdzie sama nie pójdziesz. Odprowadzę cię.

- Nie ma mowy. - Ruszyła prosto przed siebie w kierunku głównej alejki w parku. - Nie teraz, gdy...

- Panno Bethany! Panno Bethany! Proszę zaczekać!

William odwrócił się i ujrzał jednego z wynajętych strażników, którzy pilnowali kuchennych drzwi w Penny House. Tylko tego brakowało, żeby jakiś dureń wtykał nos w

nie swoje sprawy i to właśnie teraz, kiedy chciał wyjaśnić dziewczynie, że chciał jak najlepiej dla niej i dla siebie.

Zatrzymała się i oparła dłonie na biodrach. Callaway stanął u jej boku.

Przynajmniej go nie odepchnęła.

- Kto cię za mną wysłał? - spytała wyniośle, gdy tylko strażnik podbiegł do niej.

- Usilnie proszę o wybaczenie - wykrztusił z wysiłkiem. - Przychodzę na żądanie pana Pratta, a także panny Penny. Kazali mi przekazać, że musi pani natychmiast wracać.

Twarz Bethany momentalnie stężała, a po plecach przebiegły jej ciarki. William machinalnie ją objął.

- Co się stało? Coś niedobrego? Z moją siostrą?

- Panna Amaria miewa się dobrze, proszę pani - pospieszył z zapewnieniem strażnik i obrzucił towarzyszącego jej mężczyznę nieufnym spojrzeniem. - Ale powiedziała, że mam panią sprowadzić jak najszybciej. Otrzymała wiadomość, że znowu otruto biedaka w dobroczynnej jadłodajni.

Rozdział ósmy

- Och, nie! Znowu? - jęknęła Bethany. Zaledwie chwilę wcześniej żywiła nadzieję, że już nikt nie zginie z ręki truciciela. Jej złość na Williama minęła błyskawicznie - w porównaniu z prawdziwą ludzką tragedią wydawała się dziecinną błahostką. - Kiedy do tego doszło? Mów wszystko po kolei!

- Powiadają, że dzisiaj rano, proszę pani - wyjaśnił strażnik. - Niech pani już wraca do Penny House, panna Amaria na pewno wie więcej.

- Jak się nazywał denat? - spytał William ostrym tonem.

- Mów, człowieku, natychmiast!

Strażnik pokręcił głową i niepewnie zerknął na niego.

- Tego nie wiem. Nikt mi nie powiedział.

- Do diaska - zaklął Callaway i odwrócił się do dziewczyny.

- Chodźmy, nie traćmy czasu. Chcę usłyszeć, co twoja siostra ma do powiedzenia.

Wziął ją pod rękę, gotów do drogi, ale ona cofnęła się z wahaniem.

- Zaczekaj, Williamie, proszę. Nie możesz ze mną iść. Nie chcę, żebyś szedł do Penny House.

W jego jasnych oczach dostrzegła zaskoczenie i ból.

- Wstydzisz się mnie, Bethany? Powiedz, czy o to chodzi?

- Skąd! - Rzuciła okiem na strażnika, który nawet nie udawał, że nie słucha. Po sekundzie namysłu odciągnęła swego towarzysza na bok. - To nie tak, jak myślisz. Po domu kręcą się ci głupi strażnicy, więc nie chcę, żeby...

- Żeby mnie widzieli - dokończył i zmrużył oczy. - Sądziłem, że jesteś inna.

Uwierzyłem w te wszystkie bzdury, że byłbym mile widzianym gościem, że mogę wejść frontowymi drzwiami...

- Nie, Williamie, przestań! - Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego zarzuca jej tak odrażającą dwulicowość. - Chodzi mi wyłącznie o przekłętą panią Fewlera i jego ludzi. Już o ciebie pytał, podejrzewa cię o najgorsze. Dla twojego dobra chciałam ci oszczędzić...

- Wolę samodzielnie decydować o tym, co chcę robić. - Uśmiech na jego ustach był tak ponury i lodowaty, że Bethany się wzdrygnęła. - Nie zamierzam tracić czasu na jałowe kłótnie. Wracaj do domu, ja pójdę do przytułku.

- Nie kłóćmy się - westchnęła ze znużeniem. Usiłowała skupić się na tym, że śmierć biedaka znaczy nieporównanie więcej niż jej problemy osobiste, nie mogła jednak zapomnieć o tym, iż zaledwie pół godziny temu William całował ją z taką czułością i namiętnością, jakby była jedyną kobietą na świecie, a przynajmniej jego świecie. Jak to się stało, że w tak krótkim czasie powstała między nimi przepaść nie do pokonania?

- Skoro idziesz do przytułku, zabiorę się z tobą.

- Wykluczone - oświadczył stanowczo, zarazem dowodząc, że naprawdę się kłóca. - Idziesz do Penny House z tym człowiekiem i postaraj się zrobić tam coś pożytecznego.

- W przytułku też się na coś przydam - powiedziała szybko.

- Nie boję się pracy i obowiązków.

Przez kilka sekund ostentacyjnie milczał, żeby zademonstrować odmienne zdanie.

- Idę sam, i tyle. Daj mi znać, jeżeli dowiesz się czegoś istotnego.

Westchnęła, pogodzona z porażką.

- Dokąd dokładnie mam przesłać umyślnego z wieściami?

- Do mojego miejsca zamieszkania - odparł, jakby magicznym sposobem dowiedziała się już wcześniej, gdzie to jest. - Zatrzymałem się u pani Ketch, w Bowden Court. Na mnie pora.

Odwrócił się, ale Bethany nie chciała, by rozstali się w taki sposób.

- Zaczekaj - poprosiła cicho i położyła mu dłoń na ramieniu. - Williamie, uważaj na siebie. Cokolwiek się zdarzy, czegokolwiek się dowiesz w przytułku, musisz na siebie uważać.

Zaskoczony jej troską popatrzył na nią przez ramię i uśmiechnął się szczerze, po raz pierwszy odkąd wstali z ławki.

- Nikt mnie nie skrzywdzi - wyszeptał. - Bóg mi świadkiem, że wielu próbowało, ale i tym razem im nie pozwolę.

W milczeniu cofnęła rękę i odwróciła się na pięcie. Nie chciała powiedzieć za dużo. Gdy maszerowała do Penny House ze strażnikiem u boku, jej oczy zaszyły łzami z frustracji i niepokoju.

John Macallister pochylił się nad oszkloną gablotą u jubilera i z uwagą oglądał biżuterię.

- Ta bransoleta jest nader stosowna dla damy, jaśnie wielmożny panie. - Jubiler podsunął mu rubiny w srebrze i delikatnie obrócił, by zaśniły. - Doskonale nadaje się zarówno na dzień, jak i na wieczór. Odcień niezwykle udatnie pasuje do niesłychanie modnego białego muślinu.

Porucznik Macallister zmarszczył brwi. Potrzebował czegoś, co przykuje uwagę Bethany Penny i przychylnie ją do niego usposobi, ale jednocześnie zależało mu na tym, żeby nie uznała go za natręta. Tak rozważna kobieta jak ona mogłaby nabrać podejrzeń na widok rubinów, stanowczo zbyt drogich jak na pierwszy upominek.

- Ta dama nie chodzi w bieli - oświadczył. - Preferuje błękit pasujący do barwy jej oczu.

- Ach, tak... - Jubiler pokiwał głową, popatrzył na klienta znad okularów i odłożył rubiny na aksamitną podkładkę.

- Damy bardzo sobie cenią spostrzegawczych dżentelmenów, którzy zauważają każdy detal ich urody. Czy w takim razie mogę zaproponować te perły? Jasna, delikatna

skóra damy stanowi dla nich doskonałą oprawę.

- Co prawda, to prawda - przytaknął porucznik. Bransoleta z pereł wydawała się dostatecznie skromna, a zarazem elegancka, poza tym specjalnie wybrał ekskluzywny zakład jubilerski, gdyż chciał zademonstrować, że w razie potrzeby jest skłonny sypnąć groszem. - Biorę perły.

- Pierwszorzędny wybór, proszę pana. Jestem pewien, że dama będzie zachwycona pańskim podarunkiem.

- Też tak myślę. - Zadowolony z siebie Macallister wsunął kciuk za pas. Lubił myśleć o sobie jak o człowieku czynu, który chętnie bierze na swe barki ciężar odpowiedzialności. Właśnie o tym miał świadczyć złoty sznur na jego mundurze. Bethany wpadła mu w oko, poznał ją, a teraz zamierzał zdobyć wszelkimi dostępnymi sposobami.

- Czy mamy zająć się dostarczeniem bransolety? - zapytał jubiler, a porucznik skinął głową.

Wolał przesłać prezent za pośrednictwem umyślnego, gdyż z doświadczenia wiedział, że niezapowiedziane odwiedziny są marnym pomysłem. Zaskoczone damy często udawały, że nie ma ich w domu, i musiał czekać na progu jak idiota, a potem odchodzić z kwitkiem. Panna Amaria wydawała się nieco bardziej przychylna od siostry i musiał zyskać pewność, że pozostanie jego sprzymierzeńcem. Postanowił napisać coś dowcipnego na bileciku i na tym zakończyć sprawę podarunku. Następnym razem, gdy zawita do Penny House, drzwi domu staną przed nim otworem.

Zatarł ręce, wyobraziwszy sobie wdzięczność Bethany. Wydawała się idealną kandydatką na jego żonę. Nie poszcęściło mu się z arystokratkami, które interesowały się wyłącznie tytułem przed nazwiskiem. Panna Penny jednak do nich nie należała. To on był dla niej atrakcyjną partią, nie na odwrót. Poza tym była piękna i chętniej przebywała w kuchni niż w sklepach. Nie brakowało jej rozsądku, należała do kobiet oszczędnych, a zdaniem siostry świetnie się sprawdzała w roli szefowej, co oznaczało, że miała doskonałe kwalifikacje do kierowania domem.

Niepokoilo go tylko jedno. Dlaczego wspomniała o Callawayu? Skąd wytrzasnęła to nazwisko? Przecież przyjechała do Londynu zaledwie przed rokiem, więc nie mogła go znać, a mimo to interesowała się nim.

Macallister zaklął pod nosem. To na pewno był zbieg okoliczności. Być może Bethany przeczytała gdzieś o nim albo usłyszała od jednego z bywalców klubu. Bez względu na to, co jej się wydawało, ten człowiek już nie żył. A co mogło komukolwiek grozić ze strony trupa?

Skierował wzrok na inną gablotę, pełną obrączek oraz pierścionków zaręczynowych. Ponieważ zakończył już jedną ważną sprawę, mógł skupić całą uwagę na zalotach. Przy odrobinie szczęścia przed Bożym Narodzeniem poprosi pannę

Penny o rękę. Wtedy wszystkie jego kłopoty odejdą w zapomnienie. Wreszcie przestanie myśleć o niesławnej przeszłości i obawiać się jej ujawnienia. Będzie go czekała pogodna przyszłość z piękną żoną u boku.

Tak, tak. Wspaniała przyszłość zamiast niegodnej, tchórzliwej przeszłości. Trudno się dziwić, że porucznik Macallister opuścił sklep, radośnie pogwizdując.

Siostry Penny siedziały obok siebie w fotelach przed kominkiem w salonie, a Pratt, Fewler i strażnik, który spełnił rolę posłańca, na stojąco zdawali im sprawozdanie. Panowała podniosła, poważna atmosfera, zupełnie jakby wszyscy uczestniczyli w rozprawie sądowej.

- Ponad wszelką wątpliwość ów człowiek zginął z ręki tego samego truciciela co pozostali - oznajmił Fewler. - Minęło tyle samo czasu pomiędzy ostatnim posiłkiem a śmiercią, a naoczni świadkowie podali zbieżne opisy konwulsji i delirium. Nie może być inaczej.

Amaria postukała palcami w poręcz fotela.

- Powiada pan, że poza tym nie umarł nikt, kto jadł ten sam posiłek? Nawet ci, którzy byli obsługiwani bezpośrednio przed denatem i po nim?

Były śledczy pokręcił głową.

- Nie, panno Penny. Nie umarła jego żona ani dziecko, choć wszyscy przyszli razem. Zarządca klubu wyniośle prychnął.

- Zatem może warto uznać żonę za podejrzaną. Nie ona pierwsza byłaby mężobójczynią.

- Jestem pewna, że prowadzący śledztwo biorą pod uwagę każdą ewentualność, Pratt

- zapewniła go Amaria. - Nawet tak upiorną jak mężobójstwo.

- A jakże, panno Penny. Właśnie tak - zgodził się Fewler, który nie miał zamiaru w żaden sposób urazić pracodawczyni.

- Rzecz w tym, że jego żona to tylko prosta, biedna kobiecina, która nic by nie zyskała na śmierci męża. Ponadto nie miała żadnego dostępu do trucizny, więc szybko odrzucono możliwość jej udziału w zbrodni.

- Powinniśmy otoczyć tę nieszczęsną wdowę opieką, zamiast wysuwać absurdalne oskarżenia - zniecierpliwiała się Bethany. - Jak się nazywa? Gdzie mieszka?

Amaria położyła dłoń na jej ręce, żeby uciszyć siostrę, która pomyślała, że ma już dosyć takich protekcyjnych gestów.

- Oczywiście, że się tym zajmiemy, Betts. Teraz jednak musimy pomyśleć, czy ta najświeższa tragedia nie położą się cieniem na naszym domu.

- Chyba mogę poznać nazwisko zmarłego? - spytała młodsza z panien Penny, wiedząc, że William pragnąłby je poznać. - Chciałabym też wiedzieć, czy był to ktoś, kogo znaliśmy... Czy należał do mojej trzódki. To chyba nie grzech, prawda?

- Nie, proszę pani. - Fewler zajął do notatnika. - Nosił nazwisko równie proste jak on sam. Smith. George Smith.

- Czy i on służył w wojsku? Jeszcze jeden weteran wojen z Francją?

Wyraźnie zaskoczony były śledczy ponownie zerknął do zapisków.

- Owszem, był żołnierzem do czasu, gdy kula armatnia urwała mu nogę. Wtedy powrócił do Londynu. Między innymi z tego powodu są podejrzenia, że za zabójstwami mogą stać Francuzi, którzy mordują naszych dzielnych bohaterów w celu osłabienia ducha w narodzie. Truciciel nie jest dostatecznie przebiegły, żeby zaatakować generałów lub lordów, ale prosty żołnierz jest dla niego łatwym łupem.

- Okropność. - Bethany spróbowała przypomnieć sobie wszystkich jednonogich podopiecznych. Było ich kilkunastu, ale żaden nie przychodził z rodziną i na pewno nie nosił tak popularnego nazwiska. Miała nadzieję, że William również nie przypomni sobie tego człowieka i postanowiła jak najszybciej podzielić się z nim wieściami. - Nie pamiętam, żeby ten biedny człowiek kiedykolwiek do nas zajrzał.

- To przynajmniej jedna dobra wiadomość wśród natłoku złych - zauważyła Amaria z większym zadowoleniem, niż wypadało w takiej sytuacji. - Niemniej śmiem sądzić, że

nawet Napoleon nie obmyśliłby tak nikczemnego planu.

Fewler uśmiechnął się szeroko.

- Jest pani niezwykle wrażliwa i rozsądna, jak na prawdziwą damę przystało, panno Penny. Zapewniam panią jednak, że na świecie czai się więcej zła i podłości, niż sobie wyobrażamy.

- Na świecie jest również więcej dobra, niż się panu wydaje, proszę pana - zauważyła Amaria surowo. - Czy nie ma pan nic więcej do dodania w sprawie truciciela?

Mężczyzna uklonił się sztywno.

- Chwilowo to wszystko. Zamierzam konsekwentnie sprawować nadzór nad bezpieczeństwem Penny House.

- Bardzo mnie to cieszy. - Starsza siostra westchnęła ciężko. - Mam poczucie, że pańska obecność tutaj przyczynia się do poprawy naszej wiarygodności. Między innymi dzięki panu nikt nie łączy naszego domu ze sprawą tego konkretnego otrucia.

- To prawda, panno Penny - przyznał Fewler. - Tym razem sprawa nie budzi wątpliwości. Jeśli pani pozwoli, pragnąłbym zadać pannie Bethany pewne dość istotne pytanie. Czy człowiek, z którym spotkała się pani w parku, należy do pani, hm... trzódki? Czy jest pani regularnym gościem? Amaria odwróciła się do siostry.

- Betts, o jakiego mężczyznę chodzi? Czy to ktoś, kogo znam?

Młodsza z pańien poczerwieniała. Musiała odpowiedzieć na zadane jej pytania. Zapewniła Williama, że sama podejmuje decyzje za siebie, nawet jeśli postanowiła zachowywać się bezwstydnie na ławce w parku. Teraz musiała ponieść tego konsekwencje.

- Nie, Amario, nie znasz tego człowieka - odparła spokojnie. - Zgadza się, to jeden z moich podopiecznych. Pragnął zamienić ze mną słowo na temat przypadków otruc, ale nie chciał przychodzić do Penny House, bo nie czułby się komfortowo w obecności pana Fewlera i jego ludzi.

Mężczyzna prychnął z powątpiewaniem.

- Obawiać się nas powinny wyłącznie osoby, które mają coś na sumieniu.

- Mówimy o bardzo skrytym człowieku, proszę pana - oznajmiła Bethany. Z najwyższym trudem udawało się jej zapanować nad emocjami. Wiedziała, że nic nie zyska, jeżeli straci cierpliwość. - Poza tym nikt nie ma obowiązku przebywać w pańskim

towarzystwie.

- Jak brzmi nazwisko tego skrytego mężczyzny? - spytała Amaria cicho.

- William Callaway - odrzekła dziewczyna, nawet nie próbując ukrywać dumy, jaką napawała ją znajomość z tym człowiekiem.

Jej siostra miała jednak zupełnie inne skojarzenia.

- Major William Callaway? - powtórzyła nieco zdezorientowana. - Przecież porucznik Macallister twierdził, że ten dżentelmen zginął w Hiszpanii!

- Ależ skąd, wcale nie zginął - zaprzeczyła Bethany pospiesznie. - Porucznik się mylił. Jakże mogłabym spotkać majora i rozmawiać z nim, gdyby nie żył?

Fewler uśmiechnął się wyrozumiale.

- Niewykluczone, że to pani podopieczny mija się z prawdą, panno Penny. Łotry takie jak on potrafią podszywać się pod cudze nazwiska i rangi, a przychodzi im to równie łatwo, jak innym hultajom kradzież portmonetki.

- To nie jest ani łotr, ani hultaj - zaprotestowała. - Jeszcze nigdy nie spotkałam równie godnego szacunku dżentelmena.

Były śledczy pokręcił głową, a jego podkomendny wzruszył ramionami.

- Za pozwoleniem, panno Bethany, mam doświadczenie w tych sprawach i śmiem uważać, że ten opryszek wcale nie jest dżentelmenem, a już na pewno nie królewskim oficerem. Obecny tutaj Henry widział tego rzekomego Callawaya, gdy przyszedł po panią do parku. Wiem zatem, że chodzi o pospolitego włóczęgę, który nie powinien budzić zaufania nawet najbardziej łatwowiernej osoby. Młodej damie nie wolno obcować z szemranymi nicponiami pokroju tego powsinogi.

Panna Penny zacisnęła zęby. Nie mogła dać się sprowokować.

- Może pan sobie oceniać ludzi według własnych kryteriów, panie Fewler - odparła i wstała z fotela. - Osobiście wolę dobrać znajomych nie na podstawie ich ubioru, lecz czystości serca i duszy. Na mnie pora, skoro nie ma pan dla nas innych informacji. Mam mnóstwo obowiązków w kuchni.

- Tak, tak, w Penny House zawsze jest coś do zrobienia - zgodziła się Amaria i również wstała. Nawet nie próbowała ukrywać ulgi. - Do widzenia.

Trzej panowie ukłonili się uprzejmie i w ciszy opuścili pokój. Bethany chciała pójść

w ich ślady, lecz siostra chwyciła ją za rękę.

- Zaczekaj chwilę - poprosiła łagodnie i zamknęła drzwi. - Kiedy spacerowałeś, przyszła do ciebie przesyłka.

- Naprawdę? - Dziewczyna uśmiechnęła się z ulgą. Była pewna, że siostra zechce ją wypytywać o Williama. - Czy to paczka od pani Cosgrove? - zapytała, gdy Amaria podchodziła do kominka, żeby zdjąć z półki mały kartonik. - W jej sklepie ostatnio zabrakło mojej ulubionej niebieskiej wstążki, pewnie dotarły już nowe zapasy.

- To nie jest przesyłka od pani Cosgrove. - Panna Penny wręczyła młodszej siostrze paczuszkę. - Dostałaś upominek od porucznika Johna Macallistera. Nie jesteś ciekawa, co to takiego?

- Szczerze mówiąc, ani trochę. - Bethany popatrzyła sceptycznie na niewielkie, owinięte brązowym papierem pudełko. Gdyby nadeszła je William, nie posiadałaby się z radości, ale prezent od porucznika musiał podzielić los innych podarunków dostarczanych przez służbę do Penny House. Niechętnie rozwinęła papier i uchyliła skórzane wieczko.

- Perły - mruknęła, pokazała bransoletkę siostrze i odczytała treść dołączonego bilecika. - „Dla pięknej, bezcennej perły, na zawsze oddany Macallister”. Porażająco oryginalne, nieprawdaż?

- Po poruczniku nie spodziewałabym eksplozji talentu. - Amaria wzięła bransoletkę do ręki. - Drobiazg, co prawda banalny, ale za to kosztowny. Przypomnij sobie, jak wysoki datek przysłał na wyżywienie ubogich, zgodnie z obietnicą.

- Podziękowałam mu już za donację, napisałam wyjątkowo uprzejmy list. Teraz jestem pewna, że wyciągnął z niego niewłaściwe wnioski. Chyba mimowolnie zachęciłam go do przysyłania tej biżuterii. - Wyjęła bransoletkę z dłoni siostry i wepchnęła ją z powrotem do pudełka. - Powiem Prattowi, żeby któryś ze służących natychmiast odniósł ten nieszczęsny prezent. Macallister, podobnie jak inni niedoszli adoratorzy, nie powinien robić sobie nadziei. - Westchnęła i odłożyła pakunek na półkę nad kominkiem. - Wytłumacz mi, Amario, dlaczego tak wielu naszych wysoko postawionych gości myli naszą gościnność z przystępnością? Jakkolwiek patrzeć, nie paradujemy po pokojach niczym aktorki po Covent Garden i nie szukamy hojnych sponsorów.

- Moim zdaniem to znak, że odnosimy sukces. - Starsza siostra zerwała przywiedłą

lilię z bukietu na jednym ze stołów i poprawiła pozostałe kwiaty, żeby wypełnić puste miejsce. - Gdybyśmy nie zapewniały dżentelmenom należytego odpoczynku, na pewno nie chcieliby spędzać z nami jeszcze więcej czasu.

- Tak czy owak, trudno to uznać za komplement. - Bethany przypomniała sobie, z jaką wyższością traktował ją porucznik Macallister. - Z jakiegoś powodu uważają, że powinniśmy zachwycać się ich bogactwem i wskakiwać im na kolana w zamian za byle błyskotkę.

- Chcesz powiedzieć, że lepiej się czujesz w towarzystwie mężczyzny biednego niż bogatego? - Amaria oderwała wzrok od wazonu z kwiatami. - Może powinnaś zaprosić majora Callaway na podwieczorek, żebym i ja mogła go poznać.

- Tutaj? - zająknęła się dziewczyna na myśl o tym, w jakich okolicznościach rozstała się z Williamem. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby go zaprosić do domu. - Byłabyś skłonna wpuścić go do Penny House?

- Jak najbardziej - potwierdziła siostra. - Jeżeli jest choć w połowie tak wspaniały, jak go opisujesz, z pewnością okaże się miłym i interesującym rozmówcą.

- Ale on nie przyjdzie - oświadczyła Bethany pospiesznie. - Z powodu pana Fewlera i jego strażników. Nie lubi ich i nie uważa, żeby byli tutaj potrzebni.

- Niech zatem wejdzie frontowymi drzwiami, jak każdy inny dżentelmen. - Amaria uśmiechnęła się szerzej. - Z twoich słów wywnioskowałam, że major Callaway nie należy do osób nieśmiałych. Powinien dobrze się czuć w naszym towarzystwie.

- Jeszcze na to za wcześnie - powiedziała młodsza panna Penny cicho i opuściła wzrok. - Może kiedyś...

- Chętnie zaczekam, króliczku. - Amaria wyciągnęła ręce i przytuliła siostrę. - Sama musisz podjąć tę decyzję. Przypomnij sobie, jak długo Cassia zwlekała z przyprowadzeniem do nas Richarda, a przecież był już jednym z naszych gości.

- William... to jest major Callaway w niczym nie przypomina Richarda. - Bethany nie chciała, żeby rozczarował jej siostry, zwłaszcza że w porównaniu z mężem Cassii mógł wypaść niezbyt korzystnie. Richard Blackley był bogaty jak Krezus, dysponował ogromną władzą i wpływami zarówno w Anglii, jak i na kontynencie. - Pan Callaway jest zbyt przejęty losem innych ludzi, żeby gromadzić bogactwa, a poza tym ani trochę nie dba o

ubiór.

- Zatem będzie doskonale do nas pasował przy podwieczorku - zażartowała Amaria, ale spojrzała na Betts z nieskrywaną troską. - Doskonale wiesz, że ci ufam i jestem gotowa uczynić wszystko, by zapewnić ci szczęście. Obiecuj mi jednak, że będziesz nadzwyczaj ostrożna w kontaktach z tym panem. Pamiętaj, jesteś impulsywna i niejednokrotnie wpadałaś z tego powodu w tarapaty. Czułabym się nieporównanie lepiej, gdybyś umawiała się z majorem w Penny House, a nie chowała się z nim po krzakach w parku. Dziewczyna poczerwieniała.

- William wcale nie jest taki, jak opisuje go pan Fewler. Nie jest hultajem i nicponiem, a honor ceni sobie znacznie wyżej niż dżentelmeni z klubu. Poza tym nigdy nie chowałam się z nim po krzakach!

- Wiem, wiem. - Amaria nadal uśmiechała się z troską, ale w jej głosie pobrzmiwała nuta żalu. - Ojciec zawsze powtarzał, że nikt nigdy nie będzie ci mówił, co masz robić. Miał rację, jak zwykle. Tym razem jednak, Betts, zaklinam cię na wszystkie świętości: postępuj rozważnie i kieruj się zdrowym rozsądkiem, a nie podszeptami serca.

Wzrok Williama powoli przyzwyczajał się do niemal nieprzeniknionego mroku. Wchodził po nieoświetlonych schodach, ale w pokoju na tyłach budynku było jeszcze ciemniej. Na domiar unosił się w nim fetor niemytych ciał wielu ludzi, którzy razem pracowali, jedli i spali.

Za jedyne oświetlenie służyły tu prowizoryczne lampki sporządzone z naczyń wypełnionych łojem, do których wetknięto kawałki zwiniętych szmat i podpalono. Stały tu i tam na podłodze, a w ich świetle ludzie wyglądali jak ciemne, rozedrgane cienie o zdeformowanych obliczach. W pomieszczeniu na ogół panowały egipskie ciemności, ale tej nocy ustawiono światełka, żeby rozjaśnić drogę Williamowi i jednocześnie uczcić pamięć zmarłego.

- Dżentelmen do ciebie, Sarry - wyszeptała kobieta, która przyprowadziła Callawaya, po czym przykucnęła obok drobnej młodej kobiety z wystraszonego dzieckiem w objęciach. - Powiada, że był z George'em na wojnie. Podobno przyszedł przez szacunek, tak mówi.

William pochylił się na tyle, na ile pozwalała mu chora noga.

- Pani mąż był dobrym człowiekiem - odezwał się. - I do tego dzielnym żołnierzem,

zasługiwał na lepszy los. Przykro mi, że odszedł.

Kobieta odwróciła ku niemu głowę. Nawet w tak marnym świetle zauważył, że jej twarz jest opuchnięta od płaczu, a oczy szkliste i błędne. Była wciąż ładna, ale jej uroda nie miała szansy przetrwać do wiosny.

- Jeszcze dzisiaj rano mój Georgie był przy mnie - powiedziała, pochlipując. - Spał u mojego boku. - Wskazała dłonią słomiankę w kącie. - Umarł jak wściekły pies, skręcając się i wijąc na podłodze, błagał, żeby skrócić mu cierpienia. Nie zasłużył na to, na pewno nie!

Zasłoniła twarz dłonią i rozszlochała się na dobre. Dziecko na jej kolanach również zaczęło płakać, jakby solidaryzowało się z matką. William delikatnie położył rękę na jej ramieniu. Czuł, że narasta w nim złość na człowieka, który zabił niewinnego weterana i unieszczęśliwił jego rodzinę. Pamiętał George'a Smitha, żołnierza drobnej postury, który również wędrował pylistą, hiszpańską drogą. Przetrwał tylko po to, żeby zginać w cierpieniach po powrocie do ojczyzny. Błagał o uwolnienie go od męczarni, jak pozostali...

Odszedł jeszcze jeden żołnierz, któremu Callaway nie potrafił pomóc.

- Ogromnie mi przykro, proszę pani - rzekł i westchnął przepełniony poczuciem bezradności. - Współczuję pani z całego serca.

- Nawet mi go nie oddali, żebym mogła go pochować jak Bóg przykazał - lamentowała. - Powiedzieli, że jego miejsce jest teraz na stole chirurgicznym, bo tam trafiają wszyscy otruci... Kochałam go. Boże, jak ja go kochałam!

William wiedział, że zwłoki, które trafiają pod nóż, nie są zwracane rodzinie, ale pragnął pomóc nieszczęsnej wdowie najlepiej, jak potrafił.

- Czy mogę zrobić coś dla pani i dziecka? - spytał cicho. Z trudem otworzyła oczy.

- Chcę... chcę wrócić do domu, do mamy - wykrztusiła.

- Do Lancaster. Muszę opuścić to wstrętne miasto. Nie mogę tu żyć...

- Tak się stanie - oznajmił. - Wróci pani z dzieckiem do rodzinnego domu. -

Dyskretnie wcisnął jej do ręki kilka monet.

- Jutro przyślę wóz po pani dobytek. Pojedzie pani do domu.

Wpatrywała się w niego oszołomiona.

- Dlaczego? - spytała niepewnie. - Czemu pan to robi?

- Dla George'a. Służył u mojego boku w Hiszpanii, honorowo i mężnie. Był jednym z moich ludzi. Cokolwiek dla pani zrobię i tak nie wystarczy.

Kobieta zaszlochała i wygrzebała spod siennika brudny woreczek, który wepchnęła mu w dłoń.

- Georgie za nic w świecie nie sprzedałby swojego skarbu - powiedziała. - Za żadną cenę, tak mówił. Na pewno chciałby przekazać panu swoją najcenniejszą pamiątkę za to, co pan robi dla mnie i dziecka.

Callaway z namaszczeniem rozwiązał woreczek i wyciągnął ze środka wytarty mosiężny prostokąt: znoszoną sprzączkę pasa naramiennego, należącą do wyposażenia każdego szeregowego żołnierza. Tylko tyle pozostało po mundurze George'a Smitha.

Drżącymi palcami William obrócił sprzączkę i przysunął ją do najbliższej lampy, żeby obejrzeć grawerunek. Na mosiężnej tarczy znajdował się rysunek korony i krzyża, a pod nim okrągłe insygnia wojskowe z napisem „Pułk Lancasterski” oraz wyrytym numerem 52. Major wstrzymał oddech i potarł napis kciukiem, żeby się upewnić, że właściwie go odczytał.

52. Pułk Lancasterski. To nie jego jednostka. Śmierć poniósł zatem inny, nieznanemu George Smith.

- On by sobie życzył, żeby pan to przyjął. Biedny George, kochał wojsko, a pan był jego towarzyszem broni...

- Dziękuję pani. To dla mnie wielkie wyróżnienie. - William powoli wsunął sprzączkę do woreczka. Nie zamierzał mówić kobiecie prawdy o tym, że truciciel pomylił jej George'a Smitha z innym. Nieszczęśnik zapłacił najwyższą cenę za to, że przypadkowo nosił to popularne nazwisko. Rzecz jasna, Callaway zamierzał dotrzymać obietnicy i wysłać młodą wdowę do matki w Lancaster, a na dodatek dorzucić jej parę gwinei.

Nie potrzebował dodatkowych dowodów. Ktoś dobierał ofiary według listy.

Bethany podniosła wzrok na woźnicę.

- Proszę na mnie poczekać - powiedziała, zdecydowana nie popełnić tego samego błędu po raz drugi. Wymknęła się z kuchni podczas przygotowań do kolacji, wiedząc, że służba z pewnością poradzi sobie sama. - Wrócę za chwilę.

W otwartym oknie domu w Bowden Court siedział wielki kot i czujnie wpatrywał się

w nią pomarańczowymi oczami, gdy zapukała do drzwi. Po chwili na progu stanęła starsza kobieta.

- Pani Ketch? - Dziewczyna uśmiechnęła się pogodnie. - Dzień dobry. Czy mogłaby pani przekazać majorowi Callawayowi, że przysłała panna Penny?

Uśmiech najwyraźniej nie zrobił wrażenia na właścicielce domu.

- Pana majora nie ma - burknęła.

- Nie wie pani, kiedy wróci? - Bethany zrobiła krok naprzód, żeby tamta nie mogła zatrzasać jej drzwi przed nosem.

- Nie. - Pani Ketch obejrzała ją od stóp do głów. - Może pani poczekać w jego pokojach.

- W jego pokojach? - Nie była pewna, czy William chciałby ją wpuścić do mieszkania.

- Przecież nie będzie pani sterczała mi na schodach - odrzekła kobieta, biorąc się pod boki.

Panna Penny odetchnęła głęboko.

- Dziękuję pani. Chyba rzeczywiście zaczekam, ale tylko przez chwilę.

Gospodyni ruszyła przodem, a ona posłusznie podreptała za nią. Po kilkunastu sekundach obie zatrzymały się przed drzwiami mieszkania.

- Major to spokojny człowiek, cichy - zauważyła pani Ketch. - Całymi miesiącami nikt go nie odwiedzał, i co to się teraz porobiło. - Otworzyła drzwi. - Kiedy wróci, powiem mu, że pani czeka. I jeszcze ta druga.

- Ta druga? - zdumiała się Bethany.

Starsza kobieta skinęła głową i odwróciła się, żeby zejść po schodach, a panna Penny znieruchomiała. Od progu zauważyła leżącą na łóżku Williama jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek widziała. Nieznajoma była ubrana w kosztowną suknię z haftowanego indyjskiego muślinu, jej nagie ramiona okrywał wielki kaszmirowy szal, a na skrzyżowanych nogach miała jedwabne pończochy. Urodziwa dama nosiła tyle biżuterii, że wystarczyłoby jej do wyposażenia sklepu jubilerskiego, a złociste loczki miała ułożone i splecione tak misternie, że zapewne kilka służących musiało poświęcić długie godziny na ich modelowanie.

- A to dopiero - odezwała się piękność z nieskrywanym rozbawieniem i poprawiła poduszki pod głową. - Nasz drogi William skrywa niejedną tajemnicę, prawda?

Rozdział dziewiąty

Dziewczyna podeszła bliżej i wyciągnęła rękę do damy na łóżku. Ojciec zawsze uczył ją i jej siostry, że należy uprzejmie witać wszystkich ludzi, których napotyka się na drodze.

- Dzień dobry pani - powiedziała uprzejmie. - Nazywam się Bethany Penny.

Nieznajoma z nieskrywanym obrzydzeniem popatrzyła na jej wyciągniętą dłoń.

- Czy to nie wszystko jedno, jak się pani nazywa? - zapytała. - Grunt, że odpowiada pani Williamowi i jego egalitarystycznej naturze.

Świadoma swojej skromnej sukni panna Penny cofnęła rękę. Wymuskana piękność zachowywała się wstrząsająco nieuprzejmie, ale nie było powodu, żeby zniżyć się do równie niekulturalnego zachowania.

- Czy pani również jest znajomą majora Callawaya? - zapytała dla podtrzymania rozmowy. - Zapewne tak, skoro pani tutaj przyszła.

- Znam Williama od zawsze. - Kobieta roześmiała się z wyższością i skinęła ręką. - Daję pani przyzwolenie na zajęcie miejsca.

Bethany wolała się nie zastanawiać, co łączy Williama z tą koszmarną osobą.

- Ależ nie potrzebuję pani przyzwolenia, żeby usiąść.

- Wręcz przeciwnie. - Dama pogłaskała palcami frędzle szala. - Ponieważ jestem markizą Sperry, a pani jest... nikim. Proszę siadać, bo rozboli mnie szyja od zadzierania głowy, Może znajdzie pani jakieś krzesło w tej okropnej norze.

Panna Penny odwróciła się w poszukiwaniu krzesła. Nie miała wyboru, musiała zachowywać się uprzejmie. Markiza była żeńskim odpowiednikiem wyniosłych i pewnych siebie lordów, którzy odwiedzali Penny House i byli pewni, że świat stanowi ich własność. Bethany zdjęła z krzesła stertę oprawionych w skórę książek i usiadła.

- Jakież to ważne sprawy sprowadzają panią do Williama? - zainteresowała się markiza. - A może przyszła pani dla czystej przyjemności?

- Jestem tutaj na zaproszenie pana majora, jaśnie pani, Mam pewne informacje, których oczekuje.

Dama nagle usiadła, a jej oczy rozbliły.

- Proszę powiedzieć, co to za informacje, a ja przekażę je majorowi.

Bethany z trudem zachowywała spokój.

- Dziękuję, jaśnie pani, ale wolę osobiście porozmawiać z panem majorem.

Lady Sperry przekrzywiła głowę, a kamienie kolczyka otarły się o jej szyję.

- William może wrócić dopiero za kilka godzin - zauważyła tonem osoby, która zwykle stawia na swoim. - Zamierza pani na niego czekać?

- Jeżeli nie spotkam się z nim dzisiaj, on sam przyjdzie do mnie jutro, jaśnie pani.

- Nie cierpię, kiedy ktoś trzyma coś przede mną w tajemnicy. - Markiza wydeła usta jak rozkapryszone dziecko. - William z pewnością powiedział pani, że najlepszym sposobem na dręczenie mnie jest ukrywanie czegoś przede mną?

Dziewczyna pokręciła głową przecząco. Rzecz jasna, Callaway nie mówił jej nic podobnego. Dotąd nie wiedziała nawet o istnieniu tej damy.

Lady Sperry westchnęła niecierpliwie.

- Może pani sobie udawać, ile chce, bezczelna dziewczyno, ale ja i tak znam prawdę. Idę o zakład, że William przysłał panią tutaj, żeby mnie pani prześladowała.

- Wcale nie, jaśnie pani - zaprzeczyła panna Penny. - Nie powiedział o pani ani jednego złego słowa.

Markiza z wściekłością okręciła jeden z loków wokół palca.

- A gdybym zdradziła pani powód mojej wizyty? Czy wówczas wyjawiałaby mi pani swoją tajemnicę?

Bethany nie miała ochoty kupczyć informacjami.

- Przykro mi, jaśnie pani, ale wołałabym...

- Nic by pani nie wołała, rozumie pani?! - krzyknęła kobieta. - Przyszłam do Williama, żeby zaprosić go na wielkie przyjęcie, które może... i powinno zostać wydane na jego cześć. O ile się zgodzi.

Panna Penny znowu pokręciła głowę. Nie chciała wysłuchiwać zwierzeń lady Sperry, a poza tym nie wyobrażała sobie majora Callawaya na wielkim przyjęciu organizowanym

przez tę antypatyczną osobę.

Wymuskana dama w jednej chwili dostrzegła niepewność na jej twarzy.

- Wcale nie zna pani Williama, prawda? Gdyby go pani знаła, nie odnosiłaby się do mnie w taki sposób - stwierdziła stanowczo.

Dziewczyna uniosła brodę, usiłując zignorować jej wątpliwości.

- Mam własne zdanie na temat majora Callaway, które opieram na znajomości z nim.

- Ach tak, znajomości... - wyszczała kobieta sarkastycznie.

- W cokolwiek bawi się z panią William, jest to tylko gra. Może sobie udawać, że jest najświętszym ze świętych, ale prawda wygląda inaczej. Ale ja dobrze go znam. Wiem wszystko o jego przeszłości i nie wątpię, że to, co pani opowiedział, to jedno wielkie oszustwo.

- Do widzenia, jaśnie pani. - Bethany usłyszała znacznie więcej, niż było trzeba. - Nie mogę dłużej czekać na pana majora.

Lady Sperry zmrużyła zimne oczy.

- Nigdzie pani nie pójdzie, bo nie wyraziłam na to zgody

- warknęła. - Poza tym dopiero zaczęłyśmy rozmowę o moim kochanym Williamie.

- Jaśnie pani zaczęła mówić - odparła panna Penny. - Ale ja skończyłam słuchać.

Żegnam.

Wyszła z uniesioną głową. Nie sądziła, że zatrzaśnięcie drzwi przed nosem markizy sprawi jej taką przyjemność.

Nawet nie podejrzewała, na jak wielkie niebezpieczeństwo się naraziła.

Zmęczony i przygnębiony William powoli wszedł po schodkach prowadzących do drzwi wejściowych domu przy Bowden Court i zapukał.

- Ach, wrócił pan major. - Na progu stanęła pani Ketch.

- Dama czeka w mieszkaniu pana majora.

- Dama? - zdumiał się i natychmiast wyobraził sobie Bethany. - Jak brzmi jej nazwisko?

Gospodyni wzruszyła ramionami, jakby nie miała ochoty zaprzętać sobie głowy takimi drobiazgami.

- Podobno jest siostrą pana majora.

- Moja siostra tu przyszła? - Jak to możliwe, że nie zauważył jej powozu na ulicy? -
Wielkie nieba.

- Była jeszcze jedna, ale poszła - dodała starsza pani.

- Jeszcze jedna dama? - Wyprostował się z nadzieją.

- Miedziane włosy, przyjechała wynajętą dwukółką. Podobno nie mogła czekać.

Z pewnością chodziło o Bethany. William domyślił się, że przyjechała z ważnymi informacjami. Momentalnie zapomniał o znużeniu i odwrócił się na pięcie, gotów natychmiast jechać do Penny House.

- Zaraz, zaraz, a co z tą drugą na piętrze? - powstrzymała go kobieta. - Tą niby siostrą pana majora? Ona nie może tkwić w moim domu.

Callaway westchnął.

- Ma pani słuszość. Pani Ketch, z obiecuję pani, to naprawdę jest moja siostra.

Kobieta wymamrotała pod nosem coś, z czego jasno wynikało, że nie wierzy w jego zapewnienia, i zamknęła drzwi.

Spojrzał na nią ciężkim wzrokiem i ruszył na górę.

Do Portii.

Przekręcił klucz w zamku najciszej, jak potrafił, i w nagrodę zobaczył, że jego siostra klęczy przed szafą i grzebie w najniższej szufladzie.

- Natrafiłaś już na jakieś tajemnice wagi państwowej? - spytał od progu. - A może znalazłaś mapy z planami francuskiej inwazji? Albo skrzynię rosyjskiego złota?

- Nie bądź okrutny, Williamie. - Lady Sperry wsunęła szufladę i popatrzyła na niego bez cienia zakłopotania czy wstydu.

- Czekałam na ciebie bez końca, nic dziwnego, że się znudziłam. Musiałam znaleźć sobie jakieś zajęcie.

- I znalazłaś je w mojej szufladzie. - Nie siadał, zdecydowany wyjść jak najszybciej.

- Czego chcesz, Portio? Chyba nie przyszłaś po to, żeby przeprowadzić inwentaryzację mojej bielizny?

Wstała niezgrabnie.

- Rzeczywiście, jestem tu w zupełnie innej sprawie. Przyniosłam ci zaproszenie od

ojca.

- Zabierz je zatem z powrotem. Nie powtórzyłaś mu, że nie jestem zainteresowany udziałem w realizacji jego nikczemnych zamiarów?

Portia poprawiła szal na ramionach.

- Ojciec nie przyjmuje do wiadomości moich wyjaśnień. Pragnie wysłuchać cię osobiście.

- Osobiście mogę mu tylko powiedzieć, że życzę mu jak najgorzej i nie wrócę do jego domu za żadne skarby. Przekaż mu to.

Skrzywiła się z niesmakiem.

- Ojciec nie będzie zachwycony.

- I dobrze. Ja też nie jestem.

- To nie wszystko, Williamie, choć obiecałam, że ci o tym nie wspomnę. -

Westchnęła dramatycznie. - Ojciec dowiedział się, że dzisiejszego ranka otruto jeszcze jednego weterana i kazał mi sprawdzić, czy nie chodzi o ciebie.

- Chyba nie masz mnie za idiotę? - warknął. - Człowiek, który dzisiaj umarł, był biedny jak mysz kościelna, ale przynajmniej miał rodzinę, która szczerze rozpacza po jego stracie. W naszej wesołej gromadce byłoby to nie do pomyślenia.

- Ojciec jest gotów pogodzić się z tobą - zauważyła bez przekonania. - Niepotrzebnie komplikujesz sytuację.

- Nasz ojciec jest jak najdalszy od pogodzenia się ze mną. Potrzebuje człowieka, w którego żyłach płynie jego krew, bo chciałby przehandlować go z ogromnym zyskiem.

- Jego zdaniem ta dziewczyna Dalambertów jest całkiem ładniutka - upierała się markiza. - Większość dżentelmenów byłaby zachwycona urodziwą i bogatą żoną, w dodatku posłuszną jak grzeczne dziecko.

- Nie należę do większości dżentelmenów i robi mi się niedobrze na myśl o żonie, która nie jest ani trochę mądrzejsza od posłusznego dziecka. - Demonstracyjnie chwycił siostrę za łokieć i skierował do drzwi. - Idź już sobie, Portio, mam inne spotkanie.

- Czyżby z tą źle wychowaną panną Penny? - zasugerowała i stanęła nieruchomo. - Wojna odcisnęła na tobie piętno, Williamie, ale nie sądziłam, że tak nisko upadniesz. Umawiasz się z pospolitą dziewczuchą! Nawet nie podejrzewasz, jak nieuprzejmie mnie

potraktowała.

- Do diaska, co jej naopowiadałaś? - zirytował się. - Jakich kłamstw musiała od ciebie wysłuchać?

Oczy lady Sperry pojaśniały, a William ponieważ zorientował się, że niepotrzebnie wyłożył karty na stół.

- Nie skłamałam ani razu, braciszku. Okazało się jednak, że twoja znajoma wie zaskakująco mało o twojej przeszłości, a zwłaszcza o armii jej poprzedniczek.

- Czy dlatego wyszła? - spytał wstrząśnięty. Zanim wstąpił do wojska, rzeczywiście zachowywał się skandalicznie: uczestniczył w całonocnych pijatykach z aktorkami i ladacznicami. Wstydział się tego i nie chciał, żeby siostra opowiadała Bethany o jego wyczynach.

- Zatem ona coś dla ciebie znaczy... - drażniła się z nim markiza. - Jakże pospolity stał się twój gust.

- Mów natychmiast - rozkazał. - Co, u licha, powiedziałaś panie Penny?

- Nic szczególnego. - Nieznacznie wzruszyła ramionami. - Wyszła, zanim zdążyłam wyjawic jej najgorsze.

- Dobrze i to - mruknął, nie do końca przekonany o prawdopodobności lady Sperry. Dama westchnęła.

- Ogromnie jej się spieszyło do... miejsca, w którym mieszka. Nie zdążyłam nawet wyjaśnić, że jestem twoją siostrą!

- Dlaczego jej tego nie powiedziałaś? - spytał ostro.

Nie miał wątpliwości. Portia celowo wprowadziła Bethany w błąd, udając jego metresę. To pokretne, paskudne kłamstwo było dla niej typowe, a w dodatku wiarygodne, bo nie byli zbyt podobni do siebie.

- Pora na ciebie - warknął. Chwyił ją za rękę i odprowadził do drzwi.

- Och, Williamie, przestań! To boli!

- Nie bądź śmieszna - wycedził i wyprowadził ją za próg.

- Znam cię od urodzenia i twoje dramatyczne popisy nie robią na mnie najmniejszego wrażenia.

Popatrzyła mu w twarz i zrobiła błagalną minę.

- Ale co mam powiedzieć ojcu?
- Powiedz mu, żeby poszedł do diabła - oznajmił z goryczą.
- A ty, Portio, możesz mu służyć za przewodniczkę.
- Letty, idź na górę. - Bethany usiadła przy dębowym stole nad filiżanką herbaty i otwartą książką kucharską. - Sama dopilnuję wygaszenia ognia.

Kucharka pokręciła głową.

- Czy na pewno, proszę pani? Dochodzi czwarta nad ranem, a o szóstej idzie pani na targowisko. Nawet pani musi czasem sypiać.

Dziewczyna uśmiechnęła się z wdzięcznością. Rzeczywiście, padała z nóg, a w dodatku pękała jej głowa, jednak tego dnia wydarzyło się tak wiele, że nie zdołałyby zasnąć.

- Już prawie skończyłam, Letty. - Zerknęła na listę zakupów. - Muszę tylko przygotować jadłospis na jutro, a potem pójdę odpocząć.

- Nawet ci okropni strażnicy już śpią, proszę pani. Będzie pani sama. To niebezpieczne. - Kucharka cmoknęła z dezaprobatą. - Panna Penny przyjdzie po panią do kuchni, na pewno.

- Moja siostra zapewne smacznie sobie śpi i nie ma pojęcia, czy jestem w łóżku, czy nie. - Bethany często zazdrościła Amarii umiejętności zasypiania natychmiast po przyłożeniu głowy do poduszki. - Na pewno nie zauważy, że spędzę tutaj Jeszcze kilka minut.

- Za to wszyscy zauważą, kiedy jutro fiknie pani głową do kotła. Lepiej się przespać.

- Na pewno nie fiknę. Obiecuję, że zaraz pójdę spać. Dobranoc.

- Dobranoc, proszę pani. - Letty szybko dygnęła i powolnym krokiem weszła po schodach.

Bethany spojrzała na książkę kucharską. Zwykle chętnie obmyślała menu na następny dzień, lecz tym razem nie potrafiła się skoncentrować na pracy. Przed oczami cały czas miała obraz ponętnej lady Sperry, kusząco rozłożonej na łóżku Williama. Zmagiała się z zazdrością i rozczarowaniem. Choć powtarzała sobie, że major Callaway nie składał jej żadnych obietnic i do niczego się nie zobowiązywał, to jednak wciąż myślała o jego pocałunku i roziskrzonym wzroku. Dręczyła się myślą, że przegrała bitwę już przy

pierwszej potyczce.

Zadumana, z początku nie usłyszała cichego stukania w szybę. Uporczywy dźwięk w końcu dotarł do jej świadomości i wtedy z niepokojem podniosła wzrok.

Za drzwiami stał William.

Panna Penny zasłoniła usta dłonią, przekonana że wybujała wyobraźnia płata jej figła. Zamrugła oczami, lecz on nie zniknął. Na dodatek zorientował się, że go dostrzegła, więc przyjaźnie pomachał jej ręką.

Więc jednak przyszedł! Momentalnie zapomniała o rozterkach. Przygładziła włosy, poklepała się po policzkach i pobiegła, żeby go wpuścić.

- Jesteś - powiedziała, gdy stanął przed nią, i natychmiast zrobiło się jej głupio.

- Nie śpisz - powiedział równie niemądrze. Wszedł szybko, zaczekał, aż dziewczyna zamknie drzwi i uważnie rozejrzał się po kuchni. Upewnił się, że są sami, pomyślała. - Nie mogłem się doczekać, kiedy ci przekłęci strażnicy wreszcie sobie pójdą.

- Mam nadzieję, że nie czekałeś zbyt długo. - Z lekkim zakłopotaniem stanęła przy stole i położyła dłonie na oparciu krzesła. William zachowywał się tak, jakby nic się nie stało.

- Czy dowiedziałeś się czegoś w przytułku?

- Niestety, kuchnia była tam zamknięta na cztery spusty, łącznie z okiennicami, i nie zauważyłem żywej duszy. Rozmawiałem jednak z pewną gadatliwą staruszką, uwielbiając plotkować, która znała imię oraz adres wdowy po weteranie.

Ciężko usiadł na krześle przy końcu stołu, a Bethany machinalnie postawiła przed nim filiżankę i naląła mu herbaty z imbryka.

- Poszedłeś ją odwiedzić? - spytała cicho. Ze smutkiem pokiwał głową.

- To właściwie jeszcze dziewczyna, trudno o niej myśleć jak o wdowie. Po śmierci męża kompletnie się załamała, ledwie zajmuje się małym dzieckiem i nie ma grosza przy duszy. Rzecz jasna, pomogłem jej najlepiej, jak potrafiłem.

Machinalnie położyła mu dłoń na rękę.

- Jestem pewna, że odpowiednio się nią zająłeś i niewątpliwie była ci wdzięczna.

- Na razie jest zbyt roztrzęsiona, żeby zauważać, co się wokół niej dzieje. Ale najgorsze jest to, że wcale nie musiałyby cierpieć.

- Żadna młoda żona nie potrafiłaby przewidzieć tak rychłej śmierci męża.

- Nie o to chodzi, Bethany. - Callawayowi załamywał się głos. - Ktoś upatrzył sobie George'a Smitha i bezlitośnie go otrul, nie robiąc krzywdy nikomu z jego otoczenia.

Morderca popełnił tylko jeden błąd: wybrał niewłaściwego George'a Smitha, żołnierza z innego pułku. Wszyscy otruci weterani byli niewinni, lecz ten - w dwójnasób.

- Och, Williamie, tak strasznie mi przykro. - Ze współczuciem zacisnęła palce na jego ręce.

- Mnie również. - Westchnął ciężko. - Powiedz mi, Bethany, czy nadal mi ufasz?

Pokiwała głową, choć w głębi duszy nadal czuła niepokój wywołany obecnością Portii w jego mieszkaniu.

- Cieszę się, że nie tracisz zaufania do mnie. Martwię się, bo ani trochę nie przybliżyłem się do odkrycia tożsamości mordercy. Ani odrobinę...

Przysunęła się do niego z krzesłem i wsunęła mu palce w dłoń.

- Może nie jest tak źle. Pan Fewler pilnujący bezpieczeństwa Penny House podobno słyszał, że zdaniem śledczych odpowiedzialnymi za morderstwa są Francuzi. Podobno w ten sposób wróg chce osłabić ducha w narodzie.

- Jak, u licha, możesz powierzać swoje bezpieczeństwo człowiekowi, który wierzy w takie dyrdymałki? - spytał William z obrzydzeniem.

- Nie ja go zatrudniłam i wcale nie powiedziałam, że mu wierzę - pospieszyła z zapewnieniem. - To robota pana Pratta i mojej siostry...

- Posłuchaj zatem uważnie. - Mężczyzna postukał palcem w blat stołu. - Francuzi nie muszą osłabiać naszego ducha tutaj, na miejscu, bo świetnie im to wychodzi na froncie. Poza tym mordowanie ubogich nie jest w ich stylu. Przecież mówimy o kraju, w którym ścięto głowy króla i królowej!

- Och! - westchnęła Bethany potulnie. - Rzeczywiście, masz rację...

- Pewnie, że mam. Nawet gdyby Francuzi postanowili przeprowadzić tak niedorzeczną akcję, nie kłopotaliby się zabijaniem weteranów z tej samej jednostki. Wytruliby cały przytułek, a dla pewności jeszcze rzucili granat na zatłoczone podwórze.

- Granat?

- Małą bombę, która wybucha z opóźnieniem - wyjaśnił. - Rzuca się ją ręcznie, żeby

zabić wszystkich w pobliżu i zniszczyć, co się da.

Panna Penny nie miała ochoty wyobrazić sobie skutków wybuchu granatu.

- Skoro nie Francuzi, to kto stoi za morderstwami?

- Tego nie wiem. - Odetchnął głęboko i zwiesił głowę, a ciemne włosy opadły mu na czoło. - Nie mam pojęcia. Ktoś

sporządził listę ludzi, których chce zabić, a teraz systematycznie ich morduje, jednego po drugim. Na pewno nie zna ich osobiście, bo wówczas zorientowałby się, że napotkał niewłaściwego George'a Smitha.

- Ale dlaczego winisz siebie?

- Ponieważ tylko ja mam jakiś związek z nimi wszystkimi. - Odsunął filiżankę. - Nie potrafię przewidzieć, kto będzie następną ofiarą, ale gdy dochodzi do morderstwa, moje podejrzenia znajdują potwierdzenie. Chodzi o mnie. O mnie.

- Przecież w pułku służy mnóstwo żołnierzy. Rzeczywiście, byłeś ich dowódcą, ale dlaczego uważasz, że to twoja wina?

- Nie chcę o tym rozmawiać - oznajmił nieoczekiwanie, jakby chciał ostrzec Bethany przed zadawaniem mu dalszych pytań.

O czym myślał? Co wiedział? Dlaczego tak się zachowywał? Czy prześladowały go upiorne wspomnienia tragicznych zdarzeń z czasów wojny? Pragnęła zasypać go pytaniami, ale wiedziała, że niekiedy najlepiej jest zachować milczenie.

- Dobrze - zgodziła się spokojnie. - Może jeszcze herbaty?

Podniósł na nią zboląły wzrok.

- Lady Sperry. Czego ci naopowiadała?

- Markiza? - Dziewczyna momentalnie cofnęła rękę. - Mówiła o wielu rzeczach, ale o niczym istotnym.

- Dała ci do zrozumienia, że jest moją metresa, prawda? Panna Penny poczerwieniała.

- Powtarzam: mówiła dużo rzeczy, które można rozmaicie rozumieć.

- Bethany, ona nie jest moją kochanką, nigdy nie była i nie będzie - zapewnił ją William. - To moja rodzona siostra.

- Ta dama jest twoją siostrą? - zapytała z niedowierzaniem,

czując, jakby z jej serca spadł wielki i ciężki kamień. - Wybacz, ale nie wiem, jak to możliwe... skoro nie dostrzegłam między wami żadnego podobieństwa, ani fizycznego, ani psychicznego. Nigdy bym nie pomyślała, że jesteście spokrewnieni, i to tak blisko.

- Dziękuję. - Tym razem on wziął ją za rękę. - Nawet nie podejrzewasz, jak wielką przyjemność mi sprawiłaś tym komplementem. Nie znasz mojej rodziny i wierz mi, nie masz czego żałować. Siostra znajduje przyjemność w zabawie moim kosztem.

- Ale przecież powiedziała, że jest markizą, markizą Sperry!

- W tym wypadku nie kłamała. Trudno w to uwierzyć, ale Portia skutecznie wykorzystwała urodę i spryt, żeby dobrze wyjść za mąż. Nawet bardzo dobrze. Co jeszcze od niej usłyszałaś?

- Nic szczególnego. - Bethany nie potrafiła oswoić się ze świadomością, że William jest szwagrem markiza. Rzecz jasna, było to możliwe. Zaciągnął się do wojska, żeby poprawić swój los, a jego siostra mogła zrobić dobry użytek z ładnej twarzy i zainteresować sobą bogatego arystokratę. Dotąd jednak nie spotkała się z podobnym wypadkiem. - Powiedziała, że wcale cię nie znam. Zasugerowała, że niegdyś wiodłeś swawolne życie i byłeś rozwiązłym bywalcem nocnych klubów.

- Wszystko to prawda, niestety - westchnął ze smutkiem. - Akurat tego nie wymyśliła. Byłem bardzo młody, bardzo głupi i łatwo dawałem się wciągać w złe towarzystwo.

- Teraz jesteś zupełnie inny - odrzekła i pomyślała, że lady Sperry i w tym wypadku miała rację: Bethany rzeczywiście wcale go nie znała.

- To fakt - przyznał. - Zmieniłem się, i to dawno temu. Nie potrafiłbym powrócić do dawnego stylu życia, nawet gdybym chciał.

- Właśnie to powiedziałam twojej siostrze. W rozmowie z nią podkreśliłam, że nie ma znaczenia, co mi powie, bo i tak będę cię oceniała, biorąc pod uwagę tylko własny sąd. Nie interesują mnie plotki i półprawdy.

- Nieczęsto ludzie obdarzają mnie takim zaufaniem jak ty - wyszeptał chrapliwie i popatrzył na jej kształtne usta. - Dobrze wiem, jak koszmarne wiodłem życie. Portia nie musi mi przypominać grzechów, pamiętam o nich doskonale. Nie rozumiem tylko, co ty we mnie widzisz.

- Powiedziała ci, że dla mnie ważne jest to, jaki jesteś w moich oczach, Williamie. Nie interesują mnie podszepty twojej siostry ani cudze opinie.

- Zatem oceniaj mnie dalej. - Objął jej głowę dłońmi i przyciągnął. - Oceń mnie za to, jaki teraz jestem.

Zamknęła oczy, gdy ją pocałował. Rozkosz, którą poczuła, szybko minęła, gdy Bethany usłyszała znajome skrzypnięcie schodów. Momentalnie uniosła powieki i oderwała usta od jego warg.

- Musisz iść - wyszeptała. - Wybacz, ale to pierwsza z pomocy kuchennych idzie napalić w piecach. Nie może cię tu zobaczyć.

W jednej chwili zerwał się na równe nogi, chwycił kapelusz i wsunął krzesło pod stół.

- Idę, ale wrócę do ciebie - wychrypiał. - Niedługo się zobaczymy.

Pochylił się i ponownie ją pocałował, szybko i delikatnie. W następnej chwili znikł, jakby nigdy go nie było, a ona szybko wsunęła filiżankę i spodek do wiadra z wodą, żeby zaspana pomoc kuchenna nie domyśliła się prawdy.

Macallister skrzywił się na widok bransolety z pereł leżącej na jego biurku. Nie mógł uwierzyć, że Bethany zwróciła mu upominek. W załączonym liście przeczytał, że panna Penny żałuje, ale nie może przyjmować żadnych osobistych prezentów od członków klubu.

- Członków klubu, psiamać! - zaklął.

Nie był przecież pierwszym lepszym członkiem klubu, prawda? Miał wyjątkowo szlachetne intencje. Bethany Penny powinna być mu wdzięczna, że w ogóle zwrócił na nią uwagę, zważywszy na to, kim była i czym się zajmowała. Wystarczyło spojrzeć na jej siostrę. Wszyscy w Londynie mówili o jej ślubie, a przecież nie znalazła sobie dobrego męża, tylko jakiegoś tajemniczego śniadego osobnika, żywcem przeniesionego z plantacji trzciny cukrowej gdzieś w Indiach. Przecież porucznik John Macallister, wierny poddany króla, służący ojczyźnie z honorem i odwagą, był nieporównanie atrakcyjniejszą partią!

Cóż, pieniądze na biedotę przyjęła bez zmrużenia powiek. Może w ten sposób powinien próbować wkraść się w jej łaski. Tak, najlepiej będzie wspierać działalność charytatywną Penny House i zrezygnować z wysyłania drogiej biżuterii. Kiedy pieniądze opuszczały jego portfel, było mu wszystko jedno, co się z nimi potem dzieje. Mógł

wspierać dokarmianie śmierdzących obdartusów, o ile dzięki temu Bethany miała go przychylniej traktować.

Im bardziej stanowczo odrzucała jego awanse, z tym większą determinacją zamierzał podbić jej serce. Nie cierpiał, kiedy ktoś mu czegoś odmawiał, a dzięki pieniądzom ojca miał prawie wszystko. Upatrzył sobie tę kobietę i postanowił ją zdobyć, w taki czy inny sposób.

Wziął do ręki odesłaną bransoletkę, gdy na progu pokoju stanął lokaj z listem na srebrnej tacy. Macallister od razu poznał charakterystyczny chropowaty papier.

Rozerwał kopertę, nim służący zdążył zamknąć za sobą drzwi. Z mocno bijącym sercem podszedł do okna, żeby lepiej widzieć znajome pociągnięcia piórem. Tym razem otrzymał dwie kartki papieru, z których każda dotyczyła innej sprawy i została napisana w innym czasie. Na żadnej nie widniało ani nazwisko nadawcy, ani adresata. Porucznik wyraźnie sobie tego zażyczył. W sprawach tak delikatnych należało zachować daleko idące środki ostrożności.

Pierwszy list donosił o kolejnym sukcesie. Zgodnie z ustaleniami następna osoba z listy została usunięta. Nie wystąpiły żadne trudności, nie popełniono błędów. Śledczy byli w kropce, nie znali przyczyn morderstwa, nikogo nie podejrzewali. John Macallister zarechotał z satysfakcją. Szczególnie spodobał mu się fragment listu, w którym autor opisywał, jak w przebraniu, udając zatroskanego obywatela, wypytywał strażników o szczegóły zbrodni.

Och, paradne. Z uśmiechem sięgnął po drugą kartkę, lecz jego rozbawienie wkrótce minęło.

Szanowny Panie!

Oдноśnie do drugiej sprawy, spieszę poinformować, że pańska informacja jest zgodna z prawdą. Callaway żyje. Co prawda odniósł nader poważne rany i teraz jest ledwie karykaturą siebie sprzed lat, lecz przeżył atak. Nie wiadomo tylko, gdzie mieszka, albowiem nie utrzymuje już kontaktu z rodziną i przyjaciółmi, dla których praktycznie umarł. Uważa się powszechnie, że przebywa w prywatnym szpitalu albo zamkniętym zakładzie gdzieś na północy lub na kontynencie.

Do pana należy decyzja, czy należy go dopisać do listy. Sługa unizony poleca się na przyszłość.

X

Macallister raz jeszcze przeczytał oba listy, drżącymi rękami wrzucił je do kominka i na wszelki wypadek poruszył popiół pogrzebaczem, żeby zatrzeć wszelkie ślady. Potem nalał sobie duży kieliszek brandy.

Psiakrew! William Callaway przeżył. Lord, arystokrata, wysoki rangą oficer, wielokrotnie odznaczony. Kogoś takiego nie dałoby się usunąć bez rozgłosu, jak byle łązęgę.

Major Callaway wiedział, co się zdarzyło, i był wiarygodny.

Psiakrew!

Rozdział dziesiąty

Bethany uśmiechnęła się do drobnego chłopca, który zerkał na nią spod szopy czarnych włosów. Już wcześniej widywała go w kolejce po posiłek i wiedziała, że ludzie wołają na niego Twig.

- Weź jeszcze jabłko, Twig - zachęciła go, nalewając mu na talerz chochlę gęstej zupy. - Dzisiaj są szczególnie smaczne.

- Dziękuję, psze pani. - Skinął głową, ale nie ruszył się w kierunku kosza z owocami. - To bardzo miło z pani strony.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się, choć nie rozumiała, dlaczego chłopiec nadal przed nią stoi i przestępuje z nogi na nogę. Nie chciała go popędzać, jednak ludzie w kolejce zaczęli się niecierpliwić. - Czy mogę jeszcze coś dla ciebie zrobić?

Znowu skinął głową, ostrożnie postawił miskę na ziemi, między stopami, i wepchnął dłoń do kieszeni podartej kurtki. Potem rozejrzał się na boki i dał Bethany znać, żeby się pochyliła. Gdy przysunęła się do niego, dyskretnie wepchnął jej w rękę złożoną kartkę papieru.

- To od szanownego pana, panno Penny - wyszeptał. - Tego wysokiego, co kuleje.

Powiedział, że nikt nie może widzieć ani wiedzieć.

- Dopilnuję, by tak się stało - odszepnęła i wsunęła list do kieszeni fartucha.

Wysoki mężczyzna, który kuleje - z pewnością chodziło o Callawaya. Momentalnie się rozpogodziła. Wiedziała, że William się odezwie, gdyż jej to obiecał, ale ostatnie dwa dni bez wieści od niego były dla niej wyjątkowo trudne.

Wyciągnęła rękę i zmierzwiła włosy Twigowi.

- Przyjdź jutro, to chętnie cię przystrzygę. Przecież mało co widzisz spod tej strzechy.

- Wcale nie musi pani tego robić, panno Penny. - Chłopiec na wszelki wypadek odsunął się poza zasięg jej rąk i wyimaginowanych nożyczek.

Bethany roześmiała się.

- Jak sobie życzysz, Twig. Pamiętaj o jabłku. Najlepiej weź dwa, dla przyjaciela albo dla siebie na później.

Odwróciła się do następnej osoby w kolejce, ale nie mogła skupić uwagi na pracy. Myślała wyłącznie o kartce papieru, która zdawała się palić jej skórę niczym rozżarzony węgiel. Kiedy wreszcie ostatni ubogi odszedł z pełną miską, a w kotle pokazało się dno, szybko weszła do domu. Zamierzała zaszyć się w spiżarni albo w piwniczce z winami, żeby przeczytać list na osobności.

- Za pozwoleniem, panno Penny - odezwał się strażnik i zagroził jej drogę. - Chodzi o chłopaka na podwórzu... Co on pani powiedział?

- To nie pańska sprawa - warknęła ze złością. Nie cierpiała, kiedy ktoś patrzył jej na rękę. Twig mądrze postąpił, zachowując daleko idącą ostrożność. - Rozmawiał ze mną na tematy osobiste.

Mężczyzna skinął głową, ale nie odsunął się ani o milimetr. Bethany doskonale zdawała sobie sprawę, że służba, nie przerywając pracy, obserwuje ją z uwagą i czeka na reakcję. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś tak otwarcie rzucił pannie Penny wyzwanie w jej własnej kuchni.

- Pan Fewler powiedział, żeby informować go o wszystkim, co się wydaje dziwne - zauważył strażnik. - Ten łobuziak zachowywał się podejrzanie.

- Może pan mówić swojemu przełożonemu, co się panu żywnie spodoba - zgodziła

się ciepło. - Chłopiec jest naszym stałym gościem i nie dostrzegam w jego zachowaniu nic niegodziwego ani podejrzanego. Mogę za niego poręczyć, jeżeli pan Fewler sobie tego zażyczy.

- Dziękuję pani - zgodził się tamten bez przekonania. - Zamierzam jednak donieść o tym zdarzeniu mojemu dowódcy. Z takimi ulicznikami nigdy nic nie wiadomo. Powiem pani po prawdzie, że takie urwisy to istna zaraza.

Bethany prychnęła niecierpliwie, żeby zademonstrować, co sądzi o kłopotach przysparzanych jej przez chłopaków i strażników, a następnie odeszła bez słowa. Na szczęście jej rozmówca pozostał na posterunku, więc szybko skierowała się do wygodki w rogu podwórza. Przynajmniej tam nie mogli jej nękać żadni strażnicy. Pospiesznie zamknęła drzwi na zasuwkę, wyjęła list od Williama i odczytała słowa skreślone mocnym, zamaszystym pismem.

Spotkajmy się o piątej, na rogu St James's i alejki z tyłu Twojego domu. Niech nikt Cię nie śledzi, ja również zachowam ostrożność. Czekam, tęsknię.

Oddany

bezbrzeżnie

C

Dziewczyna uśmiechnęła się do siebie, rozanielona niczym podlotek. Za dwie godziny czekała ją schadzka. Nie wiedziała, jak jej się uda wymknąć z kuchni w trakcie przygotowań do kolacji, ale nie wątpiła, że coś wymyśli.

Czekał na nią i tęsknił... Czy to nie cudowne?

- Króliczku, źle się czujesz? - spytała Amaria zza drzwi wygodki. - Nie chcę być wścibska, ale w kuchni powiedziano mi, że wypadłaś na dwór, jakby ścigały cię demony. Najbardziej martwiła się Letty.

- Nic mi nie jest - zapewniła Bethany i pospiesznie wsunęła list do kieszeni. Następnie odsunęła zasuwkę i wyszła. - Nie ma się czym przejmować.

Siostra nie wydawała się przekonana.

- Masz niezdrowe rumieńce. - Przyłożyła dłoń do jej czoła.

- Zaczynasz chorować?

Młodsza panna Penny uniosła głowę i ruszyła do kuchennych drzwi. Nie chciała oszukiwać Amarii nawet w tak błahych sprawach.

- Jeżeli jestem rozgrzana, to tylko dlatego, że dużo czasu spędzam przy piecach. Dobrze wiesz, że latem w kuchni robi się nieznośnie gorąco.

- Chyba jednak nie o to chodzi. - Siostra złapała ją za rękę. - Letty wspomniała, że strażnik arogancko wypytywał cię o kogoś z trzódki.

- To prawda, interesował się pewnym chłopcem, sierotą zwanym Twigiem. Chciał powiedzieć mi coś na ucho, aby inni nie słyszeli, a nasz matołkowaty strażnik uznał, że weszłam w posiadanie informacji o spisku na życie Jego Królewskiej Mości.

- Bethany, nigdy nie mów takich rzeczy, nawet w żartach.

- Zatrokana Amaria popatrzyła jej w oczy. - Przykro mi, że obecność pana Fewlera i jego ludzi tak ci ciąży. Uwierz mi, nie mogę się doczekać, kiedy przestaną być potrzebni, ale nie możemy zrezygnować z ich wsparcia. Zwłaszcza teraz, kiedy podejrzenie śledczych padło na Francuzów...

- Śledczy są w błędzie - oświadczyła dziewczyna z przekonaniem i przypomniała sobie argumenty Williama. - Weź pod uwagę fakty. Francuzi mordują członków rodziny królewskiej, a nie ubogich, kalekich weteranów. Poza tym dlaczego mieliby tak precyzyjnie dobierać sobie ofiary? Gdyby postanowili terroryzować Anglików, z pewnością spróbowaliby zabić jak najwięcej ludzi za jednym zamachem, w miejscu publicznym. Na przykład podłożyliby bombę w środku tłumu albo... rzucili granat.

- Granat? - Zaskoczona Amaria zmarszczyła brwi. Bethany ponieważ zorientowała się, że zbyt dosłownie przytoczyła słowa Williama.

- No tak - potwierdziła z udawaną pewnością siebie. - W każdym razie zrobiliby coś zakrojonego na znacznie większą skalę.

- Rozumiem... - powiedziała jej siostra powoli. - Myślałam się, prawda, króliczku? Wybacz... Poza tym chyba narzuciłam ci zbyt dużo obowiązków. Kierujesz kuchnią, nadzorujesz służbę, organizujesz zaopatrzenie, co wieczór przygotowujesz mnóstwo różnorodnych potraw, które zachwycają najbardziej wybredne podniebienia w Londynie...

Do tego dochodzi działalność dobroczynna. Wystarczyłoby zajęć dla trzech osób!

Bethany uśmiechnęła się z dumą.

- Lubię to, co robię, i staram się najlepiej, jak mogę. Przecież ty również masz urwanie głowy z przyjmowaniem gości.

- Wiesz co, chyba obie potrzebujemy krótkich wakacji. Sezon ma się ku końcowi, mogłybyśmy zamknąć klub na dwa tygodnie i wyjechać do Cassii i Richarda, do Greenwood, a może nawet do Bath. Z dala od miasta, strażników i truciciela...

- Nie możemy zamknąć klubu! - zaprotestowała gwałtownie młodsza siostra. - Ludzie o nas zapomną, zaczną bywać w innych lokalach!

- Nie zapominaj, że musieli się postarać, by otrzymać członkostwo naszego klubu. Przede wszystkim zainwestowali w nas pieniądze... Poza tym i tak prawie wszyscy wyjechali z miasta.

- Ale moja trzódka została!

I William, dodała w myślach.

- Letty o nich zadba. - Amaria wyraźnie się rozochociła perspektywą wyjazdu. - Zgódź się, proszę! Niech to będzie dla nas coś wyjątkowego! Nie miałyśmy wakacji od wyjazdu z domu...

- Ale wyjazd z miasta... wydaje się niestosowny... Bethany pragnęła wyznać siostrze prawdziwe powody swojej niechęci do opuszczenia Londynu, ale nie mogła tego uczynić. Nie wolno jej było pokazać Amarii listu od Williama ani podzielić się z nią jego podejrzeniami na temat morderstw. I pod żadnym pozorem nie mogła wyjawić, co czuła, kiedy ją całował i trzymał w ramionach. To nie były wyłącznie jej tajemnice.

- Wiem, że masz dobre intencje - powiedziała. - Niemniej wydaje mi się, że to nie jest odpowiedni moment na wyjazd z Londynu.

Zawiedziona Amaria pogłaskała ją po policzku.

- Rzecz jasna, nie zamierzam zmuszać cię do czegoś, na co nie masz ochoty. Proszę tylko o jedno: zastanów się jeszcze. Dla mnie, lecz przede wszystkim dla siebie.

- Dobrze - zgodziła się Bethany cicho. Przynajmniej tyle mogła uczynić. - Rozważę twoją propozycję, ale nic nie obiecuję.

William powiedział sobie, że nie wróci.

Nie widział powodu, żeby wracać do panny Penny. Jeśli naprawdę zależało mu na niej, powinien trzymać ją z daleka od siebie i swojego poplątanego życia. Co takiego mógłby jej zaoferować? Im więcej stawiał pytań dotyczących morderstw, tym poważniejsze niebezpieczeństwo groziło i jemu, i Bethany. Nie miał prawa wciągać jej w tak groźne sprawy. Prawdziwy, honorowy dżentelmen po prostu wycofałby się, zostawił ją w spokoju, nigdy więcej nie narażając na najgorsze.

Tyle że on nie był już dżentelmenem, a honor stracił dla niego wagę w starciu z codzienną rzeczywistością. Cokolwiek sobie obiecał pod wpływem impulsu, nie miało to teraz znaczenia. Wysłał pospiesznie napisany list i teraz szedł w stronę St James's Square i Penny House.

Pokręcił głową, przeklinając własną słabość. Już dawno temu nauczył się żyć z oddechem śmierci na plecach. Dlaczego teraz ogarnęły go wątpliwości? Wczoraj dopilnował, żeby wdowa Smith wraz z dzieckiem bezpiecznie wyjechała na wieś, po czym udał się do miejskiego prosektorium, by wyrwać zwłoki otrutego weterana z rąk konowalów i rzeźników. Chciał mu urządzić przyzwoity pogrzeb, nic więcej nie mógł już zrobić. Widok, który ujrzał, zmierził go i przeraził. Poczł się tak, jakby ponownie trafił na pole bitwy: dookoła spoczywały zdeformowane trupy z obciętymi włosami na sprzedaż, w kątach walały się sterty amputowanych kończyn. Wyszedł z niczym, przepelniony odrazą. Odwykł od takich widoków i nic nie mógł na to poradzić.

Ostatniej nocy na próżno usiłował zasnąć. Leżał z szeroko otwartymi oczami i przez rozchylone zasłony patrzył, jak gwiazdy świecą nad kominami domów. W końcu wstał, żeby poszukać ukojenia w kieliszku porto. Wypił jeden, potem drugi i trzeci, aż w końcu złocisty trunek osłabił ból w nodze i oszołomił Williama, pozwalając mu pograć się we śnie.

Nawet wówczas nie przestał marzyć o Bethany, miedzianowłosym aniele, który prowadził go przez ponurą rzeczywistość.

Skręcił w boczną alejkę i od razu ją dostrzegł. Właśnie wyszła z kuchni, wilgotne kosmyki włosów wymykały się spod jej prostego białego czepka, a na policzkach miała rumieńce od rozgrzanych pieców.

A może zarumieniła się na jego widok? Nawet nie śmiał o tym marzyć...

- Przyszłaś - powitał ją.

- Oczywiście, że przyszłam. - Zatrzymała się tuż przed nim, nieoczekiwanie onieśmielona. Pospiesznie założyła opadający kosmyk włosów za ucho i podniosła wzrok. - Dowiedziałeś się czegoś nowego?

- Zupełnie niczego - odparł i poczuł się tak, jakby kazał Bethany przyjść pod byle pretekstem, więc dodał szybko: - Przynajmniej od wczoraj.

- Przykro mi. - Przeszła nerwowo z nogi na nogę i obejrzała się za siebie. - Myślałam, że chciałeś się ze mną widzieć ze względu na nowiny.

Poczuł się jak największy głupiec na świecie.

- Pragnąłem spotkać się z tobą. Tylko tyle.

- To całkiem sporo... Miło mi... - Uśmiechnęła się z ulgą i zadowoleniem, a William wstrzymał oddech z wrażenia. - Skąd wiedziałeś, że i ja chciałam cię zobaczyć?

- Nie wiedziałem. - On również się uśmiechnął. - Pomyślałem, że powinnaś trochę odetchnąć od kłopotów, choć na chwilę zapomnieć o przykrościach. Moglibyśmy popływać łodzią po rzece, zaprosiłbym cię na kolację, porozmawialibyśmy...

- Och, Williamie, to przednia myśl! - Uniosła rękę i pogłaskała go dłonią po policzku. Jej palce pachniały delikatnie jabłkami i rozmarynem. Objął ją w tali i przyciągnął. Uśmiechnęła się szerzej. - Z ogromną ochotą. Poza tym naprawdę powinniśmy porozmawiać.

- Zatem w drogę, moja panno - oznajmił i obrócił się z nią, jakby wirowali w tańcu na parkiecie. - Ruszamy!

Roześmiała się, ale na jej twarzy nie dostrzegł radości. Z wdziękiem wysunęła się z jego uścisku.

- Ogromnie bym chciała, Williamie, lecz nie mogę.

- A to czemu, u licha? - Nie próbował maskować rozczarowania. - Powiedziałaś, że masz ochotę.

- Ogromną - potwierdziła. - Teraz jednak mamy najbardziej pracowite godziny w kuchni, przygotowujemy potrawy dla wieczornych gości i muszę...

- Pal licha wieczornych gości - mruknął i wziął ją za rękę. - Tej nocy poradzą sobie bez ciebie.

- Mamy urwanie głowy - zaprotestowała, lecz usłyszał w jej głosie wahanie. -
Odpowiadam za kuchnię klubu, a także za cały jej personel. Mamy mnóstwo pracy.

Wiedział już, że rumieniec na jej policzkach wystąpił na jego widok. Nabral zatem pewności siebie i nie zamierzał ustąpić.

- Bethany, proszę cię - powiedział cicho. - Zgódź się, chodź ze mną.

Odetchnęła głęboko i skinęła głową.

- Niech będzie - zdecydowała. - Wyjątkowo, Williamie. Poczekaj, powiem służbie, że jest zdana na własne siły, i zaraz wracam.

Nie czekała na odpowiedź. Z miejsca popędziła do domu, a odgłos jej kroków odbił się echem od murów w zaułku. Ani przez sekundę nie wątpił, że dziewczyna wróci. Uśmiechnął się szeroko, tym razem bez żadnego wysiłku. Wybrała jego, nie kuchnię, zrezygnowała z obsługiwania tych przeklętych, wysoko urodzonych patałachów.

- Letty zastąpi mnie przy nadzorowaniu kuchni - oświadczyła, gdy po niedługim czasie znów zjawiła się przed nim. Zostawiła w domu fartuch, teraz na ramionach miała cytrynową chustę, a na nadgarstku zawiesiła nieduże zawiniątko w białej serwetce. - Powiedziałam jej, że na jakiś czas wychodzę i upoważniłam ją do podejmowania koniecznych decyzji.

Zaśmiała się perliście, jakby była prostą pomocą kuchenną, której udało się umknąć szefowi kuchni.

- I bardzo dobrze - pochwalił ją i wziął za rękę. Poczul się tak, jakby on również uciekał. - Jaki jest sens bycia królową kuchni, skoro nie możesz sobie pozwolić na odrobinę odpoczynku od codzienności?

- Mówisz jak moja siostra - zauważyła. - Przekonuje mnie, że powinnam sprawić sobie dwutygodniowe wczasy. Chce, byśmy zamknęły klub i wyjechały nad morze albo do Hampshire, w odwiedziny do siostry. Cóż, wielu ludzi na mnie polega, nie mogę tak po prostu odwrócić się do nich plecami dla własnej rozrywki.

Pomyślał o tym, jak Bethany nalewa chochlą zupę, jak interesuje się losem wszystkich podopiecznych. Była pierwszym, być może jedynym gościem w kościele Świętego Andrzeja, po tym jak doszło tam do otrucia. Często ona pierwsza zjawiała się w kuchni i ostatnia z niej wychodziła, w jednakowym stopniu troszczyła się o pomywaczkę i

dostojnego księcia, który żując gęsinę, przegrywał następne sto gwinei w faraona. Nawet Twig wiedział, że panna Penny przedłożyła obowiązek żywienia swojej trzódki nad wesele siostry.

Popatrzył na jej twarz w poszukiwaniu oznak przepracowania.

- Twoja siostra może mieć słuszość - zauważył. - Chyba powinnaś nieco odpocząć.

- Właśnie dlatego jestem tutaj z tobą - odparła bez wahania. - Zbyt poważnie jednak traktuję swoje obowiązki, aby je porzucać dla długotrwałego leniuchowania.

- Wczasy to normalna rzecz - oświadczył. - Nawet żołnierze dostają czasem przepustki i pozwolenie na opuszczenie frontu. Obowiązki bywają obusieczną bronią. Im bardziej się ktoś przejmuje innymi, tym mniej dba o własne dobro.

Zerknęła na niego z ukosa.

- Masz na myśli siebie?

Pokręcił głową. Nie zamierzał mówić o własnej sytuacji.

- Bethany, rozmawiamy o tobie, nie o mnie.

- Moim zdaniem równie dobrze moglibyśmy podyskutować na twój temat - odparła. - Przejrzyj się w lustrze, Williamie. Dawno temu zakończyłeś służbę wojskową, a mimo to nadal ogromnie się przejmujesz losem podkomendnych. Nie potrafisz podarować sobie ani jednej chwili, ani odrobiny czasu.

- Psiakość, Bethany - mruknął i zamyślił się nad jej słowami. Przyszedł do niej z nadzieją na zapomnienie o swoich niepowodzeniach, nie chciał rozpamiętywać tego, czego nie zdołał osiągnąć. - Teraz ty sama mówisz jak twoja siostra. Wolałabyś, żebym marnował czas na układanie idealnego węzła na fularze, zamiast lojalnie służyć tym, którzy zasługują na moje wsparcie?

- Och, daj spokój - westchnęła. - Nie szukam dziury w całym. Naprawdę mnie o to posądzasz?

- Takie odniosłem wrażenie.

- Po prostu mówiłam prawdę. Sama również nie zawsze lubię, kiedy ktoś ocenia moje postępowanie.

- Więc dlaczego tracimy czas na rozmowę o czymś, co nie jest istotne?

- Zmierzam do tego, że być może jesteśmy do siebie bardziej podobni, niż gotowi

bylibyśmy przyznać.

Ostrożnie popatrzył jej w oczy.

- Gdyby to było prawdą, zawiózłbym cię do nadmorskiego domu w Brighton, pozostałbym z tobą przez co najmniej miesiąc i dopilnował, żebyś zapomniała o wszystkich obowiązkach. W ten sposób oboje byśmy sobie pomogli, a wszystko inne przestałoby się liczyć.

- Nigdy nie miałam tego na myśli - zaprotestowała pospiesznie, a jej policzki zabarwiły się na ciemnoróżowo. - Rzecz w tym, że przyświecają nam takie same cele, więc bylibyśmy lepszymi sprzymierzeńcami niż wrogami.

Uśmiechnął się chytrze.

- Sprzymierzeńcy nie mają zwyczaju się całować, Bethany. Zarumieniła się jeszcze bardziej.

- Tym bardziej wrogowie - zauważyła rezolutnie.

- Przyznasz, że jeśli zaczną to robić, ich relacje stają się nieporównanie bardziej interesujące. - Mógłby iść o zakład, że pomyślała o tym samym.

Doszli do nadrzecznego bulwaru i zatrzymali się przy kamiennym murku na nabrzeżu. Bethany spojrzała na Williama i zakołysała tobołkiem na nadgarstku.

- Nie spytałeś, co ci przyniosłam.

- Nie czyniąc tego, pozwalam tobie okazać mi nadmiar zainteresowania - wyjaśnił. - Skoro masz dla mnie podarunek, a ja nie mogę ci się odwzajemnić...

- Niby tak, ale to wcale nie jest podarunek - zaprotestowała i rozsypała serwetkę. - W związku z tym bynajmniej nie okazuję ci nadmiaru zainteresowania. Proszę. Gdy wychodziłam, właśnie się upiekł.

W zawiniątku spoczywał owalny pasztecik, złocistobrązowe ciasto lśniło od jajecznej glazury. William oderwał ćwiartkę smakołyku, uwalniając intensywną woń pary i korzennego mięsa, cebuli i przypraw. Bez wahania wsunął potrawę do ust i zastanowił się, czy Bethany miała pojęcie, jak bardzo zmysłowy i osobisty był ten dar?

- Chyba jeszcze nigdy nie dostąpiłem zaszczytu delektowania się tak pysznym pasztecikiem - wymamrotał z zadowoleniem.

- Dziękuję - odparła, wyraźnie błędząc myślami wokół domu w Brighton. - Ale to nie

był podarunek.

Cokolwiek powiedziała, pasztecik był podarunkiem, lecz mężczyzna za bardzo się skupił na jego wspaniałym smaku i na przyjemności obcowania z panną Penny, żeby się spierać.

- Wobec tego zamierzasz mnie utuczyć.

- Daj spokój - zachnęła się bez przekonania. Bryza znad wody poruszała frędzlami jej żółtej chusty i kołysała miedzianymi kosmykami wokół policzków i na kremowym karku. Nawet nie przeszło jej przez myśl, żeby się złościć, a William znowu pomyślał o domu w Brighton. Włożył do ust następny kawałek pasztecika i oblizwał końce palców.

- Gdzie córka wiejskiego pastora nauczyła się gotować jak nadworny kucharz króla Francji?

Uśmiechnęła się wyraźnie zadowolona.

- Wszystkiemu winien jest ojciec. Zanim się ożenił, towarzyszył synowi miejscowego arystokraty w długiej podróży po kontynencie. Wyrobił sobie wówczas podniebienie prawdziwego znawcy. Jadał potrawy, na które w innych okolicznościach nie mógłby sobie pozwolić, a w dodatku niemożliwe do odtworzenia ani przez moją biedną matkę, ani przez jakąkolwiek gospodynię, na którą było nas stać. Trudno zliczyć, ile przewinęło się ich przez nasz dom, ale wszystkie opuszczały go w pośpiechu i we łzach. Miałam dziesięć lat, gdy zegnaliśmy ostatnią. Wtedy postanowiłam przywrócić spokój w domu i zaczęłam korzystać z francuskich i włoskich ksiązek kucharskich. Radziłam sobie na tyle dobrze, że ojciec skierował mnie na nauki do francuskiego kucharza sir Allena. Tak to się zaczęło.

- Nie chodzi tylko o nauki - oświadczył, delektując się ostatnim kawałkiem pasztecika. - Masz prawdziwy talent. To dar, a w dodatku prawdziwa pasja.

- To nie znaczy, że czasem czegoś nie przypalę. - Zaśmiała się i oparła o mur, zapatrzona na rzeczne łodzie. - Ojciec zwykł powtarzać, że każda z nas jest obdarzona jakimś darem. Wygląda na to, że jestem dobrą kucharką. A ty, Williamie? Czy byłeś małym żołnierzykiem, który ustawiał kolegów w dwuszeregu i organizował bitwy w sadzie?

- Ani trochę. - Spoważniał. Dorastał jako rozpuszczony, samolubny chłopiec, który zawsze pakował się w jakieś tarapaty. Był zbyt bogaty i zbyt przystojny. Gdy ostatecznie

usunięto go ze szkoły, miał na koncie długą listę ciężkich grzechów: uprawiał hazard, pił alkohol, zastraszał słabszych, chadzał do prostytutek, wdawał się w bijatyki, a nawet dopuszczał się drobnych kradzieży dla zabicia nudy. W domu wielebnego pastora Penny nie byłby mile widziany. Najprawdopodobniej w ogóle nie zostałby wpuszczony do środka.

- Nie uwierzę, że byłeś taki zły. - Bethany najwyraźniej wyobraziła sobie, że mieszkał w domu będącym zamożniejszą kopią jej gospodarstwa. - Pewnie łobuzowałeś, ale bez złych intencji. Miałeś psa albo inne ulubione zwierzę? Dobrze sobie radziłeś w sportach? Jaką miałeś rodzinę? Wiesz o mnie bardzo dużo, a ja o tobie prawie nic.

- Nie chciałbym cię rozczarować. - Był zły, gorszy, niż mogła sobie wyobrazić, i nie chciał jej tego mówić. Wolał też zachować dla siebie prawdę o niegodziwej i rozwiązłej rodzinie.

- Nic, co jest związane z tobą, nie mogłoby mnie rozczarować. - Uśmiech Bethany był tak ciepły i życzliwy, że William poczuł się jeszcze mniej godny jej ślepego zaufania.

- Uwierz mi, wolę nie sprawiać ci przykrości - mruknął ostrzej, niż zamierzał.

Z początku nic nie powiedziała, stojąc w milczeniu. Przestraszył się, że ją do siebie zniechęcił. Należałoby mu się to za wszystko, co zrobił.

Wkrótce jednak poczuł na ramieniu delikatny dotyk jej dłoni.

- Jesteś zmęczony, prawda? - spytała łagodnie. - Kazałam ci wędrować, nie zważając na twoją chorą nogę. Czy ból bardzo ci doskwiera?

- Moja noga miewa się całkiem nieźle - odrzekł z westchnieniem. - Poza tym nie wzmocni się, jeżeli nie będę jej zmuszał do wysiłku.

- Wybacz. Powinnam już wracać do Penny House.

- Jeszcze nie - zaprotestował. Nie chciał, żeby odchodziła. Nie mógł teraz zostać sam, nie w tej chwili. Skierował wzrok na wodę, desperacko poszukując pretekstu do przedłużenia ich spotkania. Znalazł go w ostatniej chwili. - Zdarzyło ci się kiedyś pływać po rzece łodzią?

- Masz na myśli jedną z tych małych łódek? - Oparła się o murek, wyraźnie zaciekawiona. - Nie, nigdy.

- Więc teraz będziesz miała okazję. - Chwył ją za rękę i poprowadził wąskimi schodkami na brzeg rzeki. Cumowało tam kilka długich, wąskich łodzi, a przy ich wiosłach

siedzieli jacyś mężczyźni, paląc fajki. Najwyraźniej czekali na klientów. William wskazał dłonią najbliższą z łódek, a wioślarz unieruchomił ją, przytrzymując się pomostu, żeby można było bezpiecznie wejść na pokład.

- Dokąd szanowny pan sobie życzy? - spytał, odpychając łódź od brzegu. - Dokąd to szanowni państwo się wybierają w ten piękny letni wieczór?

- W górę rzeki i z powrotem - zakomenderował Callaway i objął Bethany, gdy usiedli obok siebie na ławeczce. - Moja towarzyszką jeszcze nigdy nie widziała rzeki z bliska.

- Ach, przejażdżka dla przyjemności, tak? - Wioślarz pokazał w uśmiechu garnitur zębów pożółkłych od tytoniu i pochylił się nad wiosłami. - Szanowni państwo raczyli wybrać odpowiednią łódź.

- Będzie pan naszym kapitanem Cookiem - oznajmiła panna Penny, sadowiac się wygodnie u boku Williama. - Oczekuję, że zabierze nas pan na prawdziwą wyprawę.

- A jakże, szanowna pani, wyprawa będzie jak się patrzy.

Przez następną godzinę mężczyzna sumiennie wypełnia swoje obowiązki. Umiejętnie lawirował między wirami, bezpiecznie wpływał pod mosty i omijał większe łodzie, a do tego przez cały czas pogodnie opowiadał o widokach, które roztaczały się przed nimi. Zwolniony z konieczności prowadzenia rozmowy William mógł się delektować bliskością Bethany. Po raz pierwszy od lat, a może nawet pierwszy raz w życiu uświadomił sobie, że jest szczęśliwy.

- Jeszcze raz w górę rzeki? - zapytał wioślarz, gdy dobijali do brzegu przy tych samych schodach, po których schodzili z nabrzeża. - Szanowny pan płaci, szanowny pan decyduje.

- Williamie, powinniśmy już wracać do Penny House - powiedziała z wyraźną niechęcią dziewczyna. - Nie chcę kończyć naszego spotkania, ale naprawdę nadszedł czas powrotu.

- Jesteś pewna? - On również wolałby, aby ten wieczór nie miał końca.

- Nie mam wyboru. - Obróciła się twarzą ku niemu i położyła dłoń na jego piersi. - Co prawda nie dotarliśmy do Brighton, ale i tak nie zapomnę naszej wycieczki.

- W Brighton będzie jeszcze przyjemniej - zapewnił niskim głosem. - Nieporównanie przyjemniej.

Roześmiała się cicho i pocałowała go, zanim zdążył cokolwiek dodać. Łódź uderzyła o pomost, i choć wioślarz dyskretnie patrzył na wodę, William wolał poczekać z gorącym pocałunkiem, aż znajdą się w bardziej odosobnionym miejscu. Pomógł Bethany wyskoczyć na brzeg, zapłacił za kurs i poprowadził ją po słabo oświetlonych schodach na górę.

Na nabrzeżu zachichotała i objęła go w pasie.

- Czuję się tak, jakbyśmy wyruszyli na poszukiwanie tajemniczych przygód - wyznała szeptem. - Jakbyśmy dotarli do Wenecji, opuścili gondolę i szli do naszego *palazzo*...

Jej słowa zagłuszył huk nieoczekiwanej eksplozji, a chmura ognistych gwiazd oślepiła Callaway. Instynktownie wyciągnął ręce ku dziewczynie, żeby osłonić ją własnym ciałem, ale wtedy rozległ się następny wybuch i jeszcze jeden, taki sam jak na pylistej hiszpańskiej drodze. Uświadomił sobie ze zgrozą, że nie może ocalić Bethany, podobnie jak nie udało mu się ocalić towarzyszy broni.

Rozdział jedenasty

- Fajerwerki!

Bethany wstrzymała oddech z zachwytu i zdumienia, zapatrzona w rozmigotane iskry, które przesłoniły niebo niczym nieziemskie kwiaty. Sztuczne ognie wystrzelivano z okazji urodzin księcia Richmond. Dopiero teraz przypomniało się jej, że za dnia słyszała o zbliżającym się pokazie.

- Och, Williamie - westchnęła. - Czy wyobrażasz sobie doskonalsze zwieńczenie dnia?

Odwróciła się, ale w napierającym na most tłumie nie dostrzegła swego towarzysza. Przepychała się między ludźmi, nerwowo rozglądając się wśród nieznanomych twarzy rozświetlanych błyskami eksplozji.

- William! - krzyknęła. Nie mógł tak po prostu jej zostawić, nie teraz, nie po tym, co ich połączyło... - Williamie, tu jestem! Tutaj!

Zeszła z mostu i cofnęła się do schodów na nabrzeżu. Może z jakiegoś powodu postanowił wrócić do wioślarza. Może zapomniał czegoś w łodzi...

Znalazła go, gdy niebo ponownie pojaśniało od eksplozji, na którą publiczność zareagowała okrzykami, wiwatami i piskami.

Siedział skulony na jednym ze stopni, z twarzą ukrytą w dłoniach. Robił, co mógł, żeby odizolować się od świata. Nie widział już fajerwerków, lecz zmagął się z demonami przeszłości.

- Williamie, ukochany - wyszeptała i objęła go czule. - Już dobrze, Williamie. Jestem tutaj z tobą, nic ci nie grozi. Czy mnie słyszysz? Nikt cię tutaj nie skrzywdzi.

Nie odpowiedział, nawet nie drgnął. Bethany zaniepokoiła się nie na żarty. Zaledwie pięć minut temu całowali się na łodzi, a teraz zdawało się, że mężczyzna znikł, oddalił się, zamknął w swoim świecie.

- Posłuchaj mnie - wyszeptała i pochyliła się nad nim. - Zaufaj mi, kochany. Nic ci nie grozi, jesteś bezpieczny. Pozostanę przy tobie, nie opuszczę cię...

Ognie sztuczne wystrzeliły wysoko w niebo, a Callaway nerwowo podniósł głowę i z nieskrywanym przerażeniem wpatrywał się w kaskady iskier. Dziewczyna delikatnie objęła jego twarz, żeby skierował wzrok na nią, nie na fajerwerki.

- Spójrz na mnie, Williamie. To ja, Bethany. Jestem tutaj, przy mnie nikt cię nie skrzywdzi. Spójrz na mnie.

Wzdrygnął się, oddychał coraz szybciej. Sztuczne ognie rozjaśniały niebo raz za razem, a ona zorientowała się, że jej towarzysz usiłuje skupić uwagę na jej twarzy. Obezwładniający strach powoli ustępował.

- No widzisz, kochany. - Uśmiechnęła się krzepiąco. - Mówiłam, że wszystko będzie dobrze, prawda?

Zamiast odwzajemnić uśmiech, Callaway gwałtownie się odsunął i zerwał na równe nogi. Nerwowo przetarł dłońmi twarz, jakby dopiero co obudził się z głębokiego snu, odgarnął włosy z czoła i chwycił walający się po ziemi kapelusz.

- Williamie, jak się czujesz, kochany? - spytała, również wstając.

- Jak cholerny idiota - burknął. - Fajerwerki, psiakrew. Fajerwerki.

- To pokaz z okazji urodzin księcia Richmond. Wystraszyły cię, bo się ich nie spodziewałeś - zauważyła spokojnie. - Nikt tego nie zauważył. Nikt nie wie.

- Myślisz, że to mi poprawi humor? - Cofnął rękę, gdy wyciągnęła do niego dłoń. - Ja

wiem, co się stało, to wystarczy. Jestem śmierdzącym tchórzem, gotowym uciekać, gdzie pieprz rośnie, na widok byle fajerwerków!

- To nieprawda, Williamie. - Podążyła za nim, kiedy ruszył po schodach w górę. - Nikt cię nie nazwie tchórzem.

- Czyż nie wystarczy, że we własnych oczach jestem nim podszyty?

- Przestań! To do ciebie niepodobne! Obrócił się i popatrzył jej w oczy.

- Skąd ta pewność? Dzisiaj wieczorem powiedziałeś, że nic o mnie nie wiesz, i nie minęłaś się z prawdą. Nikt mnie nie zna, ani jedna osoba na świecie. - Skierował się ku najbliższej ulicy i uniósł rękę, żeby przywołać dorożkę.

- To nie w porządku! - jęknęła.

- Takie jest życie - warknął. Przejeżdżający nieopodal powóz zwolnił i zatrzymał się, a William gwałtownie otworzył drzwi, chcąc puścić Bethany przodem. - Pogodziłem się z tym.

- Nieprawda, jesteś inny! - Poprawiła chustę na ramionach. - A może odbierasz mi prawo do własnego zdania? Czy mam potulnie zgadzać się ze wszystkim, co powiesz? Chcesz mnie traktować jak swojego szeregowca? Zignorował jej pytanie.

- Proszę zawieźć tę panią do Penny House - zwrócił się do woźnicy. - St James's Street, tuż przy placu.

- Nie dam się zbyć. - Dziewczyna odsunęła się od dorożki i skrzyżowała ręce na piersiach. - Nie odjadę, dopóki mi nie podasz prawdziwego powodu.

- Wobec tego ułatwię życie nam obojgu i sam pojedę.

Wdrapał się do powozu, ale sztywna noga znacznie spowolniła jego ruchy, więc Bethany zdążyła się wślizgnąć do kabiny i zająć miejsce obok niego.

- Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo - oznajmiła z determinacją. - Na litość boską, wytłumacz mi, dlaczego tak się zachowujesz?

Jego twarz spochmurniała.

- Bardzo dobrze, zostań, skoro sobie tego życzysz. Ale nigdy potem nie mów, że nie dałem ci okazji, aby się wycofać.

Wychylił się przez okno, powiedział coś do woźnicy i dorożka ruszyła.

- Dokąd jedziemy, Williamie? - spytała i wcisnęła się w kąt, żeby przypadkiem nie

dotknąć go kolanami. - Dokąd mnie zabierasz? Z powrotem do Penny House?

- Do Bowden Court - odparł zwięźle. - Chcesz znać powody mojego zachowania? Na Boga, zamierzam ci je pokazać.

Wiedziała, że nie powinna nic mówić, w tej chwili dyskusja z nim nie miała sensu. Skierowała wzrok przed siebie, starając się nie zastanawiać nad tym, czy na pewno obrała właściwą drogę. W dzieciństwie widziała w Woodbury dziwnego mężczyznę, który krążył po wsi, mówił do siebie i chlostał wymaginowanych wrogów wierzbową witką. Większość palców stracił w wyniku odmrożenia, którego doznał podczas amerykańskiej wojny o niepodległość. Pastor wyjaśnił córkom, że wstrząs, którego doświadczają żołnierze, bywa niekiedy tak głęboki, że na zawsze miesza im się w głowach. Jednak zdaniem Bethany nieszczęsny staruszek byłby dziwny nawet wtedy, gdyby zajmował się pasterstwem.

Teraz, gdy w ponurym milczeniu siedziała obok Williama, wcale nie była tego taka pewna.

Gdy tylko powóz się zatrzymał, jej towarzysz od razu otworzył drzwi, bez słowa chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą po schodach. Odwróciła się w nadziei, że dostrzeże panią Ketch, której wsparcie mogłoby okazać się przydatne. Tego wieczoru jej okna były jednak ciemne, a drzwi zamknięte.

- Williamie, co ty wyprawiasz? - wykrztusiła zadyszana. Usiłowała zapanować nad strachem, który w niej narastał. Nie miała pojęcia, co ją czeka na górze, w jego mieszkaniu.
- Czego ode mnie chcesz?

- Tylko tego, czego sama sobie życzyłaś, moja droga. - Przekręcił klucz w zamku, wciągnął ją do środka i dopiero wtedy puścił.

Odruchowo cofnęła się o krok i nerwowo roztarła nadgarstek. Callaway drżącymi dłońmi zapalił lampkę na biurku, a Bethany przełknęła ślinę. Dopiero teraz dotarło do niej, że prawie nie zna mężczyzny, który zaciągnął ją do swojego mieszkania. Zerknęła na drzwi. Mogłaby uciec, z pewnością by jej nie dogonił. Gdyby jednak wyszła, nigdy by go już nie ujrzała.

Postanowiła zostać, bez względu na to, czy okaże się, że postępuje dobrze, czy głupio.

- Williamie - przemówiła łagodnie. - Posłuchaj...

- Wykluczone - syknął i wyszarpnął ręce z rękawów płaszcza, który osunął się na podłogę. - Tego chciałaś, Bethany, tak? Pragnęłaś mnie poznać od podszewki?

Gwałtownie szarpnął za kołnierzyk koszuli, zrywając kilka guzików, a następnie ściągnął ją przez głowę i ciężko dysząc, stanął na wprost dziewczyny.

- Masz tutaj swoją odpowiedź - oznajmił głucho.

Wstrzymała oddech i zasłoniła dłonią usta, żeby stłumić jęk. William miał szeroki tors, płaski brzuch bez grama zbędnego tłuszczu, jasną skórę pokrytą ciemnymi włosami. Prezentował się doskonale, był świetnie zbudowanym mężczyzną w kwiecie wieku, godnym uwagi najbardziej wybrednych dam.

Wszystko to Bethany ujrzała jednak w drugiej kolejności. Najpierw zobaczyła sieć przerażających blizn, które chciał jej zademonstrować William.

Jego tors i ręce pokrywały niezliczone ślady po najrozmaitszych ranach, czasami płytkich, czasami sięgających do żywego mięsa. Jasne blizny były przyprószone czarnym prochem strzelniczym, który na zawsze wniknął w skórę. Jego drobiny miały przeróżne rozmiary, były małe jak przecinki lub kojarzyły się z paskudnymi, głębokimi kleksami. Wszystkie zagojone rany widniały głównie na jego klatce piersiowej, na bokach miał tylko sporadyczne, nieduże blizny. Na szyi i ramionach nie dostrzegła ani jednego śladu po odniesionych obrażeniach. Niewątpliwie tuż przed nim wybuchła kiedyś bomba i tylko cudem uniknął śmierci.

- Och, Williamie - westchnęła łagodnie. Ile musiał wycierpieć, zanim zagoiły się te wszystkie rany?

Uniósł brodę buntowniczo.

- Przyjrzyj się uważnie, Bethany. To żalosne ciało pozostanie moje do grobowej deski. Będzie mi przypominało o mojej słabości, mojej hańbie.

Pokręciła głową.

- Rany odniesione w boju nie świadczą ani o słabości, ani o hańbie. Głęboko wierzę, że są oznaką poświęcenia, odwagi i honoru.

- Honoru? - prychnął. - Moje blizny świadczą o moim egoizmie. Zdradziłem swoich podkomendnych, fatalnie oceniłem sytuację.

- Nie wierzę, Williamie - zaprotestowała stanowczo. - Z pewnością się mylisz. Nie

znam szczegółów twojej przeszłości, ale całym sercem wierzę w twoją dobroć i szlachetność.

- Twoje serce się myli. - Zaśmiał się ponuro. - Po ostatniej bitwie stanąłem na czele niedużego oddziału, skierowano nas do pomocy towarzyszom broni w potrzebie. Była nas tylko garstka, ale ufałem moim ludziom jak sobie samemu. Dwukrotnie atakowali nas złodzieje i snajperzy, a mimo to podążaliśmy naprzód, bo nie mieliśmy wyboru. Prażyło gorące słońce, wszędzie unosił się pył przypominający czerwony żar ognia. Wypiliśmy prawie całą wodę. Gdybym był silny, nigdy nie zaprowadziłbym moich ludzi do tych ruin, nawet gdyby czekało tam tysiąc studni. Najpierw sprawdziłbym, czy to nie jest zasadzka. Popełniłem błąd i w żaden sposób już go nie naprawię.

Jeszcze nigdy nie słyszała takiego smutku i żalu w głosie człowieka.

- Skąd mogłeś wiedzieć, że w ruinach ktoś zastawił pułapkę? - spytała. - Czy otrzymałeś jakieś ostrzeżenia, które puściłeś mimo uszu?

Pokręcił głową.

- Wszystko zmieniało się jak w kalejdoskopie i nie mogliśmy ufać nikomu.

- Czy kiedykolwiek wcześniej zdarzyło ci się zawieść swoich ludzi?

Ponownie pokręcił głową.

- Zawsze starałem się stawiać ich dobro na pierwszym miejscu. Żaden oficer nie postąpi inaczej, jeśli zależy mu na zaufaniu i lojalności podkomendnych.

- Zatem postąpiłeś tak samo jak zawsze - podkreśliła. Miała nadzieję, że nie posuwa się za daleko. - Dzień był upalny, przebyliście długą drogę, twoi żołnierze potrzebowali wody, a ty chciałeś, aby zaspokoili pragnienie.

- Byłem pewien, że postępuję słusznie - wyjął z pewnym zdumieniem. - Stałem na wzgórzu i na własne oczy widziałem wodę, najprawdziwszą wodę.

- Sądzisz, że to było tylko złudzenie? Zwiesił głowę.

- Nie mam pojęcia. Nigdy nie poznam prawdy.

- A inni? Czy oni również widzieli wodę? Pytałeś ich?

- Niby kiedy? Zszedłem po pozostałych, zawołałem, że znalazłem strumień i pobiegliśmy przez wzgórza. Wtedy ujrzałem pierwszych Hiszpanów, uzbrojonych, z małą armatą ukrytą za skałami. Było już za późno. Nie miałem czasu nawet na to, żeby wydać

rozkaz odwrotu. Mogłem tylko uratować człowieka, który biegł najbliżej mnie.

- Blizny po prochu - domyśliła się. - Powstały w wyniku wybuchu.

- Chciałem ocalić tego żołnierza, osłonić go swoim ciałem... Ujrzałem błysk, poczułem gwałtowne uderzenie i straciłem świadomość. Ocknąłem się dopiero w Anglii. Wróciłem dzięki ojcu, a wszystko w moim życiu, co miało sens i znaczenie, przepadło.

Bethany stanęła przed Williamem, niecierpliwie zakładając kosmyki włosów za uszy. Wyczuwała napięcie w jego ciele i duszy, które pojawiło się po tym, jak wyznał prawdę, przyznał się do błędu i opowiedział o wyrzutach sumienia, które go bezustannie dręczą.

- Mylisz się, jestem o tym przekonana.

- Spójrz na mnie i sama się zastanów - poprosił. - Przecież to oczywiste, że w żaden sposób nie naprawię błędu. Nigdy nie będę na ciebie zasługiwał.

- Williamie, proszę cię...

- Nie, Bethany. Mam rację. - Uśmiechnął się z goryczą. - Wiesz już o mnie bardzo dużo, teraz spójrz na mnie i powiedz mi, że jestem jeszcze coś wart.

- Patrząc. - Przysunęła się do niego tak blisko, że wyczuła jego oddech na policzku. - I widzę mężczyznę.

Jego mięśnie stężały, dłonie machinalnie zacisnął w pięści.

- Bethany, nie kpij ze mnie - jęknął.

- Przecież sam kazałeś na siebie spojrzeć - wyszeptała. Posunęła się tak daleko, że nie zamierzała teraz zbaczać z obranej drogi. - Widzę mężczyznę, który ma defekty, jak każdy inny człowiek, ale przy tym jest dobry, szlachetny. Zasługujesz na wszystko, czego zapagniesz.

Jak najdelikatniej pogłaskała go po karku. Miał tak ciepłą skórę, jakby ogarnęła go gorączka.

- Bethany, proszę cię... - Zamknął oczy. - Bethany.

- Williamie. - Wypowiedziała jego imię z czułością. - Mój Williamie. Kazałeś mi patrzeć, a ja ujrzałam ciebie. Wyłącznie ciebie.

Zanim zdążył odpowiedzieć, przycisnęła usta do jego szyi i objęła go w pasie. Obsypała jego tors delikatnymi pocałunkami, nie zważając na czarne ślady prochu i na blizny. Jeszcze nigdy nie dotykała mężczyzny w taki sposób. Ponad wszystko pragnęła dać

mu do zrozumienia, że kocha go bardziej niż kogokolwiek na świecie.

Drżała, całując jego brzuch, dotykając go dłońmi; jej serce waliło jak młotem.

- Wystarczy. - Poczowała na ramionach stanowczy uścisk jego rąk. Uniósł ją, objął jej głowę i spojrzał w twarz tak, żeby nie mogła odwrócić wzroku. - Czy jesteś tego pewna, dziewczyno? - wychrypiął zdesperowanym głosem. - Potrafiłabyś znieść taki wrak jak ja?

- Inaczej nie mówiłabym ci tego wszystkiego - potwierdziła.

- Ale dlaczego w ogóle mi o tym mówisz? Czemu teraz? Jej oczy wypełniły się gorącymi łzami.

- Dlatego że się przede mną otworzyłeś.

Nieznacznie opuścił głowę, przygotowany na to, co Bethany mogłaby powiedzieć.

- Litujesz się nade mną, prawda?

- Nie, Williamie, wierzę w ciebie. - Po jej policzku spłynęła łza. - I jeszcze... Kocham cię.

- Kochasz mnie... - powtórzył ze zdumieniem. Kciukiem otarł jej łzę i bez słowa pocałował ją mocno i żarliwie.

Oszołomiona tempem zdarzeń, otoczyła jego szyję rękami i mocno przywarła do piersi. Ledwie zdawała sobie sprawę z tego, że William rozpina guziki jej sukni, jeden po drugim, a na koniec ściąga z niej ubranie. Pomagała mu machinalnie, oswobodziła jedną rękę, potem drugą, aż miękki materiał z cichym szelestem opadł na podłogę.

Stała teraz w samej bieliźnie. Tylko westchnęła, gdy rozwiązał małą kokardkę mocującą gorset, i wstrzymała oddech, kiedy dłońmi odszukał jej nagie piersi. Im dłużej ją pieścił, tym bardziej jej ciało stawało się niespokojne i rozpalone, ocierała się o niego i pragnęła coraz więcej.

Pocałował ją ponownie, a ona głaskała jego plecy i biodra. Zareagował natychmiast i przywarł do niej. Poruszyła się z przyzwoleniem, a nieznana dotąd rozkosz przeniknęła całe jej ciało.

William znieruchomiał na moment, ale nie wypuścił jej z ramion. W słabym świetle lampy ujrzała jego pełną napięcia i pożądania twarz.

- Czy jesteś pewna, Bethany? - spytał. Ani na moment nie odrywał wzroku od jej twarzy. - Czy jesteś tego absolutnie pewna?

- Tak - oświadczyła zdecydowanym tonem. Zaufał jej, powierzył swój sekret, a teraz ona pragnęła ofiarować mu dar. - Och, tak, Williamie, jestem pewna...

Jego wargi zetknęły się z jej ustami. Objął ją i delikatnie pchnął na łóżko. Zakręciło się jej w głowie, gdy przycisnął ją do materaca, a jego dłonie wędrowały po jej ciele w poszukiwaniu nowych, nieodkrytych zakątków. Miękkie łóżko uginało się pod ich ciężarem, skrzypiąc i trzeszcząc przy każdym ruchu.

Bethany uniosła biodra i podciągnęła wysoko halkę, odsłaniając podwiązki i nagie uda wylaniające się z pończoch. Przy Williamie nie krępowała się ani trochę. Za bardzo zatraciła się w rozkoszy, żeby odczuwać fałszywy wstyd. Otwartymi ustami chwyciła powietrze, a cała jej energia zdawała się kumulować wokół gotowego na wszystko mężczyzny. Ten jednak nieoczekiwanie odsunął się i wstał.

- Jedną chwilę - wychrypiał i ściągnął spodnie.

Dziewczyna nagle się spłoszyła i onieśmielona zacisnęła powieki, które uchyliła dopiero wtedy, gdy łóżko ponownie zaskrzypiało pod ciężarem Williama.

Tym razem, kiedy jej dotykał, nie zatrzymał się na wysokości uda, lecz pieścił ją coraz wyżej i wyżej. Oddychała nierówno, gwałtownie, ale uspokoił ją pocałunkiem i głaskał, doskonale wiedząc, jak stopniować napięcie. W końcu przywarła do niego z bezgraniczną ufnością i tylko raz za razem powtarzała jego imię.

Nagle jego palce się usunęły, a w ich miejsce pojawiła się gorąca, rozpalona męskość, którą zaakceptowała bez najmniejszego oporu, choć nigdy nie podejrzewała, że będzie to możliwe. Krzyknęła, lecz bardziej ze zdumienia niż z bólu.

- Wybacz, maleńka - wyszeptał niskim głosem i odgarnął z jej twarzy wilgotne kosmyki. - Będzie lepiej, obiecuję.

Tylko skinęła głową, niepewna, czy jest w stanie wypowiedzieć choćby słowo. Musiała ponownie zaufać Williamowi, w gruncie rzeczy nie miała wyboru. Ostrożnie zakołysała biodrami, żeby złagodzić nacisk i ze zdumieniem poczuła, że powraca rozkosz, która opuściła ją tak nieoczekiwanie. Poruszyła się znowu, a on przyłączył się do niej w rytmie, który obojgu sprawiał największą satysfakcję. Bethany objęła go nogami i wkrótce krzyczała z rozkoszy, bo oboje dali się ponieść ekstazie porównywalnej wyłącznie z fajerwerkami nad rzeką.

- Miałaś słuszość - przyznał chwilę potem, gdy kciukiem łagodnie zataczał koła na jej ramieniu. Nadal leżeli spleceni w miłosnym uścisku, w pomiętej pościeli. - Rozumiałaś.

Uśmiechnęła się niepewnie, nadal zbyt przytłoczona emocjami, żeby sobie zaufać. Domyślała się, że William chciałby jej wyznać miłość, tak jak ona jemu. W głębi serca czuła, że ją kocha, ale chciałyby to usłyszeć z jego ust.

- Nie ma drugiej takiej jak ty, Bethany - powiedział. - Nie wiem, czym sobie zasłużyłem na twoje uczucie.

- Oboje na siebie zasłużyliśmy - zauważyła szczerze.

- Wobec tego nie ma na świecie większego szczęściarza ode mnie. - Pochylił się i pocałował ją z czułością, ale ona nagle przypomniała sobie o czymś, co od spotkania z nim przestało zaprzętać jej myśli.

- Która godzina? - spytała gwałtownie i odwróciła się, żeby spojrzeć na księżyc. - Musi być bardzo późno, prawda?

- Nadal mamy przed sobą większą część nocy. - Wychylił się z łóżka i z porzuconego na podłodze ubrania wygrzebał zegarek. - Wpół do drugiej.

- Wpół do drugiej! - Pospiesznie zerwała się z pościeli i rzuciła się na poszukiwanie sukni. - Och, Williamie, powinnam była wrócić wiele godzin temu!

- Dokąd, do Penny House? - Oparł głowę na ręce i patrzył, jak Bethany przewraca ubranie na właściwą stronę. - Idę o zakład, że w ogóle nie zauważyli twojej nieobecności. Lepiej zostań ze mną.

- Doskonale wiesz, że to wykluczone. Amaria mnie zabije!

- Skoro twój koniec i tak jest bliski, zostań ze mną do świtu. - Objął ją w tali i przyciągnął. - Proszę cię, słonko, nie wychodź.

Usiadła obok niego i znieruchomiała.

- Zostań dla mnie - nie ustępował. - Dla nas obojga.

- Williamie, wiesz że nie mogę. - Westchnęła z żalem i zaczęła zapinać guziki sukni. - Przynajmniej nie tej nocy.

- Zatem przysięgnij, że zostaniesz ze mną jutro.

- Zgoda, jutro będziemy razem, choć nie mam pojęcia, jak tego dokonam. -

Pocałowała go w usta.

- Dokonamy tego oboje - zapowiedział z uśmiechem. Wstał, przeciągnął się szeroko i sięgnął po spodnie.

Bethany wbiła w niego wzrok. Była wstrząśnięta i nie zdołała tego ukryć. Choć ciało Williama pokrywały głębokie blizny, żadna z nich nie mogła się równać z wykręconą, zdeformowaną i pooraną głębokimi ranami nogą. Nic dziwnego, że utykał. Była zdumiona, że w ogóle chodził.

Nagle uświadomiła sobie, że zauważył jej spojrzenie.

- Zatem teraz zobaczyłaś także nogę - mruknął ponuro. - Nogę kaleki.

Odwrócił się gwałtownie, wciągnął spodnie i pospiesznie zapiął guziki. Poniewczasie zorientowała się, jak wielki popełniła błąd.

- Cokolwiek powiesz, twoja noga jest częścią ciebie - zauważyła ostrożnie. - Wcale nie użalałam się nad tobą. Przeciwnie, nie przestaję myśleć o tym, jak bardzo musiałeś być dzielny. Nadal jesteś odważny.

- E tam - burknął i włożył koszulę i płaszcz. Dystans między nimi nagle przybrał rozmiary przepaści. - Ani trochę. Chodź, odprowadzę cię do domu.

- Jak możesz podawać w wątpliwość to, co mówię? - obruszyła się. - Zaufałeś mi, a ja zaufałam tobie, pod każdym względem, i szczerze uważam, że jesteś odważny!

Nie odpowiedział ani słowem.

Bethany chwyciła chustę z podłogi i zarzuciła ją na ramiona. Z trudem powstrzymywała łzy rozczarowania.

- Sądziłam, że łączy nas coś więcej - westchnęła rozzalona. - Byłam pewna, że dużo dla siebie znaczymy, a tymczasem wszystko między nami wydaje się umierać, jeszcze zanim się narodziło...

William nadal milczał, a ona nie miała zamiaru go o nic błagać. Przygryzła wargę i ruszyła do drzwi. Zanim jednak położyła dłoń na klamce, chwycił ją za rękę, przyciągnął do siebie, objął i zanurzył twarz w gęstwinie jej włosów. Przytulił się do niej mocno, bez słowa wyjaśnienia, jednak ona nie potrzebowała niczego więcej.

Macallister rzucił karty na zielone sukno i odsunął się z krzesłem od stołu. Nawet nie czekał, aż inni wyłożą karty. Wiedział, że znowu przegrał, tego wieczoru szło mu źle w każdym rozdaniu.

Wyglądało jednak na to, że w końcu jego los się odmieni.

W drzwiach stała panna Amaria i z uwagą obserwowała zgromadzonych w pokoju panów. Porucznik przyglądał haftowany front kamizelki, poprawił mankiety koszuli i ruszył ku niej z uśmiechem. Miał świadomość, że stojąca przed nim kobieta uważana jest za najpiękniejszą i najbardziej elegancką z sióstr Penny, ale jemu wydawała się zbyt sztywna i przesadnie oficjalna, zwłaszcza w porównaniu z Bethany. Między innymi dlatego tak bardzo pragnął zdobyć tę drugą.

Amaria z pewnością szukała właśnie jego. W przeciwnym razie po co miałyby tu przychodzić?

- Panno Penny. - Ukłonił się na powitanie. - Ma pani dla mnie wieści, czyż nie?

Wydawała się zaskoczona i choć uśmiechnęła się uprzejmie, jednocześnie rozpostarła ręcznie malowany wachlarz i zatrzepotała nim, jakby chciała się odgrodzić od natręta.

- Obawiam się, że nie mam wieści, których pan wyczekuje, panie poruczniku - odrzekła z westchnieniem. - Przesłałam siostrze pańskie zaproszenie na górę, ale jeszcze nie przyszła. Jak już podkreśliłam, jest niezwykle zapracowana, lecz na pewno się zjawi, gdy tylko będzie wolna od obowiązków.

Skrzywił się, wyraźnie rozczarowany. Nie lubił czekać na nikogo, zwłaszcza na kobiety.

- Sam po nią pójde - zaproponował.

Panna Penny złowrogo zamachała wachlarzem.

- Już wcześniej panu wyjaśniłam, że to nie wchodzi w grę. Członkowie klubu nie mają wstępu do kuchni. Takie są zasady i wszyscy muszą ich przestrzegać.

Macallister doskonale wiedział, że nieposłuszeństwo było karane dożywotnim wykluczeniem z klubu. Uśmiechnął się z wysiłkiem, żeby zamaskować irytację.

- Chyba nie jestem pierwszym lepszym klubowiczem, prawda? Dla pani siostry znaczę więcej niż inni mężczyźni.

- Zatem nie powinien pan martwić się jej nieobecnością. - Porucznik zauważył jej spojrzenie skierowane ku jednemu ze strażników stojącemu w kącie pomieszczenia. - Bethany wie, że pan tu jest, i na pewno nie każe panu czekać dłużej niż to konieczne. Ach,

lord Harleigh! Jak się waszej lordowskiej mości udało przemknąć obok mnie? Musiałam się zagapić.

John Macallister odwrócił się z furją, nawet nie spojrzawszy na znajomego dżentelmena. Wiedział, że Amaria go zbywa, w dodatku poczuł się obrażony. Gdyby była mężczyzną, wyzwiałby ją na pojedynek, to pewne.

Sięgnął po kieliszek czerwonego wina roznoszonego na tacy przez kelnera, podszedł do okna i odsunął ciężkie zasłony, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. W zaułku na dole dostrzegł kobietę w jasnej chuście na głowie. Uśmiechnął się pod nosem i pomyślał, że to jakaś ladaczniczka w drodze od jednego klienta do następnego. Żałował, że nie widzi jej twarzy.

Zatrzymała się tuż przy bramie prowadzącej na podwórze Penny House, a za chwilę dołączył do niej wysoki mężczyzna w prostym, zniszczonym płaszczu. Zapewne wysupłał ostatniego pensa na tę brudną dziwkę. Porucznik z narastającym zainteresowaniem patrzył, jak się obejmują i wymieniają namiętne pocałunki. Twarz nieznanego pozostawała ukryta w cieniu kapelusza, a prostytutka ani przez moment nie odchyliła chusty, lecz pod jej suknią rysowały się zgrabnie zaokrąglone, kuszące pośladki. Pocałowali się ponownie, chyba na pożegnanie, po czym się rozstali. Wtedy chusta kobiety nieoczekiwanie osunęła się na ramiona i w świetle latarni zalśniły miedziane włosy. Macallister w ułamku sekundy rozpoznał jej twarz i poczuł się tak, jakby ktoś kopnął go w brzuch. Bethany Penny. Jego Bethany wcale nie siedziała w kuchni, tylko prostytuowała się na ulicy z jednym ze swoich żebraków.

Nieznajomy nagle ściągnął kapelusz, żeby się pożegnać, i wszystko stało się jasne. To nie był ani żebrak, ani szaleniec, lecz William Callaway.

Porucznik zacisnął palce na nóżce kieliszka. Oto miał przed oczami dowód tego, w co dotąd nie chciał uwierzyć. Major Callaway mógł go zniszczyć w każdej chwili, bez większego trudu. Miał za sobą całą wpływową rodzinę i nic nie stało na przeszkodzie, żeby wyjawiał wszystko, co wiedział o Johnie Macallisterze. Z pewnością każdy uwierzyłby mu na słowo.

Co do porucznika... Miałby szczęście, gdyby sąd wojskowy nie skazał go na śmierć.

Z najwyższym trudem udało mu się zachować pozorną obojętność, aby nikt w pokoju

nie zorientował się, że coś jest nie w porządku. Pod żadnym pozorem nie mógł dopuścić do tego, by Callaway złożył obciążające go zeznania. Na pewno trzeba będzie zastosować środek subtelniejszy i bardziej wyrafinowany niż trucizna. Nikt nie zwracał uwagi na nagłą śmierć nędzarza, ale syn arystokraty to zupełnie inna sprawa. Macallister musiał jednak skutecznie odsunąć od siebie wszelkie podejrzenia.

Kluczem do rozwiązania problemu powinna być dziewczyna. To oczywiste, że nie zamierzał się z nią żenić - przenigdy nie splamiłby swego nazwiska, wiążąc się z byle ladaczną. Mimo to nadal jej pragnął, teraz nawet bardziej niż przedtem. Jakże miło byłoby ogłosić światu, że córka czcigodnego duchownego skalała własne gniazdo! Szantażem zmusiłby ją do posłuszeństwa, a potem skłonił do zdrady kochanka.

Wtedy William Callaway zniknąłby z jego życia i myśli raz na zawsze.

Rozdział dwunasty

- Och, jak dobrze, że pani wreszcie wróciła! - Letty chwyciła Bethany już od progu i natychmiast zaciągnęła ją do kąta w kuchni, gdzie nikt nie miałby śmiałości podsłuchiwać.

- Robiłam, co mogłam, proszę pani, ale nie lubię kłamać, nikomu i nigdy.

- Co takiego się stało? - spytała panna Penny, pospiesznie zakładając fartuch.

- Tylko tyle, że pani siostra raz po raz przysyłała po panią - wykrztusiła kucharka. - Najpierw jakiś dżentelmen życzył sobie, żeby pani weszła na górę, bo koniecznie chciał panią komplementować. Odesłałam służącego z zapewnieniem, że pani przyjdzie, kiedy tylko znajdzie chwilkę. Potem przyszedł stary Pratt, więc zatrzymałam go na schodach i wmawiałam mu, że ma pani urwanie głowy z sosami. Następnie otrzymałam polecenie od samej panny Amarii, która chciała się z panią widzieć jak najszybciej.

- Kiedy moja siostra o mnie pytała? - Bethany pospiesznie zakładała czepek. - Jak dawno temu?

- Dobry kwadrans - odezwała się Amaria, która po cichu weszła do kuchni i stanęła za jej plecami. - Może wcześniej. Betts, dlaczego nie przysłaś, kiedy po ciebie posłałam? Dziewczyna gwałtownie się odwróciła.

- Wybacz, siostrzyczko, ale byliśmy tak zajęci, że...

- Ani trochę nie byliście zajęci - burknęła starsza panna Penny. - Dzisiejszego wieczoru odbywa się jakiś wielki, sekretny mecz bokserski i wszyscy nasi bywalcy, którzy lubią hazard, poszli zostawiać pieniądze gdzie indziej. Powinnaś była zorientować się, jak sprawy stoją, skoro do kuchni ciągle wracają prawie pełne półmiski.

Bethany zerknęła na kucharkę, która ledwie dostrzegalnie skinęła głową.

- Rozumiem, że nie przepadasz za towarzystwem dżentelmenów z naszego klubu, Betts, i nie winię cię, że unikasz spotkania z tym okropnym porucznikiem Macallisterem. Ale nie powinnaś ostentacyjnie mnie ignorować, zwłaszcza w świetle wieści z Greenwood...

- Z Greenwood? - powtórzyła młodsza siostra zdumiona. - Nie mówiłaś mi, że masz nowiny od Cassii.

- Nie mówiłam - przyznała Amaria i westchnęła. Skinęła na dziewczynę i poprowadziła ją do gabinetu obok kuchni, po czym starannie zamknęła drzwi. - Dzisiaj wieczorem otrzymałam wiadomość od Richarda, prosił mnie o natychmiastowe przybycie. Podobno Cassia jest chora, ale nie chce się do tego przyznać, więc jej mąż oczekuje mojej opinii.

- Ona na pewno nie zachorowała. - Młodsza z panien Penny usiadła na małym krześle przy biurku. - Żadna z nas nigdy nie choruje.

- Wiem o tym doskonale. Dlatego nie martwię się zbytnio. Moim zdaniem nasza siostra jest w ciąży.

- Cassia? - Bethany wydawała się zaskoczona, choć nie powinna się dziwić, zwłaszcza że młoda para dzieliła łóżko jeszcze przed ślubem. Nagle uświadomiła sobie, iż w szale uniesień całkiem zapomniała o ostrożności z Williamem.

- Tak, Cassia - potwierdziła Amaria; na szczęście nie potrafiła czytać w myślach siostry. - Niestety, muszę do niej pojechać. Zapewne się wścieknie, bo Richard zaprosił mnie po kryjomu. Wrócę za kilka dni, przecież chcę im obojgu pomóc, a nie wtrącać się w ich sprawy. Ty, króliczku, przejmiesz pieczę nad klubem do czasu mojego powrotu.

- Czy jesteś pewna, że to dobry pomysł? - Bethany była oszołomiona perspektywą takiej odpowiedzialności. - Dżentelmeni przychodzą do nas, żeby spotkać się z tobą, nie ze mną. Nie jestem dość sprytna ani inteligentna, nie znam ani nazwisk, ani tytułów naszych

gości. Poza tym słaba ze mnie rozmówczyni.

- Oni wszyscy przychodzą tutaj po to, żeby uciec z domu, napić się i zagrać - zauważyła Amaria trzeźwo. - Mogłybyśmy ubrać małą w jedwabną suknię, a w połowie wieczoru wszyscy wznosiliby toasty na cześć jej niesłychanej urody. Nie mówię, że jesteśmy małpami, po prostu nasza rola nie jest aż tak istotna, jak sądzisz. Z nazwiskami i tytułami pomoże ci Pratt, a Letty zadba o kuchnię. Dżentelmenom spodoba się odmiana. Świetnie sobie poradzisz, jestem pewna.

Dziewczyna znów pomyślała o Williamie i złożonej mu obietnicy powrotu do Bowden Court na całą noc.

- Kiedy musisz jechać? - zapytała.

- Z samego rana - odrzekła Amaria. - Richard przyśle po mnie powóz; dziwne, przecież z miejsca wzbudzi podejrzenia Cassii. Planuję powrót pod koniec tygodnia.

- Zatem znikniesz na pięć nocy. - Panna Penny wyobraziła sobie, że przez pięć wieczorów będzie musiała stroić się w suknie, troszczyć o dobre samopoczucie gości klubu, a co najgorsze, nie spotka się z Williamem. - Och, sama nie wiem.

- Ale ja wiem. Poradzisz sobie bez trudu. Nie dalej jak wczoraj zwierzałaś mi się, że w swoich oczach jesteś na tyle dojrzała i mądra, by poradzić sobie ze wszystkim.

Bethany pomyślała, że od wczoraj w jej życiu zmieniło się prawie wszystko.

- Pożyczysz mi swój naszyjnik z imitacjami kamieni szlachetnych - poprosiła, żeby zmienić temat. - Może dzięki temu dżentelmeni wezmą mnie za ciebie.

- Najlepiej bądź sobą. Zachwycisz ich, zobaczysz. - Amaria pogłaskała siostrę po policzku. - Betts, czy jest coś, co chciałabyś mi powiedzieć? Czy to ma związek z personelem albo z twoją trzódką?

Zawahała się. Nawet teraz czuła zapach i dotyk Williama, a w sercu miała mętlik. Ogromnie pragnęła opowiedzieć siostrze o wszystkim, lecz obawiała się jej wzburzenia. Amarii byłoby na pewno przykro, że nie poznała prawdy wcześniej, niepokoiłaby się o szczęście Betts u boku takiego mężczyzny jak William i przejmowałaby się możliwością nieplanowanej ciąży. Dziewczyna nie była pewna, czy chce ją wtajemniczać w swoje skomplikowane sprawy. Poza tym Cassia potrzebowała teraz obecności bliskiej osoby, więc wszystko inne mogło poczekać.

- Skądże, siostrzyczko. - Bethany pokręciła głową i zrobiła obojętną minę.

Amaria nie spuszczała z niej wzroku.

- A co z tym panem Callawayem, który najwyraźniej wpadł ci w oko? Czy on kiedykolwiek...

- Nie stanowi zagrożenia dla Penny House. Nie musisz się nim kłopotać.

- Kłopotczę się tobą, a nie nim, króliczku. Pamiętaj, że jeśli zdarzy się cokolwiek podejrzanego, masz pod ręką strażników.

- Dam sobie radę.

- Jestem tego pewna. - Starsza siostra wygładziła fałdy sukni i skierowała się ku drzwiom. Na progu odwróciła się i uśmiechnęła przepaszająco.

- Jeszcze wczoraj chciałam, byś wyjechała na wieś i nieco odpoczęła od pracy.

Stańło na tym, że ja wyjeżdżam do Hampshire, a tobie zostawiam dwa razy więcej roboty.

- Tak to w życiu bywa - odrzekła Betts i wstała. - Rzadko udaje się zrealizować zamiary.

Od razu pomyślała o Williamie. Nie widzieli się zaledwie od kilkunastu minut, a już za nim tęskniła. Postanowiła rano wysłać mu wiadomość, że przez kilka dni nie uda się jej opuścić Penny House.

- Przypomniał mi się ojciec. - Amaria wbiła wzrok w podłogę. - Pamiętasz, jak często powtarzał, że Bóg zawsze ma swoje racje, nawet jeśli my, maluczcy, życzylibyśmy sobie czego innego?

Bethany skinęła głową. No tak, nie mogła się wybrać do Williama, ale dlaczego on nie miałby przyjść do niej?

Prawie świtało, kiedy Callaway powrócił pieszo do Bowden Court. Po rozstaniu z panną Penny potrzebował czasu na uporządkowanie myśli, ale pod koniec spaceru ból w jego nodze odezwał się ze zdwojoną siłą.

Mężczyzna powlókł się po schodach do mieszkania, ściągnął płaszcz i rzucił się na łóżko. Jego chora noga wreszcie mogła odpocząć, ale mimo to ciągle czuł niepokój. Pognieciona pościel wciąż pachniała miłością i Bethany.

Potrzebował jej, pragnął mieć ją blisko. Nigdy dotąd nie czuł takiego pożądania, choć spotykał się z wieloma kobietami. Uważał, że panna Penny jest niebywale piękna,

pełna życia, ognia i dobroci, a w dodatku samodzielna i zaradna, lecz nie dlatego tak go do niej ciągnęło. Czuł się z nią związany w niewyjaśniony sposób, zupełnie jakby była jego drugą połową, której nieobecności dotąd nie zauważał. Powierzył jej najmroczniejsze tajemnice z przeszłości, a ona nawet się nie wzdrygnęła. W rewanżu ofiarowała mu dziewictwo, choć wcale tego od niej nie oczekiwał. Widziała go, kiedy zachowywał się jak bełkoczący pomyleniec, a jednak nie odwróciła się od niego. Przez cały czas była przy nim, dostrzegała dobro tam, gdzie on widział tylko rozpacz.

Zaklął i zasłonił oczy ręką. Co mógł jej ofiarować za czułe serce i poświęcenie? Tytuł, którego nie chciał? Posiadłość, z której praktycznie zrezygnował? Niegodziwą, egoistyczną rodzinę? A może przeszłość, która dopadała go w postaci nieoczekiwanych, żalonych ataków szaleństwa?

Teraz, gdy Bethany w końcu wyznała mu miłość, nie potrafił zrewanżować się jej podobnym wyznaniem.

Trudno się dziwić, że długo oczekiwany sen okazał się koszmarem znanym Williamowi tak dobrze, jak stary wróg. Pusta droga, wymarła ziemia, palące słońce i czerwony pył.

Tym razem jednak wędrował samotnie. U jego boku zabrakło towarzyszy broni, nie miał komu wydawać rozkazów, nie był za nikogo odpowiedzialny. Po co więc miał żyć? Nikt by się nie zorientował, gdyby teraz padł na pylistą drogę. Mógłby umrzeć, a jego konduktem pogrzebowym stałyby się długoskrzydłe ptaki krążące wysoko na niebie w oczekiwaniu na rozpoczęcie stypy, na której byłby głównym i jedynym daniem.

Dobrnął do ostatniego zakrętu i zobaczył to samo wzgórze, co zawsze. Po chwili wspinał się ze świadomością, że za moment ujrzy ruiny oraz wodę. Historia powtarzała się już wielokrotnie, znał ją na pamięć.

Ten sen okazał się inny. Tym razem ze szczytu wzniesienia ujrzał pusty, ponury krajobraz, skąpany w promieniach bezlitosnego słońca. Nigdzie nie widział nawet śladu wody, która świadczyłaby o jego upadku. Zamrugał oczami i nagle zauważył Bethany Penny.

Stała tam, gdzie wcześniej widywał wodę, jej włosy jaśniały w świetle dnia, a żółta chusta spoczywała na ramionach. Osłoniła oczy dłonią, gdy spojrzała na Williama, i

skinieniem ręki przywołała go.

Zatrzymał się i zachwiał z pragnienia. Nie wierzył własnym oczom. Dziewczyna miała w ręce kryształowy dzbanek z wodą, którą wlewała do szklanki trzymanej w drugiej dłoni.

- Weź, Williamie - przemówiła. - Bierz tyle, ile chcesz, ile potrzebujesz. Teraz i zawsze.

- Bethany - wychrypiał. Ruszył ku niej, powoli, krok po kroku. - Bethany!

Zaśmiała się pogodnie i wyciągnęła ku niemu szklankę.

- To dla ciebie, kochany, tylko dla ciebie. Jeżeli chcesz dostać wodę, musisz mnie pokochać, nic więcej.

Skinął głową i uśmiechnął się z zachwytem. Kochał Bethany, jednak kiedy próbował jej to powiedzieć, słowa grzęzły mu w suchej i obolałej krtani. Wyciągnął do niej rękę, żeby zrozumiała, ale w tej samej chwili rozplynęła się w czerwonym pyłe, jakby nigdy jej nie było. Porzuciła go, skazała na wieczną samotność, pustkę, nicłość...

- Panie majorze? - Pani Ketch wzięła się pod boki i patrzyła na Williama jak na dziwadło z gabinetu osobliwości. - Panie majorze, źle z panem?

Zamrugął oczami, zdumiony jej widokiem i oślepiiony porannym słońcem. Serce waliło mu tak gwałtownie, jakby przed chwilą ukończył długi bieg, nie potrafił opanować drżenia rąk.

- Nie, wszystko ze mną dobrze - mruknął i usiadł na łóżku. - Przyśnił mi się koszmar, i tyle.

Gospodyni podejrzliwie zacisnęła usta.

- Koszmary śnią się w nocy, panie majorze. Większość ludzi nie sypia za dnia, chyba że zapadną na zdrowiu.

- Ja nie zapadłem - mruknął i odgarnął włosy z czoła. - Co właściwie pani robi w moim pokoju, pani Ketch?

- Jestem tu z powodu chłopaka. - Odsunęła się, a za jej plecami William ujrzał Twiga, który stał z szeroko otwartymi oczami i ścisnął w dłoniach przykryty serwetką koszyk. - Pukał, a pan nie otwierał.

- Do licha, przecież spałem - burknął i potarł dłonią kark. - To chyba wszystko, pani

Ketch, prawda? Twig, co tam masz?

Chłopiec zczekał, aż gospodyni wyjdzie, po czym wręczył mu koszyk.

- Przesyłka od panny Bethany, psze pana. Kazała przekazać panu osobiście.

- Tak kazała... - Williamowi wydało się dziwne, że malec stał u jego drzwi z prezentem od niej akurat wtedy, gdy dziewczyna z jego snu zniknęła wraz z wodą. Poczł zapach cynamonowych bułek i pieczonego drobiu. - Poczłstował się?

- Ależ skąd, psze pana! - zaprzeczył Twig gwałtownie. - Panna Penny kazała mi się najść w Penny House, żeby mnie nie korciło.

- Panna Bethany jest mądrą kobietą. - Uniósł rąbek serwetki i zauważył wsunięty do koszyka list. Otworzył go pospiesznie i z miejsca się zorientował, że eleganckie, równe litery skreślone zostały jej ręką. Jego serce zamarło przy pierwszym zdaniu, ale już przy drugim roztrzepotało się jak ptak w potrzasku.

Mój jedyny Williamie!

Z nieopisanym żalem muszę Cię zawiadomić, że nie mogę przyjść do Ciebie dzisiaj wieczorem. Moja siostra A. została pilnie wezwana na prowincję, więc możesz zjawić się u mnie późną nocą, o ile masz ochotę.

Twoja na wieki,
ukochany.

B

Pisane świtem w Penny House, St James's Street

Przeczytał raz jeszcze, dla pewności. Zatem Bethany nie zniknęła z jego życia tak jak senna zjawka z koszmaru. Nadal pragnęła go widzieć, i to najbliższej nocy, u siebie w domu. Nazwała go swoim jedynym Williamem.

- Złe wieści, psze pana? - zainteresował się Twig i zaszurał nogami z przejęcia.

- Bynajmniej. - Callaway szybko złożył list i wsunął go do kieszeni koszuli. Po chwili wyciągnął z koszyka dwa udka kurczaka i wręczył jedno chłopcu. - Masz za to, że taki szybki z ciebie posłaniec.

Malec z powagą skinął głową, przyjął udko i przysiadł na skraju łóżka.

- Powiedz mi coś, przyjacielu - zaczął William, gdy obaj zabrali się do jedzenia. - Co wiesz o miłości?

Twig zmarszczył nos.

- Czy o tym pisała panna Bethany?

- W pewnym sensie - przyznał mężczyzna. Właściwie nie rozumiał, dlaczego zadał chłopcu to pytanie. Czyżby tak bardzo potrzebował towarzystwa, że usiłował wciągnąć go w rozmowę? A może naprawdę ciekawiła go jego opinia? - Ale ja pierwszy zadałem pytanie. Jakiej rady mógłbyś mi udzielić w kwestii dam, co?

- Nie widzę dla nich szczególnego zastosowania, psze pana - oświadczył Twig zwięźle. - Przydają się do zwykłych rzeczy: prania, gotowania i takich tam.

- Panna Bethany jest jedną z najlepszych kucharek w królestwie.

- Ani chybi - zgodził się malec i odgryzł kęs udka kurczaka. - Dlatego powinienem panu poradzić, żeby ją pan pokochał.

- Czy to dostateczny powód? - William przełamał bułeczkę i połowę podał chłopcu.

Twig w zamyśleniu oblizywał palce.

- Idę o zakład, psze pana, że potrzeba czegoś więcej. Tata zaklinał się kiedyś, że mama kochała mnie najbardziej na świecie, zanim umarła.

- Przykro mi, młodzieńcze - westchnął Callaway. - Nie chciałem poruszać bolesnego tematu.

- Och, nie, psze pana, ten temat nie jest taki bolesny, bo wcale nie pamiętam mamy - wyznał chłopak z wymuszoną wesołością. - Byłem niemowlakiem, kiedy umarła, ale mogę się pocieszać myślą, że pilnuje mnie z nieba, razem z aniołami. Miło jest mieć taką świadomość, że jest się kochanym zawsze i wszędzie.

William opuścił wzrok, a mięso w jego ustach nagle straciło smak. Nigdy nie zaznał takiej miłości we własnej rodzinie, a już z całą pewnością nie doświadczył jej od matki. Prawdę powiedziawszy, nikt go nigdy nie kochał.

Czy dlatego nie umiał wyjawic Bethany, co czuje? Czyżby rodzina tak bardzo go skrzywdziła, że te najpiękniejsze ze słów brzmiały w jego uszach jak niezrozumiały, obcy język?

- Idę o zakład, że panna Penny byłaby właśnie taka - ciągnął Twig. - Nie chciałbym,

żeby trafiła między anioły, to jasne, ale gdyby znalazła kogoś, pokochałaby go właśnie tak, z całego serca. Szczerze i otwarcie. Może pan pierwszy powinien jej wyznać miłość, dla pewności.

Mężczyzna położył dłonie na kolanach.

- Czemu, u licha, miałbym jej wyznawać miłość?

- Bo przysłała panu śniadanie, psze pana - wyjaśniał chłopiec cierpliwie. - Nie zrobiłaby tego, gdyby nie wpadł jej pan w oko. Teraz wystarczy, że powie jej pan, że ją kocha, ona się ucieszy i też panu powie, że pana kocha, i wszystko gra. A jeśli pan tego nie zrobi, to znajdzie się jakiś inny gość, po mojemu jakiś księżę albo lord, jeden z tych, co to grają w karty w jej domu. I jeśli ktoś pana uprzedzi, ona przepadnie, psze pana, i pan też.

- Jasne i proste - mruknął William zamyślony.

- No właśnie - potwierdził Twig i dla większego efektu pomachał ogryzioną kością kurczaka. - Ruszy pan sprawę z miejsca, a wtedy będzie pan miał więcej jedzenia niż Turek żon. Trzeba tylko wypowiedzieć to jedno słowo. Od tego się wszystko zaczyna.

Bethany z wdzięcznością sięgnęła po lemoniadę przyniesioną przez Pratta i rozejrzała się po prawie pustym salonie. Odgrywanie roli gospodyni Penny House wcale nie było tak trudne, jak jej się początkowo zdawało, zwłaszcza że tego wieczoru goście raczej nie dopisali. Dżentelmeni najchętniej przychodzili do klubu w połowie sezonu, a ci nieliczni, którzy zjawili się dzisiaj, byli nad wyraz wstrzemięźliwi. Nie wybuchały kłótnie o politykę, nikt nie awanturował się o kochanki, a wulgarne piosenki śpiewano nad wyraz cicho.

Rzecz jasna, Bethany nie próbowała dorównywać siostronom. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby wejść na krzesło i improwizować zabawne wierszyki, jak to kiedyś uczyniła Cassia, ale była dumna, że jak dotąd daje sobie radę pod nieobecność Amarii.

Poza tym już wkrótce miał się zjawić William.

- Pratt, jak Letty daje sobie radę w kuchni? - spytała bardziej niespokojnie, niż by sobie życzyła. - Wygląda na to, że dzisiejszego wieczoru gęś cieszy się szczególnym uznaniem. Kiedy sprawdzałam ostatnio, półmisek był prawie pusty. Mam nadzieję, że następna porcja jest w pogotowiu, nawet jeśli szykują już kuchnię do zamknięcia. Może zajrzę tam i sama sprawdzę, na wszelki wypadek?

- Za pozwoleniem, panno Penny, to niemożliwe - przemówił Pratt surowo. - Doskonale pani o tym wie, nie muszę więc przypominać, że dzisiejszego wieczoru ma pani sprawować pieczę nad gośćmi.

Bethany mimo wszystko tęsknie zerknęła w stronę schodów prowadzących do kuchni.

- Nikt nie zauważył mojej nieobecności, jeśli szybko wrócę - upierała się.

- Wszyscy od razu się zorientują, że pani nie ma - zagrzmiał, jakby wygłaszał wyjątkowo ponure prorocstwo. - A wówczas moim obowiązkiem będzie poinformowanie panny Amarii, że nie potrafiła pani należycie wypełnić obowiązków.

- A niech cię czarci, Pratt - burknęła, choć doskonale wiedziała, że miał rację. - I tak wiem, że nic byś nie wypaplał.

- Nie może pani tego wiedzieć, panno Penny. - Ukłonił się. - Natychmiast przekażę Letty pani uwagi dotyczące gęsi.

Dziewczyna uśmiechała się szeroko, patrząc, jak zarządca w staromodnej peruce sunie pomiędzy gośćmi. Siostry przejęły go wraz z Penny House i zgodnie uważały, że jest niezastąpiony na swoim stanowisku. Jego praca była równie ważna dla istnienia klubu, jak stoły do gry, choć zdarzało mu się zrzędzić bardziej niż starym pannom.

Zerknęła na zegar przy drzwiach - dochodziła pierwsza. Nic dziwnego, że sala była prawie pusta. Amaria poradziła jej, żeby mniej więcej o tej porze wybrała się do pokoiów gier, piętro wyżej, bo tam najdłużej przesiadywali goście. Powinna okazać im zainteresowanie, jak na właścicielkę klubu przystało, a po godzinie drugiej mogła udać się na spoczynek, o ile chciała. Niedługo przyjdzie William, a wtedy...

- Powiedziano mi, że tutaj panią znajdę, panno Bethany, ale musiałem się przekonać na własne oczy. - Porucznik Macallister chwycił ją za rękę i pochylił głowę. Bił od niego odór mocnego alkoholu. - Jak zwykle nie posiadam się z zachwytem.

- Dobry wieczór, panie poruczniku. - Panna Penny rozpostarła wachlarz i odgrodziła się nim od intruza niczym murem. - Czyżby dopiero teraz pan do nas dołączył?

- Cieszy się pani, że mnie widzi, panno Bethany? - Wpatrywał się w nią szklistym, zamglonym wzrokiem. - Bo ja się bardzo cieszę, że panią widzę. Można by rzec, z całego serca.

- W rzeczy samej - odparła obojętnie i niepewnie rozejrzała się po pokoju.

Byli sami, nawet strażnicy poszli na górę, żeby rzucić okiem na graczy. W razie konieczności mogłaby wezwać pomoc, ale tym samym przyznałaby się do utraty kontroli nad sytuacją i ostatecznie dowiodłaby, że nie sprawdziła się w roli zastępczyni Amarii.

Uśmiechnęła się zatem i z gracją cofnęła o krok, żeby zwiększyć dystans do Macallistera.

- Wiem, że dopisuje panu szczęście w kartach, panie poruczniku - zauważyła i wymownie spojrzała na schody. - Podobno w tej chwili toczy się u nas kilka wyśmienitych gier. Mogę przygotować specjalne miejsce dla pana, przy dowolnie wybranym stole...

- Nie chciałaś moich pereł - warknął z nieoczekiwaną poufałością i postukał palcem w order na piersi. - A ja jestem bohaterem. Odznaczono mnie za odwagę i waleczność. Potrafię być hojny, nie poskapię pieniędzy na powóz, konie, dom, służbę. Cholernie hojny ze mnie człowiek

- Wszyscy ogromnie doceniliśmy pański wkład w dobroczynną działalność Penny House - oznajmiła Bethany, przypomniawszy sobie, co mówiła Amaria: w rozmowie z gośćmi nie wolno tracić panowania nad sobą, bez względu na ich sugestie i propozycje.

Skrzywił się i pokręcił głową.

- Myślisz, że obchodzi mnie banda brudnych żebraków? Chcę ciebie i będę cię miał. Odetchnęła głęboko, ale wymuszony uśmiech nie zniknął z jej twarzy.

- Może ma pan ochotę coś przekąsić, panie poruczniku? Lekką kolację...

Macallister pożerał ją wzrokiem i zbliżył się na tyle, że w kącikach jego ust dostrzegła krople śliny.

- Zgrywasz się na elegancką damę, ale lubisz się zabawiać z obdartusami, co? Umawiasz się z nimi w ciemnym zaułku i używasz sobie z co brudniejszymi flejtuchami...

Pomyślała, że porucznik nie mógł jej przecież widzieć z Williamem, ale mimo to ogarnął ją strach.

- Ubodzy, którzy przychodzą do kuchennych drzwi Penny House, nigdy nie odchodzą z kwitkiem, panie poruczniku - powiedziała cicho.

- Pewnie, dajesz im znacznie więcej niż kwitek. - Jego oczy załśniły, gdy tłustym paluchem dotknął jej wachlarza. - Callaway ma pomieszane we łbie, nie wiedziałaś?

Podobno własny ojciec zamknął go w wariatkowie.

Mimowolnie wstrzymała oddech.

- Panie poruczniku, proszę się opamiętać.

- Ależ pamiętam i wiem, że rozkładałaś nogi przed tym chorym na głowę kulasem - rzekł agresywnie. - Chciałabyś, żeby twoi szlachetnie urodzeni goście poznali prawdę, co? Cnotliwa panna Penny zadziera kieckę w bocznej uliczce przed każdym śmierdziuchem, który jej się napatoczy. Ciekawe, co?

Wzburzona Bethany oddychała ciężko i kręciła głową.

- Wystarczy, panie poruczniku...

- Gdzie tam. - Napał na nią, dosłownie wciskając ją w kąt pokoju. - Widzisz, mogę trzymać język za zębami, ale musisz mi to wynagrodzić. Daj mi to, czego użyczyłaś Callawayowi, a wówczas się zastanowię.

Poczerwieniała i zachwiała się na nogach.

- Nie ma pan prawa tak się do mnie zwracać...

- Pijaki, złodzieje, obłąkańcy... W takich typach gustujesz, co? Ja cię nie podniecam.

- Otarł usta dłonią. - Dlatego zainteresowałaś się Callawayem. Wiedziałaś, że on żyje, choć ja uważałem go za martwego.

- Nie! - krzyknęła. - Nic nie wiedziałam!

- To zwykły obłąkaniec - wydyszał Macallister. - Powinien się leczyć w zakładzie zamkniętym z innymi pomyleńcami, a ty go obsługujesz, szmato...

- Dość! - odezwał się wysoki mężczyzna, który nagle stanął za porucznikiem i położył mu dłoń na ramieniu. - Ta pani nie ma ochoty na pańskie towarzystwo, podobnie jak inni.

Macallister bezskutecznie próbował się obrócić.

- A kim ty jesteś, u licha? - wymamrotał. - Czego się wtrącasz do mojej prywatnej rozmowy?

- Nazywam się Eliot Fitzharding, ksiązę Guilford, i nie życzę sobie niekulturalnego zachowania w salonie, a pan obraził nie tylko tę panią, lecz również mnie.

Po chwili zjawił się Pratt z dwoma strażnikami.

- Proszę o wybaczenie, wasza książecka mość, jeśli ten człowiek zachował się

nieodpowiednio.

- Zaraz ci wyjaśnię, Pratt, kto tutaj zachowuje się nieodpowiednio, i to nie jestem ja... - Zanim Macallister zdołał dokończyć zdanie, strażnicy wzięli go pod rękę i pospiesznie wyprowadzili z pokoju. Zarządca sumiennie podążył za nimi, żeby sprawdzić, czy niepożądany gość zostanie wyrzucony na ulicę.

Bethany odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić. Nie musiała się już obawiać porucznika, bo ordynarnym zachowaniem na zawsze zamknął sobie drzwi do klubu. Amaria uprzedzała ją, że niektórzy dżentelmeni mylą klub z burdelem, a on właśnie popełnił ten błąd.

- Jak się pani czuje, panno Penny? - spytał książę i wyciągnął ku niej rękę. - Czy mam posłać po pani pokojówkę?

- Dziękuję, wasza książęca mość, to nie będzie konieczne. Czuję się całkiem dobrze. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem i dygnęła. - Przykro mi z powodu tego incydentu. Przyszedł pan do klubu, żeby odpocząć, a nie bronić mnie przed napastnikami.

- Och, niekoniecznie - oświadczył i porozumiewawczo mrugnął okiem, czym wprowadził ją w lekkie zdumienie. - Pani siostra prosiła, bym pani strzegł, i chyba dobrze, że choć raz . zrobiłem to, o co mnie poproszono. Szczerze powiedziawszy, jestem wielbicielem panny Amarii i podziwiam jej stanowczość. Nie ma nic bardziej uroczego niż kobieta, która rozstawia wszystkich po kątach. Gdyby Jego Królewska Mość wysłał pani siostrę do Francji, by stawiała czoło Bonapartemu, wojna skończyłaby się w dwa tygodnie. Prosiłbym tylko, panno Bethany, żeby nie powtarzała jej pani moich słów, bo straciłaby dla mnie cały szacunek.

- Och, nie ośmieliłabym się, wasza książęca mość. - Roześmiała się, wyobraziwszy sobie Amarię w generalskim mundurze podczas inspekcji wojsk. Rzecz jasna, wiedziała, że książę usiłuje ją rozbawić, by zapomniała o Macallisterze, i była mu za to wdzięczna. - Siostra urwałaby mi głowę.

- Właśnie - potwierdził Fitzharding z powagą. - Mnie też. Panno Penny, proszę mi zdradzić, kim jest ten szczęśliwiec, którego obdarzyła pani względami?

Zarumieniła się, od razu pomyślałszy o Williamie.

- Chyba może mi pani powiedzieć - dodał łagodnie. - Nie powtórzę pani Amarii,

obietuję. Przez cały wieczór, za każdym razem, gdy spoglądałem w pani stronę, wypatrywała pani kogoś z nieskrywaną tęsknotą. Wieczór dobiega końca, więc niech mi pani wyjawí, o kogo chodzi.

Jej policzki poczerwieniały jeszcze bardziej.

- Nie mogę tego wyjawíć, nawet waszej książęcej mości. Nie chcę budzić niezdrowego zainteresowania klubowiczów skandalicznymi plotkami na swój temat.

- Skandalicznymi plotkami? - Wzniósł oczy ku niebu i pokręcił głową. - Nie jestem pani wiekową babką, panno Bethany, nie musi pani się obawiać, że dostanę ataku apopleksji. Cóż, nie będę wścibski. Może pani utrzymywać w sekrecie tożsamość tego łotrzyka. Miejmy tylko nadzieję, że i on będzie trzymał pani istnienie w tajemnicy przed żoną.

- Wasza książęca mość!

Tym razem to on się roześmiał i poklepał ją po ręce.

- No już, niech pani biegnie do swojego kochanka. Z pewnością nikt nie będzie mnie o panią wypytywał.

- Dziękuję, wasza książęca mość.

Nie potrzebowała jego pozwolenia, ale z uśmiechem dygnęła na pożegnanie.

Pobiegła po schodach na piętro, dyskretnie pożegnała się z gośćmi i niemal sfrunęła tylnymi schodami do kuchni, niczym pensjonarka po zakończonych lekcjach.

- Jak ci się udało przetrwać ten wieczór, Letty? - spytała od progu. - Czy wszyscy zachowywali się należycie?

- Oczywiście, panno Bethany. - Zmęczona kucharka otarła ręką czoło. W kuchni pozostał jeszcze tylko jeden służący, który wycierał i odstawiał wielkie półmiski, a także jeden ze strażników Fewlera, drzemiący na stołku przy drzwiach. Paleniska zostały już zabezpieczone, a niewykorzystane produkty schowane w chłodnej spiżarni. Talerze pozostawione na górze zwykle zbierano i zmywano z rana.

- Nawet gdyby ktoś sprawiał problemy, poczciwy Pratt rozprawiłby się z nim szybko, bo co rusz tutaj zaglądał i sprawdzał, czy wszystko w porządku.

- Sama kazałam mu przychodzić, na wszelki wypadek. Świetnie sobie poradziłaś, Letty, ogromnie ci dziękuję.

- To ja dziękuję, panno Bethany - odparła, zadowolona z pochwały. - Powinno mi wystarczyć pieniędzy na jutrzejsze zakupy.

Dziewczyna skinęła głową. Pomyślała, że po raz pierwszy od czasu otwarcia Penny House nie wybierze się sama do Covent Garden po żywność. Chciała pozostać jak najdłużej z Williamem i nie wyczekiwać nerwowo świtu.

- Letty, skoro tak wcześnie musisz wstać, to chyba powinnaś już iść do łóżka. Sama zamknę drzwi.

- Ja tego dopilnuję, proszę pani - ziewnął strażnik i zsunął się ze stołka. - To mój obowiązek.

- Zamykałam drzwi na długo przed tym, nim pan się tutaj pojawił. - Panna Penny położyła wachlarz na stole. - Niech pan idzie spać, ja zamknę kuchnię.

Mężczyzna otworzył usta, żeby zaprotestować, ale tylko ziewnął, pożegnał się i powlókł schodami na górę. Służący ruszył w ślad za nim.

- Może jednak pani pomoże? - zawahała się kucharka. - Pięknie pani wygląda, a tutaj tak łatwo się pobrudzić.

- Jeżeli się czymś wysmaruję, sama dam sobie radę z usunięciem plamy. - Bethany uściskała ją. - Dobranoc, Letty, śpij dobrze.

Gdy ucichł odgłos kroków odchodzącej kobiety, panna Penny przejrzała się w wypolerowanym garnku i poprawiła fryzurę. W niebieskiej sukni i naszyjniku bardziej przypominała swoją siostrę niż siebie. Miała nadzieję, że Williamowi nie będzie przeszkadzała ta odmiana.

Zdjęła klucze z haczyka, otworzyła drzwi i wyszła na dwór.

- Williamie? - zawołała cicho. Poprosiła, żeby przyszedł późno, więc mógł się jeszcze nie zjawić. - Williamie?

Kątem oka dostrzegła poruszający się cień i odwróciła się w chwili, gdy mężczyzna porwał ją w ramiona. Zaśmiała się z radością, pocałowała go, znowu wybuchnęła śmiechem i popatrzyła mu w twarz.

- Jak długo na mnie czekasz, kochany? - wyszeptała. Był umyty i ogolony, a gęste, ciemne włosy zaczesał do tyłu.

Callaway tylko się uśmiechnął. W bladym świetle latarni jego oczy wydawały się

poważne jak nigdy dotąd.

- Jak długo na ciebie czekam? - powtórzył. - Całe życie, dziewczyno. Całe życie.

- Och... - szepnęła oszołomiona. - Och, Williamie, nie wiem, co powiedzieć...

- Kocham cię, Bethany - oznajmił uroczystym, pełnym emocji głosem. - To wszystko. Kocham cię.

Rozdział trzynasty

William otworzył oczy i dopiero po paru sekundach zorientował się, że nie jest u siebie. Świeciło słońce, a wśród czerwonych kwiatów w skrzynce za oknem leniwie brzęczała pszczoła. Delikatna pościel pachniała lawendą i miłością, a gdy się obrócił, jego ręka spoczęła na nagim biodrze Bethany Penny.

- Kocham cię, Williamie - wymamrotała i kusząco otarła się o niego plecami. - Mój jedyny...

- Ja też ciebie kocham - wyznał szeptem. Wciąż zdumiewało go, że jedno proste słowo może tyle zmienić w życiu człowieka.

Miłość. Dotąd zawsze ją odrzucał, uważał za tani i sentymentalny wymysł rodem z marnych romansów. Bethany wszystko zmieniła. Zaufała mu, on odwzajemnił się jej tym samym, a potem do głosu doszła magia miłości. Najchętniej nie wychodziłby z jej sypialni, odgrodził się grubym murem od niebezpieczeństw i bolączek świata, a na koniec umarł jako najszcześniejszy z ludzi. -

Odgarnął jej włosy i ucałował miejsce tuż za uchem. Już się przekonał, że to jeden z najczulszych, najwrażliwszych punktów na mapie jej ciała.

Westchnęła i uśmiechnęła się, lecz nie otworzyła oczu.

- Sądziłam, że chciałbyś pospać dłużej.

- Ustaliliśmy, że zostaniemy w łóżku tak długo, jak zechcemy. - Pogłaskał ją po biodrze. - Ani słowem nie wspomnieliśmy o spaniu.

- Ha! - Przetoczyła się na plecy i otworzyła oczy. W wieczornym pośpiechu zapomniała zdjąć naszyjnik, który w promieniach słońca lśnił teraz na jej pokrytym jasnymi piegami dekolcie. - Jesteś przebiegły.

Pochylił się nad nią i pocałował ją.

- Podobasz mi się w tych klejnotach. Wyglądają jak brylanty.

- Prezentują się znakomicie, prawda? - Wydeła usta i przechyliła głowę, udając, że się wdzięczy. - Wyobraź sobie, ile by kosztowały, gdyby były prawdziwe.

- Zaslugujesz na najprawdziwsze brylanty - odrzekł i pomyślał, że któregoś dnia ją zaskoczy.

- Miło, że tak mówisz, Williamie - odparła cicho, najwyraźniej uznawszy jego słowa za przejaw czystej uprzejmości.

- Cóż, brylanty nie są mi potrzebne do szczęścia i na pewno nie oczekuję ich od ciebie.

Objęła go za szyję i przyciągnęła, żeby ponownie ją pocałował.

- I jak, panie majorze, podoba się panu miejsce, w którym pan aktualnie przebywa? - spytała, gdy po chwili ich usta się rozdzieliły.

Udał, że uważnie się rozgląda, a Bethany roześmiała się głośno.

- Jako żołnierz muszę przyznać, że dostrzegam odrobinę zbyt dużo kwiatów - oświadczył i udał, że krzywi się z niesmakiem na widok róż na tapecie. - Za to karmią tu całkiem przyzwoicie.

- Och, doprawdy? - Na znak protestu lekko stuknęła go pięścią w klatkę piersiową. - Zatem jestem dla ciebie tylko kucharką?

- Najlepszą na świecie - obwieścił stanowczo. - Na dodatek ofiarną, skoro w środku nocy byłaś gotowa przynieść mi specjalnie zastawioną tacę prosto z kuchni.

- Chciałam cię pokrzepić przed wzmożonym wysiłkiem fizycznym - wyszeptała. - Zresztą, gdybym czekała aż do śniadania, wszyscy w kuchni zorientowaliby się, że mam gościa w pokoju.

Przesunęła palcem po jego bliznach. William nadal nie był w stanie uwierzyć, że nie budzą w niej obrzydzenia.

- Moim zdaniem i tak już się domyślili, maleńka. Poza tym będę musiał kiedyś opuścić twój pokój.

- Skoro się domyślają, to trudno. - Zachichotała. - O ile nie masz nic przeciwko temu, rzecz jasna.

W odpowiedzi objął ją i trzymając w ramionach, przetoczył się na plecy. Twarz dziewczyny nagle znalazła się nad jego twarzą, a jej włosy otoczyły ich niczym spleciona miedziana zasłona.

- Zaufaj mi - szepnął.

- Williamie, zawsze ci ufałam - wyznała.

Kochali się powoli, ostrożnie, aż w końcu on przyspieszył i gdy Bethany krzyknęła z rozkoszy, także on dokończył dzieła.

Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek czuł się tak szczęśliwy. Teraz już nie potrafił sobie wyobrazić życia bez niej, choć nadal nie zdecydował, co powinien uczynić, żeby ją przy sobie zatrzymać.

- Kocham cię, a ty kochasz mnie. Nic więcej się nie liczy - szepnął.

- To prawda - odrzekła. Ze zdumieniem dostrzegł w jej oczach łzy. - Jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie.

Macallister opadł na największy fotel w czytelni klubu u White'a i demonstracyjnie rozpostarł przed sobą gazetę. Nie życzył sobie żadnych rozmów z innymi dżentelmenami i na szczęście wyglądało na to, że nikt się specjalnie nie kwapi do zabawiania go pogawędką. Znajomi wyraźnie go unikali. Odwracali wzrok, gdy nadchodził, milkli, gdy go widzieli.

Wszystko przez tę ladacnicę Bethany Penny. Gdyby go nie prowokowała ostatniej nocy w klubie, nie straciłby panowania nad sobą i nie zachował się tak, że teraz cały Londyn nie mówi o niczym innym. Plotki rozpuścił książę Guilford, to pewne.

Jeszcze nie otrzymał listu od właścioelek klubu, lecz Pratt zapowiedział, że to tylko kwestia czasu. Porucznik wiedział, że wkrótce oficjalnie utraci członkostwo i otrzyma dożywotni zakaz wstępu do Penny House, nawet w charakterze osoby towarzyszącej. Liczył na to, że ten skandal, podobnie jak wiele innych w Londynie, za kilka dni zostanie zapomniany. W stolicy roilo się od domów gier, które z ochotą przyjmą go w swoje progi. Teraz łatwiej będzie mu polować na Bethany, gdyż nie będą go ograniczały idiotyczne zasady panujące w jej klubie. Nie wątpił, że wkrótce dziewczyna będzie należała do niego. Nawet najcnotliwsza kobieta ma swoją cenę, a Macallister zamierzał podbijać stawkę aż do skutku.

Niepotrzebnie wspomniał o Callawayu. Co go podkusiło, żeby wymieniać to nazwisko? Guilford na pewno wszystko usłyszał i dobrze zapamiętał. Gdyby teraz majora spotkał jakiś przykry wypadek, książę od razu przypomni sobie nienawistną tyradę Macallistera.

Zamknął oczy, próbując się skupić. Może przesadzał? Przecież ta przekłeta Bethany była taka jak inne kobiety - do tego stopnia skoncentrowana na sobie, że niewiele do niej docierało. Pewnie już zapomniała o tym, co mówił o Callawayu, podobnie jak Guilford, który ruszył jej na pomoc, gdyż zapewne miał ochotę trafić dzięki temu do jej łóżka.

Porucznik machinalnie pogłaskał order na mundurze, przyznany mu za odwagę. Z czymś takim na piersi na zawsze pozostanie bohaterem. Już nikt nie nazwie go małym tchórzem.

Tak, stanowczo przesadzał. Przecież nie miał się czym martwić. Powinien pozostać przy pierwotnym planie i przesunąć majora na szczyt listy. Właściwie pozostało na niej zaledwie trzech mężczyzn, a gdy pozbędzie się Callaway, usunięcie ostatnich dwóch nie nastręczy mu żadnych trudności.

Wówczas już nikt nigdy nie zdradzi jego tajemnicy.

- Panno Bethany, za pozwoleniem, czy moglibyśmy zamienić słowo? - Zarządca stał nieruchomo w holu. - Najlepiej od razu, jeżeli ma pani chwilę...

- Oczywiście - zgodziła się z uśmiechem. Klub miał być otwarty dopiero za kwadrans, więc byli całkiem sami i mogli swobodnie rozmawiać. - O czym chciałbyś ze mną pomówić, Pratt?

- Chodzi o pewną delikatną sprawę - zaczął. - Przykro mi, że panią kłopotę, ale należy ją rozważyć jeszcze przed powrotem panny Amarii.

- Jakiż to problem cię trapi? - spytała i ponownie spojrzała do lustra, żeby poprawić białe pióro we włosach. - Odniosłam wrażenie, że wszystko idzie gładko, z wyjątkiem nieszczęsnego incydentu z porucznikiem Macallisterem.

- Pan porucznik już nie będzie sprawiał nam problemów. - Mężczyzna wbił wzrok w wypolerowane czubki butów. - Mam na myśli co innego. Ta kwestia budzi niepokój zarówno personelu, jak i pana Fewlera, a chodzi o dżentelmena, który późną nocą odwiedził pokoje domowników.

Bethany mimowolnie poczerwieniała.

- Nie sądziłam, że moje osobiste sprawy są przedmiotem zainteresowania całego domu - oznajmiła i pomyślała, że William przewidział tę sytuację. - Chyba mam prawo do prywatności?

Pratt wydawał się równie zakłopotany jak ona.

- Ogromnie mi przykro, panno Penny. Gdyby to zależało wyłącznie ode mnie, nigdy nie poruszyłbym tego tematu, ale pan Fewler troszczy się o pani bezpieczeństwo i spokój w klubie. Jego zdaniem chodzi o tego samego mężczyznę, który napastował panią w parku.

- Napastował? - oburzyła się. - Spacerowaliśmy pogrążeni w rozmowie, ani razu nie zboczyliśmy z uczęszczanych alejek. Nie doszło do żadnego napastowania!

- Proszę mi wybaczyć, panno Penny, naprawdę ogromnie mi przykro. Rzecz w tym, że zdaniem pana Fewlera pani znajomy nie jest całkiem godny szacunku ani też pani względów. Poza tym może się okazać niebezpieczny.

- Pratt, sama decyduję, z kim się spotykam, żaden śledczy nie będzie mi dobierał towarzystwa. Poza tym dżentelmen, o którym mowa, jest byłym oficerem królewskiej armii, godnym szacunku człowiekiem honoru.

Zarządca ze zboląłą miną popatrzył jej w oczy.

- Z zalem muszę panią poinformować, że pan Fewler ma co do tego wątpliwości, podobnie jak do charakteru rzeczzonego dżentelmena i szczerości jego słów w sprawie służby królowi. On się obawia, że upatrzył sobie panią niegodziwiec, który żeruje na pani...

- Dość, Pratt, ani słowa więcej. - Odwróciła się raptownie. - Zechciej przekazać panu Fewlerowi, że charakter tego dżentelmena ani trochę mnie nie razi i w jego towarzystwie nic mi nie grozi. Poinformuj również innych, że tym samym uważam temat za zamknięty i nie życzę sobie dalszych komentarzy odnośnie do moich spraw prywatnych.

Ruszyła do wyjścia, ale zarządca chwycił ją za rękę i zatrzymał. Jeszcze nigdy wcześniej nie zdobył się na tak poufały gest.

- Panno Bethany, ostatnie pytanie. Czy panna Amaria wie o tym... człowieku i jego odwiedzinach w pani pokojach? Jeśli wie i nie ma nic przeciwko pani spotkaniom z nim, to i ja będę całkiem spokojny.

Dziewczyna popatrzyła na wachlarz w dłoni. Jeżeli chciała nadal spotykać się z

Williamem, musiała go przedstawić siostrze, i to jak najszybciej.

Westchnęła ciężko.

- Obiecuję, że o wszystkim jej powiem, gdy tylko wróci. Będzie o wszystkim wiedziała jeszcze przed jutrzejszą kolacją.

Callaway pogwizdywał.

Ponieważ przyczepił się do niego jakiś marsz, machinalnie wczuł się w rytm i zaczął defilować, zupełnie jakby Bowden Court było jego prywatnym placem parad. Najbardziej zdumiewające było to, że w ogóle gwizdał. Od dwóch lat w jego życiu nie wydarzyło się nic, co mogłoby go skłonić do radosnego gwizdania. Rzecz jasna, jego nastrój poprawiła panna Penny.

Dzisiejszy powrót jej siostry położył się cieniem na ostatniej nocy, więc gdy po raz ostatni kochali się w łóżku Bethany, William starał się być dla niej wyjątkowo czuły. Potem zaproponował, że powita Amarię u jej boku, ale odmówiła, twierdząc, że musi to zrobić sama, dla dobra siostry. Nie rozumiał tej decyzji, ale ją uszanował w przekonaniu, że w końcu i tak pozna Amarię Penny, jak również Cassię i Richarda Blackleyów.

Pogwizdywał, gdy wchodził po schodach, otwierał drzwi do mieszkania i zdejmował kapelusz.

Obok łóżka stała Portia.

- Dlaczego znowu tutaj przysłaś, do diaska? - jęknął, a jego dobry nastrój prysnął w mgnieniu oka. - Chyba jasno dałem ci do zrozumienia, że nie zamierzam przykładać ręki do waszych knoń.

- Ja również życzę ci dobrego dnia, Williamie - powitała go.

- Jakie to szczęście, że twoja gospodyni jest mi bardziej przychylna niż ty, kochany braciszku.

- Nie ma prawa wpuszczać cię tu bez mojego zezwolenia.

- Usiadł na krześle przy biurku, jak najdalej od siostry. - Tylko nie wmawiaj mi, że przysłaś bez powodu. Chcesz czegoś, wiem o tym dobrze.

Odchyliła głowę i pogłaskała perły na szyi.

- Zmądrzałeś z wiekiem, braciszku. Nie zaprzeczam. Rzeczywiście, bez konkretnego celu na pewno nie zawitałabym do tej okolicy. - Sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej

kremowy kartonik. - Weź. Oto powód mojej wizyty. Ciotka Helen zaprasza rodzinę do łoż w Vauxhall z okazji zaręczyn naszej kuzynki Sary z jakimś tam markizem. Twoja obecność jest oczekiwana.

- Rodzina. - Zerknął na zaproszenie i odrzucił. - Portio, prawie wcale nie pamiętam tej twojej kuzynki, a to, co zapamiętałem na temat ciotki Helen, wyjątkowo odstręcza mnie od przyjscia na tę imprezę.

- Kiedy ostatnio byłeś w Vauxhall? - spytała, zignorowawszy odrzucone zaproszenie. - Tam jest tak uroczo tandetnie. Wszyscy ci czeladnicy i kapelusznicy, którzy udają lepszych, niż są...

- I to ma mnie skłonić do przyjscia?

- W każdym razie ja się zjawię razem z moim biednym Andrew.

- Z mężem? Paradne. - William podwinął rękawy koszuli. - Portio, naprawdę nie wierzę, że...

- Ojciec też przyjdzie - dodała z kamienną twarzą. - Chciałby się z tobą spotkać.

Callaway odchylił się na krześle i wbił wzrok w sufit.

- Ale po co? - jęknął. - Żeby mnie przekonywać do ślubu z tą biedną, upośledzoną dziewczyną?

- Ta sprawa jest już zamknięta. - Markiza machnęła lekceważąco ręką. - Rodzina twojej niedosłej narzeczonej straciła cierpliwość i wyswatała ją z innym.

Ziewnął szeroko, nie zaprzatając sobie głowy zakrywaniem ust.

- Jeśli nie będziesz się streszczać, Portio, zasnę na twoich oczach i nie zdążę cię wysłuchać.

- Ojciec chce cię widzieć.

- Niby po co? Zastanawia się, który dom wariatów dla mnie wybrać?

- Ależ skąd. - Westchnęła. - On źle się miewa, Williamie. Ma przed sobą może rok życia, więc pragnie się z tobą pojednać.

- Jak inwalida z inwalidą?

- Cicho, nie prowokuj awantur. - Zmarszczyła brwi. - Wyjaśniłam mu, jakie postępy poczyniłeś, i dodałam, że powracasz do zdrowia.

- Nigdy nie powrócę do zdrowia - burknął, pomyślawszy o bliznach, które na zawsze

oszczędziły jego ciało.

- Przecież od razu widać, że z tobą lepiej - zauważyła stanowczo. - Nie chodzi tylko o nogę. Jesteś szczęśliwszy, spokojniejszy, nie wściekasz się na cały świat. Z miejsca to spostrzegłam.

Doskonale znał powody tej przemiany, jednak nie zamierzał opowiadać o nich siostrze.

- Lekarze twierdzą, że to długotrwały proces.

- Medycyna nie ma z tym nic wspólnego. - Zamyśliła się. - Chodzi o tę dziewczynę, co? Jak jej tam... Panna Penny, prawda? Nic tak nie poprawia samopoczucia mężczyzny jak rozładowanie napięcia przy zaspokajaniu kobiety.

William westchnął ciężko.

- Tak, to prawda - przyznał. - Bethany Penny całkiem mnie odmieniła.

- A niech to, zakochałeś się! - Portia zrobiła wielkie oczy. - Nie sądziłam, że dożyję tego dnia.

- Fakt, kocham ją - potwierdził, choć jeszcze nie przyzwyczał się do wypowiedziania tego słowa na głos. - I nigdy nie przestanę.

- Jestem wstrząśnięta - oznajmiła szczerze. - Mam nadzieję, że ta dziewczyna doda ci skrzydeł. Trochę o nią rozpytywałam, więc wiem, że to dzielna i wytrwała kobieta. Nie sądziłam, że ma coś wspólnego z Penny House. Powiadają, że ten klub doskonale prosperuje. Ciężko ci będzie ją stamtąd wyłuskać.

- Jeszcze nie zdecydowałem, czy w ogóle spróbuję - westchnął. - Wątpię, by chciała odejść z Penny House.

- Pewnie, że nie będzie chciała, jeśli zaproponujesz jej życie w tej norze.

- Nie proponuję.

- W każdym razie możesz ją przyprowadzić dzisiaj wieczorem. - Sięgnęła po zaproszenie i ustawiła je na wąskiej półce nad kominkiem. - Obiecuję, że osobiście zadbam o to, aby wszyscy zachowywali się jak należy.

- Wykluczone - odparł z niesmakiem. - Należyte zachowanie członków naszej rodziny jest niedopuszczalnym zachowaniem dla reszty świata. Wątpię, żeby Bethany była na to gotowa.

- Oczywiście, że jest. Przecież mnie już zna i jakoś żyje, prawda? - Obróciła się do wyjścia. - Obiecay, że się zastanowisz, przez wzgląd na ojca, siebie i swoją uroczą, małą pannę Penny. Jeżeli ma cię pokochać tak, jak na to zasługujesz, to musi dowiedzieć się więcej o tobie, a zatem także o twojej rodzinie.

Pokręcił głową, ale w duchu przyznał jej rację. W końcu musiał przedstawić Bethany rodzinie. Nie zamierzał jednak prowadzić jej na spotkanie w Vauxhall - spotkanie z Portią to jedno, a konfrontacja z ojcem i stadem drapieżnych ciotek to zupełnie co innego.

Po chwili doszedł do wniosku, że chyba powinien skorzystać z zaproszenia.

Może miłość odmieniła go do tego stopnia, że gotów był ponownie zobaczyć się z ojcem? Gdyby cokolwiek poszło nie po jego myśli, z pewnością będzie mógł się ulotnić i nikt tego nie zauważy, a w dodatku zdąży dotrzeć do Penny House, nim Bethany zamknie klub.

- Nie przyjdziemy razem - oznajmił. - Nie zrobię jej tego. Usta Portii wykrzywiły się w triumfalnym uśmiechu.

- Ale sam przyjdiesz, tak?

Westchnął ciężko, uświadomiwszy sobie, jak sprytnie go podeszła.

- Od początku to sobie zaplanowałaś, co?

- Owszem - przyznała bez żadnej skruchy. - Na wojnie i w miłości wszystkie chwytysą dozwolone.

- Przynajmniej w gronie Callawayów - westchnął z rezygnacją.

- Zwłaszcza zakochanych Callawayów. - Mrugnęła do niego porozumiewawczo.

Rozdział czternasty

Kiedy przyjechał powóz z Greenwood Hall, panna Penny wałkowała ciasto w kuchni. Była tak zajęta, że nie usłyszała terkotu kół.

- Bethany! - Amaria zarzuciła jej ręce na szyję, nie zważając na pył z mąki, który osiadł na jej podróżnym płaszczu.

- Och, króliczku, tak bardzo się cieszę, że jestem już w domu. Nawet nie wiesz, jak za tobą tęskniłam!

- Ja za tobą też. - Dziewczyna wyściskała siostrę. - Jak tam Cassia, odzyskała już siły?

- Sama ją spytaj. - Amaria odwróciła się ku schodom. - Teraz jest trochę bardziej ostrożna, nic poza tym.

- Cassia! - Bethany objęła ją na powitanie. - Jakże się cieszę, że widzę was obie! Wcale nie wyglądasz na chorą. Dlaczego Richard narobił takiego zamieszania?

Amaria prychnęła wymownie.

- Bo jest niemądrym, nadopiekuńczym mężem, a poza tym jedynym sprawcą jej rzekomej choroby.

- Wcale nie jest niemądry, po prostu się przejmuję. - Cassia rozwiązała wstążki od kapelusza. - Dlatego jeszcze nie wyjawiałam mu tej nowiny. Nie chcę, żeby przesadzał.

Bethany wstrzymała oddech.

- Więc naprawdę jesteś w ciąży? Nie masz pojęcia, jakie to dla mnie szczęście! Cieszę się za siebie i za Richarda!

- Dziękuję, kochana. - Siostra nadstawiła jej policzek do pocałowania.

- Właśnie dlatego ją przywiozłam - zauważyła Amaria i objęła Cassię. - Tutaj zapewnimy jej ciszę i spokój, a poza tym wkrótce nie będzie mogła podróżować. Pomyśl tylko, Betts. Pierwsze dziecko wśród sióstr Penny!

Najmłodsza z nich miała nadzieję, że jak na razie jedyne. Pospiesznie podsunęła ciężarnej krzesło.

- Usiądź koniecznie - zakomenderowała. - Czy rankami jest ci niedobrze? Czy chcesz się napić herbaty z cytryną, jak zawsze? A może masz ochotę na coś innego, choćby na mleko z miodem?

- Wystarczy, Betts - roześmiała się Cassia, ale usiadła na krześle. - Zachowujesz się jak Richard. Tak, poproszę o filiżankę herbaty, ale przede wszystkim interesują mnie nowiny z Penny House. Opowiedz mi o najświeższych skandalach. Kto kogo obraził? Kto stracił majątek przy stoliku?

- Tak, koniecznie musisz nam wszystko opowiedzieć. - Amaria przysiadła na brzegu stołu, podjadając wiśnie w cukrze. - Pratt sugerował, że pod moją nieobecność doszło tutaj do jakichś wyjątkowo dramatycznych zdarzeń.

- Przesadza jak zwykle, dobrze go znasz. - Bethany sięgnęła po wałek, żeby zająć czymś ręce. Doskonale wyczuwała, że służba kuchenna nadstawiała uszu w oczekiwaniu na sensację. Bez wątplenia wszyscy wiedzieli o Williamie, a także o jej obietnicy złożonej zarządcy.

- Podczas twojej nieobecności panował spokój - zaczęła w miarę obojętnym tonem i jednocześnie zabrała się do rozwałkowywania ciasta. Doskonale pamiętała o zobowiązaniu, ale postanowiła porozmawiać z siostrą bez świadków. - Jedyne zdarzenie graniczące ze skandalem dotyczyło porucznika Macallistera. Skorzystał z nieobecności innych klubowiczów, podszedł do mnie i powiedział mnóstwo rzeczy, których nie powinien był mówić.

- Słyszałam o tej sprawie i przykro mi, że do tego doszło. - Amaria dotknęła jej ręki. - Dzięki Bogu lord Guilford przyszedł ci z pomocą, tak jak się zobowiązał. Opisał całą sytuację w liście do mnie.

- Doprawdy? - Bethany przypomniała sobie nagle, że księżę wydawał się pozostawać w całkiem bliskich relacjach z jej starszą siostrą. - Dlaczego wcześniej mi o nim nie wspomniałaś?

Amaria zarumieniła się lekko ku jej bezbrzeżnemu zachwytowi.

- Lord Guilford jest bardzo miłym i inteligentnym dżentelmenem, to wszystko - oświadczyła pospiesznie. - Często dotrzymuje mi towarzystwa, kiedy w pokoju brakuje trzeźwych gości.

- Ponadto jest księciem i mężczyzną nieprzeciętnie atrakcyjnym - zauważyła Cassia z uśmiechem. - Słyszałam, że świetnie sobie radzi w Izbie Lordów. Idealny kandydat na męża!

- Nie bądź niemądra. - Rumieniec na policzkach Amarii wyraźnie się pogłębił. - Musimy po prostu dbać o Penny House, dlaczego miałabym zaprzętać sobie głowę takimi głupstwami?

- Sama pomyśl: księżę Guilford. - Siostra pokręciła głową z niedowierzaniem. - Może spotkamy go dzisiaj w Vauxhall.

- W Vauxhall Gardens? - zdziwiła się Bethany. - Wybierasz się do Vauxhall?

- My wszystkie się wybieramy - oznajmiła Amaria. Tym razem to ona była

zadowolona ze zmiany tematu. - Pojedziemy we trzy otwartym powozem i będziemy się świetnie bawić, jak kiedyś, gdy otwierałyśmy klub i chciałyśmy rzucać się dżentelmenom w oczy.

Cassia pokiwała głową.

- Poza tym wrócimy dość wcześnie, bo ostatnio wieczorem szybko robię się senna, więc będziemy w klubie podczas największego ruchu. Nie mogę się doczekać występu orkiestry tańców, fajerwerków... I to razem z wami! Czy wyobrażasz sobie coś przyjemniejszego?

- Skąd - odparła Bethany cicho i pomyślała, że być może, po raz ostatni jedzie z siostrami na taką imprezę. Zamierzała przy tej okazji znaleźć sposobność, żeby opowiedzieć im o Williamie. Czy tego chciała, czy nie, jej życie zmieniło się nie do poznania.

Callaway opuścił pokład łodzi, która przetransportowała go na drugi brzeg rzeki, i dołączył do tłumu ludzi wspinających się po schodach prowadzących do Vauxhall Gardens.

Portia zadbała o to, by podczas spotkania z ojcem nie wyglądał jak ubogi krewny. Przysłała do Bowden Court służącego z jego starymi wieczorowymi strojami, a William wstrzymał oddech na widok swoich galowych mundurów, z wypolerowanymi guzikami, ozdobnymi epoletami i błyszczącymi sznurami. Dotąd był pewien, że ojciec sprzedał całe jego wyposażenie.

Powoli szedł w kierunku orkiestry, wiedząc, że jego rodzina zawsze zajmowała łożę w najbardziej wyeksponowanym miejscu. Ojciec lubił rzucać się w oczy i uwielbiał czytać o sobie w plotkarskich rubrykach gazet oraz być obiektem zazdrości. Właśnie dlatego kulawy, na wpół obłąkany syn nie pasował do jego wizji udanego życia.

- Williamie! - zawołała Portia ubrana w pomarańczową suknię i pomachała mu chusteczką. - Tu jesteśmy!

Nie miał już odwrotu. Powoli zbliżył się do łoża, wszedł po kilku stopniach i stanął przy długim stole. Członkowie rodziny wbili w niego wzrok, lecz on zauważył wyłącznie ojca, który siedział u szczytu, pyszny niczym król na tronie.

- Co zrobiłeś z laską, chłopcze? - spytał stanowczo, jakby nie potrafił się zdobyć na inne powitanie syna. Siostra utrzymywała, że ojciec miewał się nie najlepiej, ale zdaniem

William był taki jak zawsze, butny i arogancki, z czerwoną twarzą, siwymi włosami oraz jasnymi oczami. - Nie dość, że okulałeś, to jeszcze ogłuchłeś?

- Nie potrzebuję już laski, ojcze. - Nie zamierzał siadać bez zaproszenia głowy rodziny, choć Portia dawała mu rozpaczliwe znaki, żeby zajął miejsce przy stole. - Cieszy mnie twoja niezwykła spostrzegawczość. Rzeczywiście, przyszedłem o własnych siłach.

- Piekielnie nieuprzejmie się do mnie zwracasz, młodzieńcze. - Przy stole zapadła grobowa cisza. - W armii nie nauczyli cię szacunku dla lepszych od ciebie?

- Nauczyli, ojcze. Poza tym dowiedziałem się, że sam muszę myśleć za siebie.

- Czy dlatego odrzuciłeś narzeczoną, którą ci wybrałem? - spytał stary markiz i skrzywił się. - Ładna istota z okazałym majątkiem.

- Wolę sam wybrać sobie żonę.

- Zdecydowałeś się zatem umizgiwać do pospolitej dziewczki z kasyna, co?

- Panna Penny nie jest pospolitą dziewczką - odparł William. - Poza tym wolę mieć za żonę kobietę, która mnie kocha.

- Miłość - wycedził starzec z pogardą. - Daleko na niej nie zajdziesz.

- Dzięki niej zaszedłem dalej, niż kiedykolwiek marzyłem. - Ukłonił się lekko. - A teraz zaprowadzi mnie ona w zupełnie inne miejsce niż to, ojcze. Miłego wieczoru, drogie panie.

- Mowy nie ma, młodzieńcze. - Markiz wstał, zachwiał się i przytrzymał stołu.

William po raz pierwszy zauważył u niego słabość, o której wspomniała Portia. - Zatem jesteś zdecydowany wziąć z nią ślub?

- Jeżeli mnie zechce, ojcze.

- Też coś. - Arystokrata uderzył otwartą dłonią w blat. - Oczywiście, że cię zechce, jeśli okażesz jej zainteresowanie. A teraz chodź tu i siadaj obok mnie. Siadaj, powiedziałem!

William się zawahał. Mógłby najzwyczajniej w świecie unieść się honorem, odejść i już nigdy nie oglądać twarzy, których ani trochę mu nie brakowało. Przez wzgląd na miłość do Bethany postanowił jednak okazać ojcu odrobinę tolerancji. Nie czekając na kolejne wezwanie, podszedł do starego markiza, który ciężko opadł na krzesło. William poszedł za jego przykładem i wśród zebranych natychmiast zapanowało wesołe ożywienie.

Starzec pochylił się ku synowi i dźgnął go palcem w ramię, żeby zwrócić na siebie jego uwagę.

- Czy ta twoja krzepka kobieta z pospólstwa chce się rozmnażać? Da ci potomstwo? Wiele z tych dobrze urodzonych damulek, w których żyłach płynie herbata zamiast krwi, nie ma pojęcia o swoich powinnościach. Dość spojrzeć na twoją siostrę. Gdyby w ogóle zaszła w ciążę, to stawiam pięćdziesiąt gwinei, że nie z mężem.

- Jest jak najbardziej skłonna mieć dzieci, ojcze - oświadczył młody Callaway. - Jej ojciec był wiejskim pastorem i dobrze ją wychował.

- Córka pastora? - Oczy starego markiza rozbłysły. - Pobożne kobiety zawsze są najbardziej lubieżne, kiedy się je przysposobi. Do dzieła zatem i rozmnażaj się, ile wlezie.

Nieco osłupiały William napił się wina, a jego ojciec zaśmiał się chrapliwie.

- Potrzebuję więcej wnuków - oznajmił nieoczekiwanie. - Wiedziałeś, że ostatniej wiosny twój brat stracił troje potomstwa? Dziewczynkę i dwóch chłopców.

- Nie miałem pojęcia - wykrztusił jego syn wstrząśnięty i zdumiony, że Portia ani słowem nie wspomniała o tym dramacie.

- Ospa. - Starzec pokręcił siwą głową. - Został tylko jeden chłopak. Dobrze, że tym łotrom nie udało się zabić ciebie. Sprzedałem twoje stanowisko w pułku, żeby cię chronić, chłopcze. Załamałbym się, gdybyś tam wrócił. Hiszpanie cię okaleczyli i nie mogłem dopuścić do tego, żeby dokończyli robotę. - Na sekundę położył dłoń na ręce Williama. Dla przygodnego obserwatora byłaby to oznaka przywiązania i przychylności, lecz on ponownie poczuł się jak przedmiot, prywatna własność markiza. - Zatemżeń się z tą swoją jurną dziewczuchą i wypełnij jej brzuch najszybciej, jak się da. Bądź mężczyzną, jak na Callawaya przystało. Niech da ci synów, a potem wyślemy ją gdzieś na wieś, a gębę zapchamy pieniędzmi. Teraz natomiast powiedz temu cholernemu kelnerowi, czy wolisz szynkę, czy pieczeń.

William ani przez moment nie pomyślał o kolacji.

- Nie mów tak o Bethany, ojcze - warknął. - Będzie moją żoną i masz ją należycie traktować.

- Nie bądź idiotą - prychnął markiz. - Obaj wiemy, że mężczyźni żenią się tylko z jednego powodu.

- Żenię się z miłości - wyjął młody człowiek, z trudem panując nad emocjami. - Tylko to się dla mnie liczy.

- Zatem jesteś skończonym durniem. Co za brednie! Teraz żałuję, że nie zamknąłem cię w wariatkowie.

- Lepiej czułbym się tam niż w tej rodzinie. - William wstał gwałtownie.

- Siadaj, cholera - zaklął ojciec. - Przynajmniej publicznie nie rób z siebie kretyna.

Młody Callaway pochylił głowę.

- Nie zamierzam dłużej wysłuchiwać twoich impertynencji, ojcze. Żegnam.

Odwrócił się, nie czekając na odpowiedź i odszedł z myślą, że im szybciej poprosi pannę Penny o rękę, tym lepiej.

- To na pewno nasza loża, Amario. - Bethany wskazała wachlarzem ostatni pusty stół z widokiem na orkiestrę.

- Niewątpliwie - zgodziła się siostra i wszystkie trzy przeszły przez parkiet ku zarezerwowanym miejscom. Po chwili siedziały już w eleganckiej loży i przypatrywały się zebranym.

- Och, Betts, spójrz! - zawołała nagle Cassia. - Tam idzie sprzedawczyni fiołków, wiesz dobrze, jak uwielbiam ich zapach. Czy mogłybyśmy ją jakoś przywołać? Te fiołki są takie śliczne!

- Nie usłyszysz nas, muzyka jest za głośna - oceniła dziewczyna i sięgnęła po torebkę. - Sama pójde i kupię ci bukietek.

Zbiegła po schodkach i ruszyła wzdłuż skraju parkietu, lecz w pewnym momencie musiała przystanąć, bo na jej drodze stanęli dwaj kelnerzy z wózkiem pełnym wina.

- To przyjęcie markiza Beckhama - odezwał się jeden z nich do drugiego. - Tym to na niczym nie zbywa. Ciągle chcą wina, żeby wznosić toasty na cześć panny młodej, tej z jasnymi lokami.

Drugi kelner sięgnął po dwie butelki.

- A więc ten wojskowy to pan młody?

- Skąd, to syn markiza. Takie bogate przystojniaki mają kobiet na pęczki, co?

Bethany z ciekawością zerknęła na mężczyznę, którego wskazywał kelner i wspięła się na palce. Niezbyt dobrze widziała ukrytą w cieniu twarz młodzieńca, ale wydał się jej

dziwnie znajomy. Uznała, że to pewnie jeden z gości klubu, towarzyszący kiedyś któremuś z członków, i już chciała ruszyć na poszukiwania kwiaciarki z fiołkami, kiedy tamten się odwrócił. Momentalnie rozpoznała przystojną twarz, którą kochała nad życie.

Nagle ogarnął ją strach, że tak naprawdę wcale nie zna człowieka, którego obdarzyła uczuciem.

William zamrugał oczami. Czy to była Bethany? Co ona robi w Vauxhall, u licha? Przecież powiedziała mu, że się tu wybiera.

Nagle odwróciła się i przepadła w tłumie, a on momentalnie rzucił się na jej poszukiwanie. Chciał ją znaleźć i oświadczyć się jej od razu, bez zbędnej zwłoki. Po chwili gorączkowej bieganiny dostrzegł ją, gdy z bukietem fiołków wchodziła do jednej z łóż.

- Bethany! - Chwycił ją za rękę i delikatnie obrócił ku sobie. - Jesteś tu, ukochana. Tak bardzo się cieszę...

Opuściła wzrok.

- Jak ty wyglądasz? - spytała łamiącym się głosem. - Jesteś taki dostojny, masz piękne ubranie, błyszczącą szablę... Czy naprawdę jesteś moim Williamem, czy też raczej synem markiza Beckhama?

- Tylko to cię niepokoi? - Uśmiechnął się. - Od kogo wiesz, kim jest mój ojciec?

- Mimowolnie usłyszałam rozmowę kelnerów - wyznała. - Wymieniali uwagi na temat twojej rodziny w łoży. Williamie, czy to prawda?

- Obawiam się, że tak. - Westchnął z goryczą. - Callawayowie to niegodziwa banda, ale nie ma powodu, żeby...

Urwał, kiedy tuż obok zasyczała rakietka i wystrzeliła wysoko w niebo, żeby po sekundzie eksplodować deszczem iskier. Ludzie niemal jednocześnie unieśli głowy i zaczęli wznosić okrzyki radości.

William rozpromienił się i spojrzał na Bethany.

- Patrz, dziewczyno. Fajerwerki, a ja nic! Nic a nic! Możesz w to uwierzyć?

- Sama nie wiem, w co wierzyć - jęknęła. - Byłam pewna, że jesteś ubogim człowiekiem o czystej duszy, wolnej od chciwości i żądzy władzy, tymczasem niczym się nie różnisz od dżentelmenów z Penny House. Jak można ci ufać, skoro nie powiedziałeś mi nawet, kim jesteś...

Odwróciła się, zasłaniając usta dłonią.

- Bethany, to nie tak! - Łagodnie obrócił ją do siebie. - Kocham cię i pragnę, byś została moją żoną. Wyjdiesz za mnie?

Po jej policzkach spłynęły łzy.

- Nie mogę, Williamie - zaszlochała. - Teraz, po dzisiejszym wieczorze, to już niemożliwe...

Zanim zdołał ją powstrzymać, umknęła w tłum, pozostawiwszy po sobie tylko kilka płatków fiołków.

Rozdział piętnasty

Następnego wieczoru William po raz pierwszy wszedł po białych schodach prowadzących do frontowych drzwi Penny House. Rankiem przysłał list, który mu zwrócono z nienaruszoną pieczęcią, podobnie jak drugi i trzeci, wysłane po południu. Zjawił się zatem osobiście.

Włożył ciemny wieczorowy strój zamiast oficcerskiego munduru, żeby nic nie odwracało jego uwagi od wyznaczonego celu. Armia należała do przeszłości, Bethany zaś do przyszłości. W przeciwieństwie do innych dżentelmenów, którzy zjawiali się w klubie w towarzystwie przyjaciół, William przyszedł sam, nie śmiał się też ani nie żartował jak pozostali, ciesząc się spodziewanym sukcesem przy karcianym stole. Jego sprawa była śmiertelnie poważna, a co do sukcesu - cóż, nie miał podstaw, by wierzyć, że bez wątpienia go odniesie.

- Dobry wieczór panu - powiedział siwowłosy mężczyzna i ukłonił się. - Czy jest pan członkiem klubu?

Callaway pokręcił głową. Miał zapewne do czynienia z osławionym Pratem. Tak wiele o nim słyszał od panny Penny, że miał wrażenie, iż są starymi znajomymi.

- Och. - Wyraz twarzy zarządcy nie zmienił się ani na jotę. - A zatem jest pan gościem członka klubu, tak? - pytał dalej.

- Nazywam się William Callaway, lord major Callaway - przedstawił się przybysz. - I jestem znajomym panny Bethany.

Pratt zawahał się tylko na moment, który najwyraźniej wystarczył mu do oszacowania stroju oraz manier gościa, a także do osądzenia, czy można wierzyć jego słowom w kwestii tytułu i rangi.

- Przekażę panie Penny, że pan się zjawił, wasza lordowska mość. Tędy proszę - oznajmił i zaprowadził mężczyznę do niewielkiego gabinetu, niewiele większego od schowka, po prawej stronie holu.

William nie musiał zbyt długo czekać. Drzwi za jego plecami się otworzyły, więc szybko się odwrócił, spodziewając się ujrzeć Bethany, lecz natychmiast się rozczarował. Elegancka młoda kobieta, która się do niego uśmiechała, była niezwykle do niej podobna - miała identyczny kolor włosów, takie same rysy twarzy, wzrost i figurę. Mimo to bardzo się różniły w trudny do określenia sposób.

- Dobry wieczór, wasza lordowska mość, i witamy w Penny House. - Z uśmiechem wyciągnęła do niego dłoń. Na jej szyi lśnił ten sam naszyjnik ze sztucznych brylantów, który miała na sobie Bethany w całkiem innych okolicznościach. William przypomniał je sobie, choć myślenie o nich w tej chwili było zdecydowanie niewskazane. - Wiele o panu słyszałam od mojej siostry, wasza lordowska mość - ciągnęła kobieta, dzięki Bogu nieświadoma jego skojarzeń. - Chociaż śmiem twierdzić, że znacznie więcej przemilczała.

- Doprawdy? - Czy mogła wygłosić bardziej niejednoznaczną uwagę? Cóż takiego, u licha, powiedziała jej Bethany? A czego jej nie powiedziała? - Czy mam przyjemność rozmawiać z panną Amarią Penny?

- Wasza lordowska mość, proszę wybaczyć to faux pas. Nie wiem, jak mogłam się nie przedstawić. - Żartobliwie klepnęła się w policzek. - W rzeczy samej, mam na imię Amaria i jestem siostrą Betts. Bardzo się cieszę, że w końcu pan do nas zawitał. Wiem, że nie jest pan jeszcze członkiem Penny House, mimo to mam nadzieję, że dzisiejszego wieczoru będzie się pan dobrze bawił i czuł się u nas jak u siebie w domu.

- To niezwykle uprzejme z pani strony, panno Penny. - Nie zamierzał jej informować, że już wcześniej czuł się w jej domu, niemal jak u siebie i doskonale się bawił. - Ale przyszedłem zobaczyć się z pani siostrą.

- Tak, wasza lordowska mość? - Jej półuśmiezek był nad wyraz enigmatyczny. - O tej porze zwykle jest zajęta obowiązkami w kuchni.

- Wiem, że można ją wezwać na górę, żeby się ze mną spotkała.

- Ja również to wiem - odparła Amaria. - Żadne z nas nie wie jednak, czy moja siostra zechce stawić się na wezwanie.

- Dlaczego jest pani przesadnie troskliwa?

- Troska leży w mojej naturze, wasza lordowska mość. Nieoczekiwanie uśmiechnęła się szerzej. - Nie mamy rodziców, którzy wskazywaliby nam drogę, a Bethany jest najmłodsza z nas trzech. Doskonale pamiętam popołudnie, w którym przyszła na świat.

- Teraz jednak jest dorosłą kobietą i nie sędzę...

- Jeśli zechce się z panem spotkać, wasza lordowska mość, wtedy przyjdzie na górę jak najszybciej.

Była irytująco spokojna. Jej zachowanie nie mogłoby się bardziej różnić od impulsywnego sposobu bycia Bethany. Może właśnie dlatego ta druga wolała przebywać w kuchni, z dala od klubu.

- Mam wrażenie, że często pani powtarza te słowa, panno Penny - zauważył William ostrzej, niż zamierzał, na co Amaria pytająco uniosła brew.

- To dlatego, że moja siostra ma licznych adoratorów, wasza lordowska mość - odparła. - Gdyby odrywała się od gotowania, by poświęcać im wszystkim swój czas, wtedy głodowałibyśmy tu, na górze. A teraz proszę mi wybaczyć, muszę się zająć innymi gośćmi.

- Nie, u licha, jeszcze nie. - Stał przed nią, blokując jej drogę. Nie spodobało mu się, że został zredukowany do jednego z członków grupy licznych wielbicieli Bethany. - Twierdzi pani, panno Penny, że siostra mówiła pani o mnie. - Nie potrafił ukryć rozdrażnienia w głosie. - Co teraz do mnie czuje? Czy nadal mnie kocha, tak jak przysięgała?

- A czy pan ją kocha, wasza lordowska mość? - Uśmiech kobiety zniknął, teraz jej oczy były zimne jak lód. - Moim zdaniem to pytanie jest o wiele ważniejsze. Czy kocha ją pan tak, jak na to zasłużyła, czy tylko jej pan pożąda?

- Co ona pani nagadała, psiakrew?

- Szczerze mówiąc, powiedziała niewiele - przyznała Amaria. - Znam ją jednak na tyle dobrze, by się domyślić, czego nie mówi. Jesteście kochankami, prawda?

- Tak - oznajmił. - Kocham ją i, owszem, dzieliliśmy łożę, a teraz pragnę, żeby

została moją żoną. Czy powiedziała to pani?

Wyraźnie zdumiona kobieta powoli pokręciła głową.

- Poprosił ją pan o rękę?

- Odmówiła - oświadczył z goryczą. - Ofiarowałem jej wszystko, co mam, ale jej to nie wystarczyło. Psiakrew, teraz nawet nie chce mnie widzieć.

Amaria zmarszczyła brwi.

- A jednak wierzę, że i ona pana kocha, i to całym sercem - powiedziała po namyśle.

- Więc dlaczego nie chce się ze mną spotkać?

- Najlepiej będzie, jeśli sam ją pan o to zapyta, wasza lordowska mość. -

Westchnęła. - Przyprowadzę ją do pana. Musi przestać się ukrywać i rozwiązać ten problem dla dobra was obojga. Może pan poczekać tu w samotności albo dołączyć do innych w pomieszczeniach publicznych.

Minęła go z cichym szelestem jedwabiu i wyszła. William zaklął pod nosem i ruszył za nią do pięknego saloniku pełnego potraw i drinków, gdzie grono dżentelmenów rozmawiało przy kieliszku.

Nikt go chyba nie rozpoznał, choć zauważył kilka dyskretnych ciekawskich spojrzeń. A niech patrz, niech gadają - nie tak często mieli okazję widzieć człowieka, który powrócił zza grobu. Callaway poczęstował się szklaneczką porto z karafki stojącej na kredensie i raz jeszcze poklepał kieszonkę kamizelki, żeby upewnić się po raz setny, iż maleńkie pudełeczko od jubilera wciąż w niej spoczywa.

Miał nadzieję, że Bethany przyjmie brylanty, prawdziwe brylanty, gdyż właśnie na takie zasługiwała.

- Wasza lordowska mość?

William odwrócił się niechętnie i stanął twarz w twarz z mężczyzną o włosach powleczonych brylantyną.

- Jeśli można, pragnąłbym zamienić słówko z waszą lordowską mością - odezwał się nieznajomy usłudze. - Nazywam się Fewler i jestem odpowiedzialny za porządek w Penny House. Wiem, że dla dżentelmena pokroju waszej lordowskiej mości będzie to zapewne szok, ale w mieście grasuje niegodziwiec, najgorszy sort żebraka, który posługuje się pańskim nazwiskiem.

- Doprawdy? - Zniecierpliwiony Callaway zerknął na drzwi, nie mogąc się doczekać Bethany. Dlaczego jeszcze nie przyszła, do diaska? Czyżby był dla niej mniej ważny od placka czy piezzonego kurczęcia?

- Tak, wasza lordowska mość - odparł Fewler, kołysząc się na piętach. - Żebrak miał czelność pukać tu do drzwi kuchennych, w tych swoich szmatach, i wykorzystywać dobroć tych zacnych dam.

- Ach, o tego typka chodzi - mruknął William. - Dobrze go znam.

- Naprawdę, wasza lordowska mość? - Oczy Fewlera błysnęły. - Może zatem zechciałby mi pan pomóc w...

- Nie teraz - przerwał mu Callaway. W drzwiach nieoczekiwanie pojawiła się Bethany w towarzystwie lokaja, który przyprowadził ją z kuchni. Pospiesznie wycierała dłonie w fartuch, zaróżowiona od ciepła bijącego z pieca. Jej prosty czepek i lniana suknia prezentowały się nadzwyczaj skromnie na tle tych wszystkich jedwabnych kamizelek licznych dżentelmenów.

Nigdy nie wydawała mu się bardziej urocza.

Już po chwili stał tuż przed nią. Jęknęła cicho, ale się nie wycofała, jedynie zacisnęła dłonie na fartuchu, aż pobiełały jej kostki.

- Bethany - powiedział. - Musimy porozmawiać, moja mała. Uniosła brodę i zacisnęła wargi.

- Siostra nie wspomniała, że tu jesteś.

- Przyszłabyś, gdybyś to wiedziała?

- Nie - odparła bez chwili wahania. - Z pewnością nie.

A niech to. Bardzo nie chciał tego usłyszeć.

Rozmowy w pomieszczeniu ucichły, a wszystkie głowy obróciły się w ich kierunku. William był pewien, że jutro cała londyńska śmietanka towarzyska nie będzie mówiła o niczym innym przy śniadaniu. Ledwie zdawał sobie sprawę z obecności Amarii, która stała u boku Bethany. Z drugiej strony stanęła inna rudowłosa piękność, zapewne jej druga siostra Cassia.

Po co przyszły? Chronić ją? Ofiarować jej wsparcie? Sprawić, by to, co miał powiedzieć, było pięć tysięcy razy trudniejsze, niż i tak musiało być?

- Powinien pan stąd odejść, wasza lordowska mość. - Chłodne zachowanie dziewczyny przypomniało mu boleśnie jak bardzo pobiłdził. - Proszę odejść. Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

- Ależ mamy, Bethany. - Sięgnął do kieszonki i drżącymi palcami wyciągnął stamtąd pudełeczko. Z trudem je otworzył i wyciągnął przed siebie dłoń, żeby zobaczyć pierścionek zaręczynowy z brylantem i szafirami.

I rzeczywiście jej spojrzenie powędrowało do puzderka z klejnotem. Jedna z jej siostr jęknęła, jednak wyraz twarzy ukochanej dziewczyny nie zmienił się ani na jotę.

Niezrażony William zrobił krok naprzód.

- Bethany. - Odchrząknął w poszukiwaniu właściwych słów. - Panno Penny. Wie pani, jak bardzo panią kocham i szanuję, Wie pani, że jest nie tylko moją kochanką, ale także najdroższą przyjaciółką, i uczyni mi największy zaszczyt, oddając mi swą rękę. Co ty na to, Bethany? Wyjdiesz za mnie?

Odpowiedziała równie błyskawicznie.

- Jak mogłabym poślubić człowieka, którego w ogóle nie znam? - Wyciągnęła rękę i zamknęła pudełeczko, po czym popatrzyła mu w oczy. - Bardzo mi przykro, Williamie, ale moja odpowiedź brzmi: nie.

Nie chciał, nie mógł uwierzyć, że to się tak skończy.

- Bethany, proszę, poczekaj, pozwól, że...

- Przestań, Williamie. Po prostu przestań. - Z wyraźnym wysiłkiem dygnęła i uciekła.

Pierścionek ciążył mu w dłoni niczym ołów. Tak samo jak serce w piersi.

Dwa dni później Bethany kroїła chleb na kuchennym stole, kiedy nagle weszła Amaria i położyła przed nią kartkę papieru.

- Właśnie nadeszło. Do ciebie - oznajmiła. - Sam przyniósł ten list pod drzwi.

- Niepotrzebnie marnował czas. - Dziewczyna czubkiem ostrza odsunęła list. - Trzeba mu było to powiedzieć.

- Już poszedł - odparła siostra. - Wątpię, by miał jakieś szczególne oczekiwania po tym, jak odesłałaś jego poprzednie listy.

- Wobec tego nie zdziwi się, kiedy otrzyma również i ten - mruknęła Bethany. - Poproś jednego z lokajów, żeby od razu go odniósł.

- Ale list jest cały w okruszkach - zauważyła Amaria. - William będzie miał dowód, że go widziałaś.

- Nic mnie to nie obchodzi. - Panna Penny pokroiła cały chleb i włożyła kromki do koszyka, by rozdać je do zupy.

- Nie zdoła mnie przekonać, ty zresztą również nie.

Starsza siostra z westchnieniem skrzyżowała ręce na piersi i oparła się o stół.

- Skoro jest tak, jak utrzymujesz, moja droga - zaczęła - to może mi wyjaśnisz, dlaczego twoje oczy są czerwone i opuchnięte? Skoro ci nie zależy, dlaczego w ogóle zadajesz sobie trud zwracania mu tych listów? Czemu po prostu nie ciśniesz ich do ognia i nie przestaniesz o nich myśleć?

Bethany zwiesiła głowę, usiłując ukryć łzy, które w tym momencie napłynęły jej do oczu.

- Zasłużył na to, żeby wiedzieć, co czuję - rzekła, pociągając nosem.

- Ten biedak zasłużył na szansę złożenia ci wyjaśnień w cztery oczy, Betts. - Tym razem Amaria postanowiła zignorować łzy siostry. - Zawsze szczyciłaś się tym, że jesteś bezstronna i sprawiedliwa. Teraz jednak nie jesteś ani trochę w porządku wobec człowieka, o którym jeszcze nie dawno mówiłaś, że kochasz go całym sercem.

- Tak było, nim ujawnił swoją prawdziwą naturę.

- O tak, prawdziwa natura. - Siostra pokiwała głową. - Słyszałam o wielu kobietach, które zrywały z kochankami, kiedy okazywało się, że ich fortuna jest znacznie szczuplejsza, niż utrzymywali w chwili namiętności. Ty, Betts, jesteś zapewne pierwszą kobietą w historii, która odrzuca względy dobrego człowieka, bo okazuje się, że jest on w posiadaniu większych dóbr, niż dał ci do zrozumienia.

- Tłumaczyłam ci już przecież, że nie to jest powodem. Zerwałam z jego lordowską mością, gdyż nie był... Nie był wobec mnie szczery. - Odłożyła nóż i zaczęła szperać w kieszeni fartucha w poszukiwaniu chusteczki. Z furią otarła nią oczy.

- Zwiódł mnie, wygadywał nonsensy na swój temat i zrobił ze mnie idiotkę. Udawał biedaka, ubierał się tak, jakby nie miał grosza przy duszy.

- A jednak i tak się w nim zakochałaś - zauważyła Amaria.

- William Callaway poprosił cię o rękę, Bethany. To nie żarty ani głupstwo. To

bardzo, bardzo poważna sprawa, i nie chodzi tylko ciebie. A jeśli nosisz w łonie jego dziecko? Czy to biedne niewinne stworzenie nie zasłużyło na to, by jego rodzice byli sobie poślubieni?

- Nie jestem aż taką ignorantką, Amario!

- Więc przestań zachowywać się tak, jakbyś była! Myślę, że jego determinacja powinna ci jakoś zrekompensować urażoną dumę.

Dziewczyna wydmuchwała nos. Czowała się ogromnie nieszczęśliwa.

- Nie chodzi tylko o urażoną dumę. Całkowicie mu zaufałam, a on nie ufał mi nawet na tyle, by zdradzić swój tytuł.

- Ale zdradził ci rzeczy o wiele ważniejsze, prawda? - spytała siostra cicho. - Czy nie mówił ci o bardzo bolesnych, ponurych sprawach, które dotąd trzymał tylko dla siebie?

- Dlaczego zatem nie zdradził mi, kim jest? - Bethany nerwowo szarpała chusteczkę.

- Skoro opowiedział mi tyle o wojnie, dlaczego nie mówił nic o swojej rodzinie?

Amaria delikatnie poklepała ją po ręce.

- Nie każdemu dani są tacy rodzice, jakich my miałyśmy, króliczku. Musisz o tym pamiętać. Tytuł i fortuna nie są gwarancją szczęśliwego domu rodzinnego.

- Nadal jednak nie rozumiem, dlaczego....

- Bądźże cicho, póki nie skończę - oświadczyła starsza siostra stanowczo. - Wojna wzbudza lęk i przerażenie, i chwala każdemu, kto zdoła ją przeżyć. Co jednak, jeśli rodzina i rodzinny dom są gorsze od bitwy? Jak człowiek miałby się do tego przyznać bez poczucia, że sam jest za to odpowiedzialny?

Bethany zapatrzyła się na swoje dłonie. Myślała o tym, jak niewiele William mówił o swoim dzieciństwie, a także o tym, że zawsze zmieniał temat albo milczał, gdy o nie pytała. Przypomniała sobie, jak bardzo zaszokowało ją zachowanie jego siostry.

- Mówisz, że William ogromnie się troszczył o swoich ludzi - ciągnęła Amaria. - Być może doszedł do wniosku, że są o wiele więcej warci niż jego krewniacy. Pewnie właśnie dlatego mieszka tam, gdzie mieszka, i ubiera się biednie.

- Och! - westchnęła Bethany łamiącym się głosem, myśląc nad słowami siostry. - Tak długo trwało, nim wyznał mi uczucie! Jakby nikt nigdy go nie kochał, jakby nawet nie potrafił wypowiedzieć tych słów.

- Lecz mimo to dwa dni temu wypowiedział je głośno przy wielu świadkach - przypomniała jej siostra. - Być może nie słuchałaś, ale naprawdę to powiedział. Tylko dla ciebie nauczył się najbardziej niebezpiecznego dla mężczyzny słowa i tego, co ono oznacza. Dla ciebie jednej. - Położyła przed dziewczyną list. - Decyzja należy do ciebie, ja nie zamierzam ci mówić, co masz robić. Możesz go poślubić, możesz odrzucić. Pamiętaj jednak, że ojciec zawsze nam powtarzał, byśmy myślały o innych, a nie tylko o sobie. Jeśli rzeczywiście kochasz Williama, tak jak mówisz, pomyślisz też o nim.

Amaria pocałowała siostrę w czubek głowy i wyszła. Bethany wpatrywała się w list od ukochanego. Gdy napisał do niej po raz pierwszy - czy to możliwe, by od tego czasu minęły zaledwie dwa tygodnie? - była tak szczęśliwa, że omal nie zaczęła tańczyć z radości, a przed snem wsunęła list pod poduszkę.

Teraz, w tym najświeższym liście, otworzył przed nią serce, ona jednak nie mogła się zmusić do tego, by go przeczytać. Wpatrywała się w swoje imię wypisane jego charakterem pisma, wyobrażając sobie Williama przy biurku, z piórem w dłoni.

A może w tym liście wcale nie prosił jej o rękę, lecz cofał oświadczyzny? Przecież Amaria powiedziała, że przyniósł go i od razu odszedł, nie czekając na odpowiedź. Z wahaniem dotknęła kartki i wyobraziła sobie, jak ukochany schodzi ze schodów, nie odwracając się za siebie. A jeśli nigdy więcej go nie ujrzy? A jeśli odepchnęła go od siebie na zawsze i już nigdy nie usłyszy jego śmiechu, nie poczuje ust na swoich wargach?

A jeśli go utraciła?

Nie chodziło tylko o to, że myślała przede wszystkim o sobie. W ogóle nie wzięła pod uwagę jego uczuć, właśnie tak jak mówiła Amaria. Bethany powiedziała wcześniej, że William zrobił z niej idiotkę, teraz jednak spostrzegła, że sama zrobiła z siebie największą idiotkę świata.

Sięgnęła po list, póki jeszcze starczało jej odwagi, i złamała pieczęć.

- Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, panno Penny - usłyszała nagle pełen wahania głos kucharki. - Czy mam zacząć wydawanie zupy? Strażnik jeszcze nie przyszedł, ale czeka długa kolejka ludzi, i jeśli nie zaczniemy teraz, to...

- Już idę, Letty. - Szybko wsunęła list do kieszeni razem z chusteczką, żeby przeczytać go później, po czym zarzuciła na ramię kosz z chlebem. - Człowiek pana

Fewlera może do nas dołączyć w każdej chwili. Nikt nie lubi zbyt długo czekać, gdy jest głodny.

Letty miała rację. Kolejka była długa, wychodziła z podwórza aż na aleję, a ludzie czekali cierpliwie, kiedy zacznie się wydawanie posiłków. Bethany była zadowolona, że może się oderwać od ponurych myśli. Z wymuszonym uśmiechem wydawała posiłki, zupełnie jakby list Williama nie wypalał jej dziury w kieszeni.

Nie mogła się powstrzymać od zerkania na koniec kolejki. Tam zwykle stawał i czekał, aż wszyscy zostaną nakarmieni, i dopiero wtedy podchodził do niej. Raz za razem przyłapywała się na tym, że tęsknie wypatruje znajomego zniszczonego kapelusza i wytartego płaszcza. Jakaś część niej na próżno liczyła na to, że może zdołaliby wrócić do tego, co było kiedyś.

- Dziękuję, kochaniutka, dziękuję. - Staruszka o imieniu Maude uśmiechnęła się do niej bezzębnymi ustami, ściskając miskę z zupą. - Panienko, szykuje się nowy ślub w Penny House, co?

- Nowy ślub, Maude? - zapytała Bethany pozornie spokojnym głosem, napełniając następną miskę. - Skąd ci to przyszło do głowy?

- Na targu o niczym innym nie gadają - oznajmiła kobieta, zachwycona, że poświęca się jej tyle uwagi. - Mówią, że się pani wyda za jakiegoś wielkiego lorda. Ponoć prosił panią o rękę tu, w Penny House, przed innymi eleganckimi panami.

- Więc powinni dokończyć tę historię, Maude, i powiedzieć ci, że odrzuciłam oświadczyzny. - Pomyślała, że William musiał czuć się okropnie upokorzony tym, iż w mieście nie mówi się o niczym innym, tylko o odrzuconej małżeńskiej propozycji. - Nie będzie żadnego ślubu.

- Nie może pani wyjść za mąż - odezwał się nagle Twig, następny w kolejce. - Kto by się nami zajął, gdyby pani wyszła za jakiegoś gościa i wyjechała?

- No właśnie, kto? - Westchnęła ze smutkiem. - Witaj, chłopcze. Jak ci się wiedzie?

- Nie najlepiej i nie najgorzej, panno Bethany - odparł, skubiąc czapkę. - Ale dziękuję, że pani pyta. Widziała pani pana Williama, panienko? Od paru dni go nie ma.

- Nie słyszałeś nowin, Twig? Twój znajomy jest lordem, młodszym synem markiza Beckhama.

- No nie! - wykrzyknął z entuzjazmem młodec. - Jest prawdziwym lordem?

Dziewczyna pokiwała głową.

- Przechytrzył nas oboje, prawda?

- Lord, coś takiego - zadumał się chłopiec. - Kto by pomyślał?

- Panno Bethany! - krzyknął rudowłosy mężczyzna w zielonej kurtce stojący na skraju podwórza. Wszyscy w kolejce odwrócili się i spojrzeli na niego. - Panno Bethany, prędko! Mój przyjaciel, którego pani właśnie nakarmiła, ma torsję! Zwija się, jakby go otruto!

Otruto. To słowo rozniosło się po całym podwórzu, powtarzane z przerażeniem i paniką. W jednym momencie wszyscy zaczęli uciekać, zupełnie jakby owa rzekoma trucizna ich gonila, a ci, którzy dopiero otrzymali posiłek, z brzękiem upuszczali swe miski na ziemię. Dzieci płakały, wyczuwając strach dorosłych, jakaś kobieta przeraźliwie krzyczała.

- Nikt nie został otruty! - zawołała Bethany. - Proszę, proszę was! Przysięgam, że to jedzenie jest bezpieczne!

Nikt jej jednak nie słuchał, przerażony tłum gnał do furtki ile sił w nogach.

- Letty, idę do tego chorego - oznajmiła panna Penny. - Ty tu zostaniesz.

- Nie może pani iść sama! - zaprotestowała kucharka. - Proszę poczekać na strażnika!

Bethany biegła już jednak po opustoszałym podwórzu, omijając kałuże rozlanej zupy i upuszczone jabłka. Widok tej bezsensownej straty po prostu ją rozwścieczył. Doskonale wiedziała, że jej jedzenie nie zostało zatrute, więc postanowiła znaleźć mężczyznę, który ją o to oskarżył. Nie mogła dopuścić do tego, by zrujnował ją i Penny House. Wybiegła za bramę i rozejrzała się dookoła.

- Tutaj, panno Bethany, tutaj! - Mężczyzna w zielonej kurtce wołał ją z zaułka, zza stosu beczek, gorączkowo wymachując rękami. - Mój przyjaciel tu leży i bardzo cierpi!

Przyspieszyła kroku. Przywołujący ją pojawił się dziś na jej podwórzu po raz pierwszy. Zastanawiała się, czy rozpozna jego chorego przyjaciela, który zapewne zatrut się nadmiarem dżinu lub innego trunku. Tak czy inaczej, postanowiła mieć na niego oko. Jak tylko mu się polepszy, zmusi i jego, i tego w zielonej kurtce, by zeznali, że to nie

jedzenie w Penny House im zaszkodziło.

- Anioł z pani, że pani przyszła - rzekł nieznajomy. W jego oczach widniał strach, a czoło było zroszone potem. Musiał bardzo się przejmować stanem zdrowia swojego kompana. - Nigdy nie widziałem, żeby ktoś aż tak cierpiał - dodał.

- Zobaczmy, co da się zrobić, by mu ulżyć. - Dziwne, że nie słyszała żadnych jęków. Co za stoicki spokój, pomyślała. Minęła mężczyznę w zielonej kurtce i weszła za beczki. - Zrobię, co w mojej mocy, by panu pomóc, ale... Co to ma znaczyć?

Za beczkami nie czekał nikt, kto potrzebowałby jej pomocy. Zauważyła tylko jakiegoś dryblasza, który skoczył w jej kierunku. Krzyknęła i próbowała uciec, ale ten drugi natychmiast ją złapał. Jego wspólnik wetknął jej do ust szmatę śmierdzącą zepsutą rybą. Mimo to Bethany walczyła, próbując się wyrwać, aż nagle poczuła silny cios w tył głowy.

Otoczyła ją ciemność i już nic nie czuła.

Rozdział szesnasty

William w starym kapeluszu naciągniętym na czoło powoli wędrował wzdłuż szeregu okaleczonych byłych żołnierzy, którzy czekali na resztki z kolacji wydawanej poprzedniego wieczoru u burmistrza.

- Który okręt, przyjacielu? - zapytał i cierpliwie wysłuchał przydługiej opowieści ślepego marynarza. Gdy ten skończył, Callaway wcisnął mu w rękę kilka moment. Był hojny, ale dobrze wiedział, że dla tego nieszczęśnika równie ważne jak pieniądze jest to, żeby ktoś wysłuchał go ze współczuciem i zainteresowaniem. - Uważaj na siebie, przyjacielu - powiedział cicho, poklepał ślepcę po ramieniu i ruszył dalej, do następnego weterana.

Zachowywał się jak zawsze, jak gdyby nic się nie zmieniło, choć w rzeczywistości zmieniło się wszystko. Przez cały czas myślał o tym, co zaszło między nim a Bethany, jak bardzo mu pomogła. Nie sprawiła, że zapomniał - to nie byłoby możliwe ani też wcale by tego nie chciał - ale pomogła mu uwolnić się od wstydu i cierpienia. Po raz pierwszy od lat widział przed sobą przyszłość.

Przede wszystkim jednak panna Penny nauczyła go miłości. Najgorsze było to, że

odeszła, nim zdołała mu powiedzieć, jak się od tego uczucia wyzwolić.

Z goryczą pomyślał o pierścionku, który dla niej kupił. Teraz leżał na biurku, gdzie William cisnął go tamtej nocy - niechciany, odrzucony tak samo jak jego ofiarodawca. We wszystkich balladach i baśniach należało próbować trzy razy, prawda? Dlaczego zatem ona odepchnęła go nawet nie trzy, a cztery razy? Tego nie mógł pojąć. Nigdy nie zamierzał jej wodzić za nos, udawać, że jest kimś innym, niż naprawdę był, a jednak nie pozwoliła mu niczego wytłumaczyć. Wielka szkoda!

Jęknął i zwiesił głowę. Musiał zapomnieć. Wyciągnął rękę ku następnemu jednonogiemu mężczyźnie o kulach.

- Który pułk, przyjacielu?

- Psze pana, psze pana, tu pan jest!

Twig rzucił się na niego i mocno go przytulił. William z trudem ukrył uśmiech.

- Co cię tu sprowadza, chłopcze? To nie twoja okolica.

- Ja... Ja pana szukałem. - Malec z trudem chwycił oddech.

- Stało się coś okropnego, potrzebujemy pana pomocy.

Callaway chwycił go za ramię i odciągnął od oczekujących, którzy nawet nie starali się udawać braku zainteresowania.

- Cóż takiego się wydarzyło, Twig? - zapytał. - Uspokój się, bądź dzielny. Kto potrzebuje pomocy?

- Chodzi o... Chodzi o pannę Bethany, psze pana - wydyszał chłopiec. - Jacyś ludzie udawali, że zatruli się jedzeniem w Penny House, więc wszyscy się przestraszyli i uciekli, oprócz niej. Poszła pomóc temu choremu i już po niej.

William poczuł się tak, jakby dostał cios w brzuch.

- Jak to po niej? Też się zatrula?

- Nie, psze pana. - Malec pociągnął nosem. - Ci ludzie ją zabrali. Porwali ją, psze pana, i zostawili mi kartkę dla panny Amarii. To ona potrzebuje pana pomocy. Było gorzej, niż myślał, o wiele gorzej.

- Co to za kartka? Z żądaniem okupu?

- Musi pan zapytać pannę Penny. - Twig wskazał ręką na ulicę, gdzie Amaria niespokojnie wyglądała przez okno dorożki. - To był list do niej.

- Pójdiesz ze mną. - William chwycił go za ramię i pospieszył do powozu.

Może chłopak czegoś nie zrozumiał albo przesadzał?

- Wasza lordowska mość, tak się cieszę, że pana odnaleźliśmy! - wykrzyknęła panna Penny na widok Williama. - Ja pewnie biegałabym po całym mieście, ale Twig dobrze wiedział, gdzie pana szukać.

Callaway skinął jej głową.

- Gdzie list?

- Jest bardzo krótki i niewiele z niego wynika. - Podała mu kartkę przez okno. -

Dlaczego ktoś miałby chcieć porwać Bethany?

- Dla pieniędzy. - Mężczyzna szybko przeczytał tekst.

Mamy pannę Bethany Penny. Jeśli ma powrócić nietknięta, przyslijcie Callawaya pod wschodnie drzwi magazynu Fulhama, obok Tower, o dziewiątej dzisiejszego wieczoru. Nie zwlekajcie i nie szukajcie pomocy gdzie indziej, bo ona ucierpi. Decydujecie o jej losie.

- Czy to panu cokolwiek mówi, wasza lordowska mość? - Zwykle opanowana Amaria zachowywała się teraz jak niepewna mała dziewczynka. - Nigdy, przenigdy sobie nie wybaczę, jeśli cokolwiek jej się stanie!

- Śmiem twierdzić, że już się stało. - William zmarszczył brwi. - Gdzie są wynajęci strażnicy?

Kobieta mocno zacisnęła usta.

- Człowiek pana Fewlera spóźnił się dzisiaj do kuchni. Moja siostra postanowiła na niego nie czekać, chociaż reszta służby bardzo ją o to prosiła, i bez żadnej pomocy ruszyła wesprzeć rzekomo otrutego.

Cała Bethany, pomyślał.

- Nie dostała pani nic poza tym listem? - zapytał. - Nie było żądania okupu?

Amaria pokręciła głową.

- Dołączyli tylko to. - Podała mu inny list. - Pewnie na dowód, że rzeczywiście ją mają. Zapewne trzymała ten list w kieszeni.

William zmełł w ustach przekleństwo. To było ostatni list, który osobiście przyniósł

do Penny House. Skoro pieczęć była złamana, Bethany musiała go przeczytać...

Nie mógł się teraz nad tym zastanawiać. To, czy dziewczyna przeczytała list, czy nie i czy zmieniła zdanie, nie miało w tej chwili znaczenia. Należało myśleć wyłącznie o tym, jak ją uratować. Callaway popatrzył na Twiga.

- Czy rozpoznasz człowieka, który ci to dał, młodzieńcze?

- Stał w kolejce do kuchni panny Bethany razem z tym drugim, ale nigdy wcześniej ich nie widziałem. - Chłopak znowu pociągnął nosem. - Stałem nieopodal zaułka, kiedy zobaczyłem jednego z nich z wielkim tobołkiem - teraz wiem, że to musiała być panna Penny - a ten drugi mnie zawołał, dał mi list i kazał zanieść pannie Amarii i nie oglądać się za siebie, jeśli mi życie miłe.

William pokiwał głową. Na myśl o tym, że ci złoczyńcy nieśli jego ukochaną jak worek śmieci, omal nie dostał ataku furii. Poprzysiągł sobie w duchu, że słono za to zapłaci.

- Powinienem był wiedzieć, że to zły człowiek, psze pana - ciągnął malec. - Bo to ten sam, co powiedział, że panna Bethany karmi nas trucizną, a przecież ona nigdy by tego nie zrobiła!

- Czy nie pasowali do reszty ludzi na podwórzu, Twig?

- Nie wyglądali jak ci fikuśni lordowie z klubu, jeśli o to panu chodzi - odparł. - Zwykli ludzie i tyle. Ale ja ich poznam, psze pana, poznam wszędzie.

- Dobrze - mruknął William. - Stawiam jednak na to, że to wynajęci pomocnicy kogoś, kto nie chciał kłać sobie rąk. Kogoś, kto najwyraźniej woli dorwać mnie, niż dostać okup.

- Kogoś, kto panu zazdrości - dodała Amaria, po czym zaczerwieniła się aż po cebulki włosów. - Pańskie oświadczyzny są tematem wielu dyskusji w mieście. Być może ten człowiek też o nich usłyszał i teraz uważa pana za rywala.

- Rywal, który dostał kosza? - William nie ukrywał goryczy. - Wspomniała pani kiedyś, że pani siostra ma więcej adoratorów, niż zdołałaby policzyć. Czy to prawda?

- To konsekwencja tego, że jesteśmy właścicielkami i jedynymi kobietami w Penny House, wasza lordowska mość. Nie jestem aż tak próżna, by uważać, że ta liczba bierze się z uwielbienia dżentelmenów dla naszej urody czy rozumu. Panowie, zwłaszcza po kilku

kieliszkach, zainteresują się każdą damą nieco ładniejszą od diabła.

- Proszę mówić wprost, panno Penny - zniecierpliwił się Callaway. - Przecież tu chodzi o życie pani siostry.

Ku jego zdumieniu oczy Amarii wypełniły się łzami, a jej nos poczerwieniał.

- Wobec tego proszę wrócić ze mną do klubu, wasza lordowska mość. Przygotuję panu listę członków, którzy okazywali Bethany zbyt dużo uwagi.

- To bardzo dobry pomysł, panno Penny. - William otworzył drzwi dorożki i usiadł obok niej. - Dołączysz do nas, Twig?

- Nie, psze pana. - Chłopak cofnął się o krok. - Sam muszę rozpytać tu i tam o to i owo.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

- Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy, młodzieńcze. Twoja pomoc na nic się nie zda, jeśli będę musiał spieszyć na ratunek także tobie.

Malec uśmiechnął się szeroko, raz jeszcze otarł nos i odszedł.

- Na pewno będzie bezpieczny? - zapytała Amaria z niepokojem, kiedy dorożka ruszyła. - Takie dziecko samo w Londynie?

- Pod wieloma względami to dziecko radzi sobie na ulicy lepiej niż ja czy pani. - William poprawił kapelusz. - Jak pani uważa, który z tych adoratorów mógł porwać Bethany?

Panna Penny westchnęła ciężko i skrzyżowała ręce na piersi.

- Miałyśmy problemy z lordem Boltonem - zaczęła. - To despotyczny typ, narzucał się jej i proponował, że się nią zajmie. Pułkownik Field też czynił jej awanse, ale chyba nie był na tyle zdeterminowany, by posunąć się do porwania, w przeciwieństwie do sir Henry'ego Hacketta, zwłaszcza jeśli w grę wchodził jakiś zakład. Jeśli mam być szczerą, wasza lordowska mość, również i pana dodałabym do listy nieprzewidywalnych wielbicieli.

William uśmiechnął się do niej.

- Nie przepada pani za mną, prawda, panno Penny?

Nie był zdumiony, że nie odpowiedziała mu uśmiechem.

- To, co do pana czuję, nie ma znaczenia. Powinno pana interesować to, że moja siostra żywi do pana uczucie, i to głębokie.

Pochylił się, nie odrywając wzroku od jej twarzy.

- Sądziłem, że nie ma pani zamiaru dyskutować o jej sprawach?

- Wasza lordowska mość, od tamtego czasu sytuacja się zmieniła, nieprawdaż? -

Ponownie westchnęła i zaczęła nerwowo bawić się frędzlami szala. - Zamierza pan narazić swoje życie, by ratować Bethany. Dlatego powinien pan wiedzieć, że ona bardzo pana kocha.

- Kocha mnie - powiedział cicho. Nie było to pytanie, tylko stwierdzenie faktu, gdyż co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości. - Wie pani, że i ja ją Kocham?

- Nie wątpiłam w to ani przez chwilę - odparła natychmiast.

- I nie powinna pani. - Znowu pomyślał o tym, że Bethany miała przy sobie jego ostatni list. - Ona również nie powinna.

Amaria jednak go nie słuchała.

- Chwileczkę, wasza lordowska mość, właśnie pomyślałam o jeszcze jednym dżentelmenie, którego musi pan wziąć pod uwagę. Porucznik John Macallister. Przesłał mojej siostrze biżuterię, którą oczywiście natychmiast odesłała, a on zrobił się wielce nieprzyjemny.

- Macallister. - Już wcześniej nie darzył tego osobnika wielkim szacunkiem, a teraz, gdy się dowiedział, że porucznik groził Bethany w klubie, jego pogarda jedynie wzrosła. - Proszę go umieścić na pierwszym miejscu listy.

Właściwie William nie miał żadnego dowodu na to, że ten człowiek był winien. Jednak wiele lat temu nauczył się wierzyć intuicji, teraz też układał już w głowie plan działania. Znał opuszczony magazyn Fulhama nieopodal nabrzeża, gdzie nie brakowało miejsc, w których można było ukryć porwaną. Wiedział, że pójdzie tam sam, nie mógł przecież narażać Bethany na niebezpieczeństwo. Doszedł jednak do wniosku, że choć w tym pojedynku najważniejszy będzie jego umysł, musi także zaopatrzyć się w inną broń.

- Zakładam, że ci ludzie są zdesperowani i nie myślą logicznie - oznajmił. -

Zwłaszcza jeśli stoi za tym Macallister.

- Oby miał pan rację. - Głos Amarii się załamał, a po jej policzkach popłynęły łzy. - Proszę tylko, żeby ją pan uwolnił, wasza lordowska mość. Niech ją pan ratuje.

Ponuro wyjrzał przez okno dorożki.

- Odnajdę ją, panno Penny. Za wszelką cenę. I dopilnuję, by ludzie odpowiedzialni za jej porwanie słono zapłacili za swój czyn.

Bethany jęknęła i z trudem uchyliła powieki. W świetle blaszanych latarenek ujrzała dwóch mężczyzn, którzy przykucnęli na podłodze i zawzięcie się kłócili.

- Po mojemu ten skurczybyk się nie pojawi i tyle zobaczymy z obiecanego złota - irytował się jeden.

- Przyjdzie, przyjdzie, Matt, i przyniesie złoto. - Drugi mężczyzna splunął siarczyście na brudną ziemię, na której wałały się resztki nadgniętej słomy. - Poza tym dziewczyna jest coś warta i na pewno na niej zarobimy, nawet jeśli jej fagas nie zechce jej z powrotem.

Panna Penny nagle przypomniała sobie, że to ten człowiek krzyczał, iż jego przyjaciel zatrul się jedzeniem. Nie miała pojęcia, ile czasu minęło od tamtej pory, a na dodatek potwornie łupało ją w głowie i nie mogła poruszyć związanymi rękami.

- Patrz, Tom, budzi się! - krzyknął mężczyzna zwany Mattem i podszedł do niej z latarenką. - Marnie wygląda. Jak umrze, nie dostaniemy za nią ani szylinga.

- Wody - wychrypiała. - Proszę...

- Wyszła na wiór - oświadczył Matt i zatknął pistolet za pas. - Tom, daj jej cydru.

- Masz, mała, pij - powiedział tamten i pomógł jej usiąść. - Uwolnię jej ręce, jest słaba jak podtopiony kociak. I tak nie ucieknie.

Rozciął sznur, a Bethany krzyknęła cicho, gdy krew gwałtownie napłynęła do jej zeszywniałych i zdrętwiałych dłoni.

- Pij, mała. - Mężczyzna przytknął kamionkową butelkę do jej ust.

Słodki, tani cydr był paskudny w smaku, ale chciwie wypła kilka łyków.

- Dziękuję, panowie - wyszeptała, zdecydowawszy, że udawanie słabej, kruchej istoty pomoże jej uwolnić się z rąk porywaczy. - Jesteście dla mnie dobrzy... Aż trudno uwierzyć, że mnie zdradziliście.

- Zaraz tam zdradziliśmy - obruszył się Matt. - Tylko zrobiliśmy, co nam kazano. Wykradliśmy cię, panienko, i tyle.

Westchnęła ciężko.

- Nie o to chodzi. Powiedzieliście, że was otrułam!

- To było dobre, co? - Tom stuknął kumpla łokciem. - Gość, który nas wynajął,

powiedział, że przybiegniesz w te pędy, i wcale się nie pomylił!

- Jaki gość? - spytała niewinnie.

- Ten, który nas wynajął - rzekł Matt chytrze - i kazał nam powiedzieć, że nas otrują.

Uśmiechnęła się słabo.

- A skąd wiecie, że tego nie zrobiłam? Uśmiech zniknął z twarzy Toma.

- Bo nie zachorowaliśmy ani trochę.

- To tak samo jak w innych jadłodajniach dla ubogich - zauważyła z udawanym niepokojem. - Spośród wielu korzystających tylko jeden umierał. Może tym razem padło na któregoś z was, panowie?

- E, tam. - Matt wzruszył ramionami. - Jestem zdrowy jak koń.

- Na razie - zapowiedziała Bethany złowieszczo. - Trucizna działa z opóźnieniem, przenika ciało, a gdy daje o sobie znać, jest już za późno.

- To skąd wiadomo, że się ją zjadło? - zafrasował się Tom.

Wzruszyła ramionami.

- Jeżeli ją zjedliście, najpierw dostaniecie potwornych skurczów w brzuchu, potem zaczniecie wymiotować czarną treścią żołądka. Dostaniecie takich torsji, jakby trzewia miały wam wypłynąć gardłem, a na koniec, gdy już będziecie ledwie żywi, dobiją was konwulsje i gorączka. Ale może nic wam nie grozi, nie pamiętam, kto wziął zatrutą miskę.

Oparła się o ścianę i zamruwała oczami, udając słabą i zmęczoną. Powiedziała dostatecznie dużo, żeby zasiać w porywaczach ziarno niepewności.

Matt wyciągnął pistolet z kieszeni płaszcza i położył go na podłodze, a następnie przycisnął dłoń do brzucha.

- Tak jakby trochę mnie mdliło - wymamrotał. - Ale to chyba z powodu upału...

- Głupiek jesteś - burknął jego kompan, ale on również zgiał się wpół, a na jego czole zabłyśły krople potu.

Bethany tylko uśmiechnęła się dyskretnie. Jej taktyka zaczęła przynosić pożądane skutki.

Macallister stał w cieniu nieopodal starego magazynu i starał się nie rzucać w oczy. Dla pewności bezustannie poklepywał pistolety, które ukrył pod płaszczem. Jego plan był

prosty: jeden z mężczyzn wynajętych do pomocy przy porwaniu miał się spotkać z Callawayem na ulicy i zaprowadzić go do pomieszczenia, w którym znajdowała się uwięziona Bethany. Porucznik pójdzie w ich ślady i uda, że wytropił dziewczynę. Wynajęci ludzie mieli udawać, że to on ją uratował i w ten sposób stanie się w jej oczach bohaterem, a Callaway zginie w trakcie powstałego zamieszania.

Proste, ale genialne. Wszyscy uznają, że major był zamieszany w porwanie, bo powodowała nim szaleńcza miłość, a ukochana go odtrąciła. Poza tym nikt nie powiąże jego śmierci z przypadkami otrucia ani też z niesławnymi wydarzeniami w Hiszpanii. Macallister nie do końca jeszcze wiedział, jak wyjaśni odnalezienie panny Penny, ale uznał, że na pewno coś wymyśli. Jak zawsze.

Uśmiechnął się. Jego tajemnica nigdy nie wyjdzie na jaw, a w dodatku Bethany będzie należała do niego.

William powoli zmierzał do starego magazynu, żeby spotkać się z porywaczami. Nie spieszył się i z uwagą wypatrywał wszystkiego, co mogłoby budzić podejrzenia. Po chwili znalazł się przy bocznym wejściu do budynku i załomotał w drzwi, które natychmiast się otworzyły.

- Jaśnie pan sam przyszedł? - Obcy mężczyzna uniósł małą latarnię, żeby go lepiej widzieć.

- Sam - potwierdził Callaway. - Gdzie panna Penny?

- Spokojnie - mruknął nieznajomy nieco drżącym głosem, zupełnie jakby doskwierał mu ból. Nagle latarnia wysliznęła mu się z dłoni i upadła na podłogę. William błyskawicznie ją podniósł, żeby od płomienia nie zajęły się stare gazety i szpargały, których nie brakowało w pomieszczeniu. Porywacz kucnął zgięty wpół i przyciskał ręce do brzucha, blady i zlany potem.

- Suka... otruła nas - wykrztusił z twarzą wykrzywioną cierpieniem. - Oby szezła...

- Gdzie panna Penny? - wrzasnął przybysz, kompletnie zdezorientowany.

Porywacz zwałił się na podłogę i zwinął w kłębek.

- Na górze... z Mattem...

William wyciągnął pistolet, odciągnął kurek i ruszył po schodach z latarnią w drugiej dłoni.

- Jaśnie panie, nie chcę zostawać sam w ciemnościach! - jęknął porywacz. - Tutaj są szczury...

- Trzeba było wcześniej myśleć, człowieku, zanim porwałś pannę Penny - warknął Callaway.

Na piętrze magazynu w oddali dostrzegł blade światło płynące z jednego z pomieszczeń. Zbliżył się w absolutnej ciszy i usłyszał urywany oddech oraz chrapliwe przekleństwa. Zaraz potem rozległ się łagodny, proszący głos Bethany, który rozpoznał od razu. Co tam się działo? Co ten łotr jej robił? William postawił latarnkę na podłodze i przygotował się do ataku.

Nagle światło zza ściany zakołysało się i rozległ się dziwny łomot. Rzucił się do środka, żeby bronić dziewczyny, lecz stanął jak wryty.

- William! - krzyknęła z ulgą. Stała, a u jej stóp leżał mężczyzna w zielonej kurtce, twarzą do ziemi, i jęczał. Miała rozczochrane włosy, brudne ubranie, a w dłoni ścisnęła pistolet odebrany porywaczowi, celując w jego głowę. - Pojmałam go, zupełnie sama! Nie wiedziałam, że przyjdiesz, więc sama się broniłam. Tak się cieszę, że jesteś!

- Ja też się cieszę - rzekł osłupiały Callaway. Ta drobna kobieta obezwładniła dwukrotnie cięższego od siebie napastnika! - Są tu jeszcze jacyś bandyci?

- Tylko jeden, poszedł ci otworzyć. Pewnie już się z nim uporałeś.

- Los się z nim uporał. - William ukląkł przy łotrze i mocno związał mu ręce fularem ściągniętym z szyi.

- Wiesz, jak mi się to udało? - spytała Bethany wyraźnie uradowana własną zaradnością. - Wmówiłam im, że ich otrułam.

- Poważnie? - Zdębiał. - Przecież ty nigdy...

- Ale oni o tym nie wiedzieli. Opowiedziałam im o objawach, a oni wciąż o tym myśleli i w końcu uznali, że umierają.

Callaway zakładał, że być może uda się pokonać porywaczy sprytem, ale nie sądził, że całą robotę wykona za niego panna Penny.

- Bethany, ja...

- Zgadzam się - oświadczyła, nie czekając, aż dokończy, i uśmiechnęła się szeroko. - O ile jeszcze mnie zechcesz.

Upuściła broń i zarzuciła mu ręce na szyję, nie zważając na pojękującego porywacza, przekonanego, że to jego ostatnie chwile.

- Nigdy nie przestałam cię kochać, Williamie... - wyszeptała.

- Puść ją, Callaway - zabrzmiał męski głos. - Natychmiast puść pannę Penny!

Odwrócił się momentalnie, osłonił Bethany własnym ciałem i sięgnął po broń. Było jednak za późno. W świetle latarenki dostrzegł wycelowane w siebie dwa pistolety.

- Czego chcesz, Macallister? - warknął.

- Wszystko jej opowiedziałeś, co? - wycedził porucznik. - O mnie, o zasadzce, o Hiszpanach..

- Co ty za bzdury wygadujesz, Macallister? - William wzniosł oczy ku niebu. - O co ci chodzi?

- Widziałeś mnie, przecież tam byłeś, na tej samej drodze. Chociaż trzymałem się na uboczu, żebyście nie odebrali mi mojej wody.

Callaway słuchał z narastającą zgrozą.

- Nie wiesz, o czym mówisz, człowieku.

- Sądziłem, że nic mi nie grozi - zaskrzeczał porucznik. - Chciałem sam dotrzeć na wybrzeże, ale Hiszpanie mnie pojмали. Grozili, że poderzną mi gardło, jeśli nie doprowadzę ich do innych Anglików.

- Zrobiłeś to! - wycedził major. - Zdradziłeś nas...

- Na moim miejscu każdy normalny człowiek zrobiłby to samo. Przecież moje życie jest nieporównanie więcej warte od życia bandy obdartusów. Skąd mogłem wiedzieć, że jesteś wśród nich, gotów pohańbić moje dobre imię?

- Gdybym znał prawdę, spotkałaby cię znacznie surowsza kara.

- Znałeś prawdę od początku! Widziałeś mnie po pierwszej salwie ich artylerii, stałem obok hiszpańskiego kapitana.

- Wcale cię nie widziałam - wychrypiał William. - Teraz jednak wiem wszystko. Na Boga, myślałem, że to moja wina, że to ja wprowadziłem swoich ludzi w zasadzkę...

- Nie sądziłem, że przeżyjesz i wrócisz, aby wykończyć mnie, bohatera...

- Więc to ty zabiłeś tych nieszczęśników? - spytał Callaway, choć znał już prawdę. - Dowiedziałeś się, którzy z moich ludzi przeżyli, i wytrułeś ich, jednego po drugim, żeby cię

nie wydali.

Macallister zarechotał.

- Za odpowiednią cenę można kupić każdą usługę.

- Jak śmiesz nosić mundur królewskiego oficera? - warknął major z wściekłością. -

Gdzie twój honor i lojalność? Dopilnuję, żebyś trafił na stryczek!

Porucznik zmrużył oczy i uniósł pistolet.

- Nic z tego, Callaway. Już po tobie.

William gwałtownie pchnął Bethany na podłogę i rzucił się na przeciwnika. Padł strzał. Nozdrza mężczyzny wypełnił gryzący dym, lecz nie poczuł bólu, za to twarz Macallistera stężała w bolesnym grymasie. Pistolet wypadł mu z dłoni, a on sam chwycił się za szyję.

Major bez namysłu powalił go, żeby wyrwać mu z rąk drugi pistolet. Desperacja dodała jednak sił mniejszemu, lecz silniejszemu porucznikowi. Wyrwał rękę z uścisku, skierował broń na własną klatkę piersiową i nacisnął spust.

- Williamie! - krzyknęła dziewczyna z przerażeniem. - Dobry Boże!

- Nie patrz, Bethany - rozkazał jej. Odsunął się od zwłok Macallistera i szybko ściągnął swój zakrwawiony płaszcz, żeby zakryć nim trupa. - Cofnij się.

Mimo wszystko podeszła do niego i zapłakana przytuliła się do jego piersi.

- Chyba wszystko dobrze, psze pana? Callaway odwrócił się w kierunku wejścia.

- Twig, co ty tutaj robisz, u licha?

- Załatwiłem go na cacy, no nie? - Nie zważając na zakrwawionego nieboszczyka, chłopiec dumnie zademonstrował procę i kilka żołądzi, które wykorzystywał jako amunicję.

- Strzeliłem mu prosto w szyję, kiedy chciał wypalić do pana. Zapowiedziałem, że panu pomogę, i dotrzymałem słowa, bo obietnica to dla mnie świętość! William w końcu się uśmiechnął.

- Dobrze postąpiłeś, chłopcze - powiedział. - Najlepiej na świecie.

Epilog

Wzięli ślub tak szybko, jak to było możliwe, w Penny House. Jak na uroczystość, o której dyskutowali wszyscy, od śmietanki towarzyskiej z St James's Square do najlichszej biedoty sypiającej pod pustymi stoiskami w Covent Garden, lista gości była zaskakująco skromna i niezwykle zróżnicowana. Jednak wszyscy goście, od możnego księcia Guilforda po ulicznika Twiga w nowym ubiorze, zgadzali się co do tego, że nigdy nie widzieli szczęśliwszego pana młodego i bardziej radosnej panny młodej.

Zapewne niewiele panien młodych marzyło o tym, by samodzielnie upiec tort weselny. Bethany należała jednak do tego nielicznego grona i przygotowała aż pięć tortów. Dwa z nich zjedli goście na weselu, a dwa zostały pokrojone i rozdane wszystkim członkom ubogiej trzódki.

Dużo, dużo później, kiedy państwo młodzi nareszcie zostali sami i leżeli w łóżku w gospodzie przy drodze do Brighton, dokąd udali się w podróż poślubną, Bethany z dumą zaprezentowała piąty tort, najważniejszy, który upiekła tylko dla swojego małżonka.

- To dla ciebie, ukochany - oznajmiła z dumą, wręczając mu niewielkie pudełko ozdobione błękitną kokardą. - Słodkości dla mojego słodkiego Williama.

- To ty jesteś słodka, Bethany, a nie ja. - Oparł się na poduszkach, otworzył pudełko i uśmiechnął się szeroko. Pan młody nabrał na palec odrobinę bitej śmietany i pacnął nią wargę małżonki. - A teraz będziesz jeszcze słodsza.

- Nie zauważyłeś najważniejszego, drogi Williamie - powiedziała, przełamując torcik na dwie części. - Są tu białka, migdały i rozmaite inne smakołyki, które dodadzą ci wigoru.

- Wigoru? - zdumiał się ze śmiechem i ugryzł duży kawałek tortu. - Co ty sugerujesz, moja droga żono?

- Sugeruję, że zmierzam spędzić jak najwięcej czasu w łóżu swojego męża - odparła. - I chciałabym, żebyśmy oboje stanęli na wysokości zdania.

- Och, we mnie nie wątp. - Przynął się do niej. - Zawsze możesz na mnie liczyć, lady Callaway.

- Nigdy w ciebie nie wątpiłam, najdroższy - szepnęła.

- Kocham cię - powiedział po prostu. - I ty mnie kochasz.

- Tak - szepnęła. - A teraz udowodnij mi, że jestem taka słodka, jak twierdzisz.
- Jak sobie życzysz, moja droga - odparł. - Zawsze do twojej dyspozycji.

RS